

PIOTR GRANAT

**„Miejsce w snach do
wynajęcia”**

Marzeniom.

ROZDZIAŁ 1

Siedział w małym i ponurym pokoiku swojego kolegi. Dym z ohydneho papierosa nie przeszkadzał mu tak jak zawsze. Nie dzisiaj. Dostał to, po co przyszedł. Schował skrzętnie w reklamówkę i czekał. Udawał, że mu nie zależy. No bo przecież to wstyd zajmować się takimi rzeczami. Czekał, aż będzie mógł wyjść, nie urażając dobrego kumpla i nie zdradzając, po co właściwie przyszedł. Długa rozmowa przykuła go do krzesła. Kolega opowiadał o swojej nowej dziewczynie. Czuł żal i zazdrość, jednak słuchał nieprzerwanie. Nie chciał go urazić. W końcu, tłumacząc się późną porą, ruszył w kierunku drzwi. Jeden zamek... klik. Drugi... klik. Zasuwka... szrut. Otwarte...

Światła na korytarzu nie było. Jak zawsze. Po omacku zaczął schodzić po schodach, mocno ściskając reklamówkę pod pachą.

– To tylko reklamówka, nikt nie widzi, co tam jest – wmawiał sobie po cichu, gdy zaczął go zalewać wstyd i upokorzenie.

Już parter. Parter jest najgorszy. Znów ujrzał te same cienie przy domofonie. Powoli i niemal bezszelestnie zbliżył się do drzwi. Innego wyjścia nie ma. To jest jedyne. Chwycił za klamkę i delikatnie popchnął. Nie było elektrycznej blokady. Wyrwany zamek mówił sam za siebie. Wyszedł ostrożnie zza lekko uchylonych drzwi. Cztery głowy w kapturach skierowały swój wzrok na niego. Już wiedział, że ich sprowokował. Samym wychodzeniem, najostrożniejszym i najmniej rzucającym się w oczy, jakie zdołał wykonać. Nie widział ich twarzy. Było zbyt ciemno. Zasiedział się. Przełknął ślinę i ostrożnie ruszył przed siebie. Cisza była dla niego nie do zniesienia. Sygnalizowała nadchodzące zło. Jeden krok, drugi, trzeci. Minął ich. Tup! Sztt! Jakiś dziwny szelest z tyłu. Bał się odwrócić. Przyspieszył kroku. Dopiero przy pierwszej latarni rzucającej namiastkę światła odważył się spojrzeć za siebie. Trzy cienie stały przy wejściu. Tam, gdzie wtedy. Ale gdzie czwarty? Wolał nie myśleć. Ratował się pozytywnymi myślami, że być może wszedł do środka. Szrrut. Ktoś poruszył krzak przy bloku. Panika. To bezdomny pies. Ulga.

Ruszył dalej. Szedł tylko oświetlonymi ulicami, mimo że miał dalej. Zbliżał się do głównego rynku, przez który codziennie przechodził. O tej godzinie to miejsce było nie do poznania. Masa awanturników, meneli i złodziei. Daleko nie musiał szukać. Pięciu na wprost. Dwa białe paski wzdłuż nogawek błyszczały w świetle latarni. Nie byłoby najgorzej, gdyby nie szli w jego stronę. Portfel w domu, komórka też. Jedyne cenna rzecz to informacje zawarte w umyśle, który także można okraść – kilkoma kopnięciami. Spuścił wzrok. Nie skręcił, za ciemno. Powoli stawiał małe kroczki, tak bardzo niepozornie jak tylko mógł.

Buch! Jeden szturchnął go ramieniem. Nie odwrócił się. Przyśpieszył. Cichy śmiech z tyłu. Oddalają się? Spojrzał na swój cień. Tuż obok niego tworzył się inny. Coraz większy. Gdyby cień mógł przedstawiać kolory, na pewno ujrzałby dwa białe paski. Jedyna teraz myśl – uciekać? Szrrut. Strach go sparaliżował. Ostatkiem odwagi odwrócił się... Pusto. Jego czarne jak węgiel źrenice rozszerzyły się do maksymalnych rozmiarów. Pot zalał czoło. Oddech stał się nierówny. Zbyt pusto. Wszechobecna panująca cisza sygnalizowała nadchodzące zło. Przyśpieszył bardziej, tak że niemal biegł...

Już niedaleko. Skrzyżowanie. Łapał oddech czekając na czerwonym świetle. Wrruum. Czarne BMW również czeka na zmianę światła. Pomimo przyciemnianych szyb, za sprawą jednej otwartej widać całe wnętrze. Kierowca masywny, trzymający kierownicę dwoma palcami, druga ręka natomiast swobodnie spoczywa na kolanie nastoletniej pasażerki. Pomimo późnego wieczoru, oboje w okularach przeciwsłonecznych, żując gumę z nienaturalną prędkością.

No tak, sobota – pomyślał i znów ukłuło go uczucie żalu i zazdrości.

Ruszyli z piskiem opon. Dziewczyna jęknęła z zachwytu, zapatrzona w swojego maczo, a on powędrował dalej, szybkim krokiem, przez skrzyżowanie.

– Stój! – krzyknął głos z tyłu, gdy już wchodził na chodnik.

Obrócił się. Radiowóz. Zjechał na chodnik i zatrzymał się tuż koło niego, jakby chciał odciąć mu drogę. Ze środka wyszedł policjant, niemal niczym się nie różniący od kierowcy BMW. Również łysy, masywny, w okularach przeciwsłonecznych w późny wieczór. Gdyby nie mundur, zapewne by uciekł.

– Co tam masz? – rzucił z wyraźną intonacją wyższości, wskazując wyciągniętą pałką na reklamówkę ukrywaną pod ramieniem.

– Nic takiego.

– Jak to nic? To co tak szybko idziesz? Komu to zajebałeś? Pokazuj.

Nie miał wyjścia. Sięgnął powolnym ruchem po reklamówkę i podał funkcjonariuszowi. Ten jednak, z widocznym brakiem szacunku, niemal wyrwał mu ją z rąk i szybko zajrzał do środka. Po chwili wpatrywania się w zawartość pokręcił głową i z dziwnym spojrzeniem politowania oddał ją z powrotem.

– Skąd masz? – zapytał już nieco łagodniejszym tonem.

– Od kolegi – odetchnął z ulgą. Nic nie zauważył.

– Zasuwał do domu.

Policjant wpakował swoje masywne cielsko z powrotem do radiowozu, wycofał i odjechał. Znów cisza. Czyżby sygnalizowała nadchodzące zło? Wcisnął reklamówkę z powrotem pod pachę i ruszył szybkim krokiem w stronę domu. Już niedaleko...

Po kilku minutach spokojnej drogi w oddali już mógł dostrzec zarysy swojego bloku. Mijał kolejne puste uliczki i ciemne zaułki, z których emanowało zło. Mimo że za dnia znał je tak dobrze, teraz czaiły się w nich najgorsze koszmary. Starał się o tym nie myśleć, jednak nieposłuszny umysł wciąż przywracał mu te straszne przemyślenia. Już prawie. Ostatnia prosta. Chodnik. Sami swoi. Mrmrrr. Kolejne cienie przy klatce. Cholera. Tym razem nie zwalniał. Był zbyt blisko celu. Przeszedł przez gromadkę ciemnych postaci najszybciej jak tylko mógł. Fszzt! Puch! Potknął się. Nie o kamień. Nie o stopień. Ktoś mu podłożył nogę, czego dowodził głupawy chichot z tyłu. Reklamówka rąbnęła na ziemię. Podniósł ją najszybciej jak tylko mógł i schował z powrotem, czując głęboki wstyd. Obrócił się, zaciskając bezradnie pięści. Podniósł wzrok i zrobił największy błąd – spojrzał prosto w tępe oczy, z których wręcz biła nienawiść.

– Na chuj się patrzysz? – rzuciła ostro postać w cieniu.

– Zostawcie go, to mój sąsiad – odezwał się znajomy głos obok. – Wstawaj.

Wstał. Bez słowa. Chwycił prędko za drzwi i wszedł do środka klatki. Nie musiał dzwonić. Zamka dawno nie było. Gdy podchodził do windy, z dworu znów dobiegły głupawe śmiechy. To pewnie o nim. Wcisnął przytopiony guzik i czekał. W myślach analizował po tysiąckroć poprzednie sytuacje, co niestety jeszcze bardziej go przygnębiło. Gdy winda dojechała, odsunął się. Ktoś był w środku. Szare, odrapane drzwi od windy otworzyły się z impetem. Mizerna lampka w środku lekko oświecała nażelowaną głowę i cwaniakowaty uśmiech. Tuż po nim z windy wytoczyły się dwie plastikowe małolaty, beztrąsko chichocząc i skrzecząc cienkimi głosikami na całe piętro. Rozpustnie powlokły po nim spojrzeniem, jednak po chwili zmieniło się ono w obrzydzenie i zażenowanie.

– No tak, sobota wieczór – mruknął do siebie z nieodzownym uczuciem żalu i zazdrości.

Nacisnął guzik. Piąte piętro. Oparł się o jedyne niezamalowane markerem miejsce i czekał. Szzzzzz. Szum windy go uspokajał. Nie było tak cicho. Czuł się bezpieczniej.

Już. Zatrzymała się. Nie musiał wychodzić, żeby dobiegły do niego wrzaski. Źródła także nie musiał dociekać. Znał je zbyt dobrze. Wyszedł. Wolnym krokiem zbliżał się do

drzwi swojego mieszkania. Krzyki dochodzące z wewnątrz z każdym ruchem były coraz głośniejsze. Dotknął klamki i już miał ją pociągnąć w dół, gdy ta zrobiła to za niego. Odsunął się, a zza otwieranych drzwi, z ciemności mieszkania wyłonił się pijany ojciec z grymasem wściekłości. Odsunął się dalej. Nie chciał dostać. Za ojcem wyleciała płacząca matka, gdy ten wchodził do windy. Poprzez łyzy wykrzykiwała niezrozumiałe słowa, a w ponurym świetle księżycy widać było siniejące oko. Żadne z nich go nie zauważyło. Sami swoi. Gdy drzwi trzasnęły z powrotem, przysiadł w kącie korytarza. Kap... Pierwsza łza. Kap, kap... Dwie kolejne. Delikatne szlochanie i łagodny szmer łez uderzających o podłogę był już jedynym odgłosem.

Minęło parę chwil, zanim zdołał się otrząsnąć. Wstał, otarł twarz i ze spuszczoną głową wszedł do środka. Jeden zamek... klik. Drugi... klik. Zasuwka... szrut. Zamknięte... Cisza. Ta sama cisza, której się tak bał. Sygnalizująca nadchodzące zło. Bez problemu potrafił ją rozpoznać. Zdjął buty. Zajrzał przez lekko uchylone drzwi do kuchni. Zobaczył nieruchome plecy mamy, siedzącej na taborecie, wpatrującej się przed siebie. Całkowicie statyczna, jakby była przedmiotem. Częścią ponurej kuchni.

Wszedł do swojego pokoju. Przymrużył oczy i wziął głęboki oddech. Poczł się bezpiecznie. Zamknął drzwi i zapalił lampkę nocną. Usiadł na łóżku i obok położył reklamówkę. Odrzucał tysiące myśli przebiegających mu przez głowę. Nie dzisiaj. Było już zbyt późno. Położył się wygodnie na plecach. W końcu wyjął z reklamówki to, co tak długo ukrywał i... otworzył... Szt... Romeo i Julia, strona pierwsza...

A kilka kartek dalej, pomiędzy stronami, jego jedyna ucieczka od rzeczywistości. Po chwili pograżył się w przedsennych marzeniach, a jego naładowana świadomość w jedynej chwili wytchnienia pozwoliła mu poczuć się błogo, wytwarzając świat bez nienawiści i przemocy...

ROZDZIAŁ 2

Profilaktyczne przebrnięcie przez otchłanie ziemskich piekieł powoduje jak zwykle samoistne wywołanie błogostanu często nazywanego melancholią. Zaczynając od codziennej szarości, a kończąc na szarej codzienności człowiek brnie w bagno obojętności i pomyjach życia. Wyprzedzając własne pytania o sens wszystkiego, w ogóle ich nie zadaje.

Bo wewnątrz istnienia pseudoludzkiego, zwanego nadczłowiekiem, nie ma miejsca na braki egzystencjonalne czy luki rozwojowe. W przeciwnym wypadku następuje

natychmiastowe odtrącenie i wtedy jedyne, co chroni przed skazaniem na wieczne potępienie, jest tymczasowość życia. A te luki i pustki, które wypełnia ludzka dusza zostają względnie, lecz siłowo zapchane przez system podporządkowania i deptania po innych.

A gdyby tak przez chwilę, choćby wymuszonym, człowieczym spojrzeniem, pełnym słodkich i uroczych wad, spojrzeć na skurwysynów siejących nienawiść wokoło, dostrzec można swoistą samotność wśród tłumu bezmózgiego planktonu, wartego o wiele mniej niż te pożyteczne organizmy. I w tym momencie komputer w mózgu przestaje działać i budzi się, bądź dopiero rodzi w człowieku prawdziwe istnienie.

Narkotyki nie były dla niego nałogiem. Traktował je jako ucieczkę. Mógł przestać kiedy tylko chciał, jednak nie odczuwał takiej potrzeby. Rzeczywistość była dla niego na tyle okrutna, by uciekać w świat błęgiego stanu świadomości gdy tylko natłok problemów go przytłaczał. A te często znikwały same, czasem pojawiały się nowe. Nigdy jednak épanie nie pomogło mu w rozwiązaniu jakiegokolwiek trudności, czego był świadom. Stanowiło jednak dla niego pewnego rodzaju azyl, przystań dla zmęczonej duszy.

Obudził się zalany potem. Lubił koszmary, bo wiedział, że gdy się obudzi poczuje miłą ulgę, bowiem to jednak był tylko sen. Rzadko jednak straszny koszmar prześcigał w swojej potworności to, co przeżywał codziennie. W pracy, w domu, na ulicy.

Podniósł się leniwie i złapał za głowę. Mała tabletką Can-D, którą przeschmugłował w książce powoli przestawała działać. Niestety, końcowe fazy stanu narkotykowego bywały bolesne. Czuł klucie w tylnej części głowy i niesamowitą wręcz suszę w ustach. Jednak był przygotowany na takie okazje, w końcu nie pierwszy raz korzystał z dobrodziejstw Can-D. Na stoliku nocnym, koło otwartej wczorajszej książki leżał namoczony ręcznik, który trzęsącymi się rękami podniósł i przyłożył do karku. Poczł przyjemne dreszcze i uniósł głowę do góry, by nadmiar wody spłynął mu z ręcznika na plecy. Nie zmieniając pozycji na ślepo sięgnął po szklankę wody ustawioną jak zwykle przy szafce. Tak mu było wygodniej, zresztą robił to wiele razy.

Raz po raz, od kiedy tylko pamiętał spotykał na swojej drodze różne upośledzenia intelektualne wśród inteligentnych, jakby się wydawało, ludzi. Niestety, większość posiadała pewien odchyl od normalności przykładowo przejawiający się nadmierną ignorancją, bądź nienawiścią. Tacy byli jego znajomi, rodzice, osoby napotymane na drodze. Nigdy nie znalazł czystego i nieskażonego charakteru przed którym mógłby się otworzyć.

Usiadł niemrawo na łóżku i wsunął stopy w wytarte i stare kapcie. Namoczonym ręcznikiem otarł kilka razy twarz i szyję, a potem rzucił go od niechcienia w kąt pokoju.

Przyda się na później. Bał się wychodzić z pokoju. Być może ojciec już wrócił i zacznie go wyzywać od nieudaczników („narzekają tylko nieudacznicy” – słowa ojca, które zapamiętał, i które go po części wychowały) lub widok pobitej matki przerazi go tak, że będzie musiał pójść po następną dawkę narkotyku. Na całe szczęście dla jego psychiki nikogo nie było, jednak pozorna cisza i spokój mogła sygnalizować nadchodzące zło. Często wydawało mu się, że posiada pajęczy zmysł charakterystyczny dla jego ulubionego bohatera komiksowego – Spider-Mana – którego uwielbiał czytać w młodości, gdy za każde pieniądze od babci kupował kolejne wydania. Zawsze poźółkłe, pogniecione, z drugiej ręki. Bo tańsze.

Lekko uchylił drzwi od pokoju, by wymknąć się do łazienki, gdy od razu spostrzegł te same nieruchome plecy matki siedzące w zadymionej kuchni. Nie chciał z nią rozmawiać. I tak go nie rozumiała. On ją rozumiał natomiast bardzo dobrze. W końcu obserwował ją niemal codziennie przez 27 lat swojego życia. Z dnia na dzień była coraz bardziej odległa i nieobecna, aż w końcu stała się dla niego tylko nieruchomymi plecami siedzącymi na taborecie w zadymionej kuchni. Tak pogłębia się choroba psychiczna – stwierdził kiedyś, gdy już jedyna interakcja z matką polegała na jego odpowiedziach „tak” lub „nie”. Unikał zdań złożonych, gdyż mogły przywołać lawinę niepotrzebnych, dublujących się i bezsensownych pytań. A matka przecież i tak by go nie zrozumiała. Nie widział sensu w konwersacji z psychicznym wrakiem człowieka. Nie szanował jej, jednak mimo wszystko kochał. Chociażby za to, że była jego matką, więc był do tej miłości niejako kulturowo i instynktownie zobligowany. Czasem jednak bał się, że to nie miłość, a jedynie przyzwyczajenie.

Nie odezwał się ani słowem i ostrożnie otworzył drzwi do łazienki, by nie wzbudzać nadmiernego hałasu i zainteresowania. Co chwilę pogrążał się w swoich neuronach. Żył w świecie refleksji i przemyśleń, a codzienne czynności wykonywał niejako samoczynnie zupełnie się na nich nie skupiając. Nie był marzycielem. Robił to jedynie przed zaśnięciem dla lepszego snu i odstresowania się od dnia mijającego. Na co dzień po prostu dogłębnie analizował rzeczywistość i ludzi. I za to cierpiał najbardziej.

W domu siedzieć nie chciał, więc od razu po szybkim prysznicu założył wczorajsze ubranie i buty, a następnie ruszył ku drzwiom.

Niedzielnny poranek, ciepły i słoneczny niczym nie dał po sobie zdradzić jakie dramaty wydarzyły się wczoraj w jego mieszkaniu i psychice, a także na drodze od kolegi. Z winy swojej wrażliwości mocno przeżywał nawet najmniejszy krzyk czy szyderczo wypowiedziane zdanie. Na zewnątrz swojego cierpienia nie ukazywał, jednak w głębi duszy serce mu pękało, gdy musiał być świadkiem awantur domowych lub gdy musiał ulegać zaczepkom silniejszym

fizycznie, ceniom w bramach. Ku swojemu nieszczęściu był bowiem bardzo wrażliwy, co również, dla bardziej spostrzegawczych, wykazywał jego wygląd zewnętrzny. Niewysoki i wąty z lekko wystraszoną spojrzem mógłby być przyrównany do młodych uczonych marnujących młodość w bibliotekach. Brakowało mu tylko okularów i flanelowej koszuli w kratkę wciągniętej w spodnie.

On niestety miał awersję do jakiegokolwiek rodzaju nauki. W podstawówce się nie wyróżniał, a w liceum był średniakiem. Nie wyobrażał sobie szczęśliwego życia spędzonego w jednej połowie przed książkami, a w drugiej w dwunastogodzinnej robocie. To nie on chciał być największym mędrceem tego świata, znać dziesięć języków obcych i tyleż samo programowania, historię wszystkich krajów umieć na wylot, czytać dziennie po trzy książki i nie mieć w ogóle życia prywatnego. Nie chciał być wyzywany od kujonów i nie chciał by jedyną dziewczyną, która z nim rozmawia była pani z biblioteki. Wszystko po to by być popychadłem, który nawet nie potrafi sprzedać swojej wiedzy z powodu braku umiejętności dogadania się z ludźmi. Co dwie minuty poprawiać ciężkie okulary w grubych oprawkach, gadać z jedynymi kumplami z koła matematycznego o nowych, wspaniałych funkcjach i całkach, a za szczyt imprezy uznawać chińskie zupki i grę Monopole. Wołał kształtować się społecznie chodząc na imprezy, rozwijać osobowość w kontaktach międzyludzkich przy rozmowach o byle czym, chlejąc litrami wódkę i piwo. Chciał mieć tę młodość, z której mu tak niewiele już zostało. Twierdził, że ci najbardziej rozwinięci społecznie idą na szczyt, a w większości każdy szef jest głębszy od pracownika. I to na nich tyrają kujonki bez życia prywatnego i społecznego, zamknięci w laboratoriach lub tonąc w papierach, które tylko oni potrafią odczytać ze zrozumieniem. I te wysokie zarobki i kupa kasy, której nie ma nawet czasu wydać. I to ma być samospełnienie? Sukces przez naukę? To nie dla niego.

A teraz, bliżej ślubu niż studniówki, z trudem chwycił się dowolnej roboty, byle tylko zarobić parę groszy i móc spokojnie powrócić do swojej przystani dla zmęczonej duszy. Nie stać go było na studia, nie stać go było na dodatkowe kursy. Jedyne, czym się wyraźnie wyróżniał i mógł zabłysnąć to ogromna percepcja i niesamowita pamięć idąca w parze z inteligencją. Niestety nikt tego nie doceniał, a i on starał się z tym nie wychylać.

– Ej, Rejewicz. Twój stary jest jakiś pierdolnięty, wybił szybę na klatce i go zgarnęli – usłyszał przy windzie od sąsiada.

Po garniturze i teczce w jego ręku stwierdził, że mu się lepiej układa. W końcu biznes-jelop w niedzielę rano zasuwa do roboty... Rejewicz zignorował tę zaczepkę i kontynuował swoją podróż na zewnątrz. W głębi serca jednak się przejął. Podwójnie. Raz ciętą uwagą

lepiej ustawionego sąsiada, drugi – bo już wiedział, gdzie jest jego ojciec. Jeżeli był pijany to izba, jeżeli trzeźwy to areszt. Z drugiej strony mógł trafić do aresztu po tym jak wytrzeźwiał w izbie. Rejewicz przejął się potrójnie.

Zwrócił uwagę na miejsce, w którym wczoraj się potknął. Nienawistnych cieni już nie było, jednak wstyd i upokorzenie pozostało. Kilka puszek po piwie na murku i pety uświadomiły mu, że to jednak nie był sen, w który tak często chciał zmienić rzeczywistość.

Na blokowisku, w którym mieszkał aż roiło się od patologii. Czasem, gdy ukrywał się przed cieniami, siadał na ukrytej pod starym dębem ławce i wsłuchiwał się w nocne zaloty świerszczy częstokroć zagłuszane krzykami z mieszkań, tłuczeniem butelek i naczyń, płaczu i wyzwisk. Z niewiarygodną precyzją potrafił wyłapać wśród nich te, które pochodziły z jego mieszkania. A on, na tej ławce, niczym poeta szukający weny, dywagował sam ze sobą na temat jak bardzo do tego świata nie pasuje. Z rzadka, gdy miał nadmiar wolnego czasu, wsiadał w autobus i wyjeżdżał na obrzeża miasta, do bogatszych dzielnic z zamiecionymi ulicami i domkami jednorodzinny. Tam także, wyszukując dobrze ułożoną ławkę, by nikomu nie przeszkadzać, obserwował bogate życie i z uciskiem na sercu zastanawiał się, dlaczego on nie dostał szansy na lepszy start, niczym te dzieciaki radośnie biegnące do prywatnej szkoły z markowymi plecakami, drugim śniadaniem i workiem z butami na zmianę. A on nieraz nosił zeszyty w ręce, gdy dno w jego szmacianej namiastce plecaka rozpruwało się na nowo, raz za razem.

– Cześć, Łukaszku. Proszę, oto chlebek, maselko i serek – odezwała się piskliwym głosem młoda ekspedientka. Wiedziała, że co niedzielę kupuje to samo. – Coś jeszcze?

– Marlboro Lighty – rzucił w eter, nie do niej.

Pomimo, że Łukasz Rejewicz miał 27 lat, nadal traktowała go jak nastolatka. Na takiego w końcu wyglądał, zupełnie nie ujawniając swojego wieku po aparycji. Była to najmilej zwracająca się do niego osoba w całym cholernym życiu. Proszę, dziękuję, przepraszam, Łukaszku. Uwielbiał to, a zarazem nienawidził. Nienawidził, ponieważ wiedział, że to wymuszone zdrabnianie i nadmierna grzeczność to wyraz czystej i nieskazitelnej płytkości babska za ladą. Ta bura suka świergotała tak czule do każdego kto często przychodził i wystawiał kasę na podajnik. A imię znała, bo nieraz pokazywał dowód kupując piwo. Tępa pipa nie miała tak dobrej pamięci jak Łukaszek.

Wracał do domu modląc się, by i tym razem nie musiał nawiązywać kontaktu z matką. Na nieszczęście jego psychiki robił tak za każdym razem, gdy się zbliżał do domu. Marzył o zerowej interakcji. Ojca jeszcze potrafił znieść, pomimo że był alkoholikiem. Nienawidził go, jednak w pełni rozumiał. Odziedziczył po nim wiele cech. Między innymi pociąg do odmiennych stanów świadomości i ciągłą irytację najmniejszymi nic nieznaczącymi szczegółami. Łukasz jednak potrafił ukrywać swoje uczucia. Robił to w pełni świadomie i kontrolował w stu procentach. Traktował to jako dar, czuł się z tym lepszy od innych. To chyba jedyna cecha charakteru, jaką nabył w trakcie życia. Z pozostałymi zęb w zęb przypominał swojego ojca. „Wykapany tatuś”. Wkurwiało go to niemilościernie, gdy na zjazdach rodzinnych podpite ciotki przyrównywały go do tego nieudacznika, który niestety jest jego ojcem. Potrafił wysiedzieć, pouśmiewać się durnie do jazgoczących starych dewot i przyjąć ten niby-komplement z pokorą. Niestety, nikt nie zauważał problemów jego rodziny. Dla osób trzecich była to zawsze ta sama, uśmiechnięta i kochająca się rodzina, która idealnie wypracowała pozory dobrego domu. Chciałby, żeby od wewnątrz też tak sytuacja wyglądała. Marzenia.

Ocknął się na klatce schodowej z sennych przemyśleń paranoika, gdy to pies sąsiadki niemal lejąc pod siebie szczełał i piszczał z radości, że w końcu wyjdzie się wysrać na dwór. Nie powiedział „dzień dobry”, miał to gdzieś. I tak nigdy by nie odnalazł jakiegokolwiek wspólnego tematu z tą starą jędzą, która puka w sufit, gdy tylko odkurzacz się włączy. A „dzień dobry” byłoby idealnym rozpoczęciem rozmowy. O pogodzie, o polityce, o gównie.

Wszedł czym prędzej do windy i nacisnął guzik swojego piętra. Droga na pięte trwała trochę, więc dla zabicia czasu zawsze czytał nowe pseudo-graffitti i idiotyczne podpisy markerem na ścianach windy. Niestety, instrukcje obsługi dźwigu znał na pamięć.

Odczekał chwilę, przecesał dłonią krótkie szpakowe włosy, po to by pograżyć je w jeszcze większym chaosie, a następnie wszedł najciszej jak mógł do środka mieszkania. Nie chciał gadać z matką. Nie chciał nawet na nią patrzeć, jednak musiał zostawić zakupy w kuchni. Tuż przed jej nosem, żeby widziała jak jej uczynny synek przynosi jej żarcie i paczkę fajek, którą będzie trula się przez resztę dnia. Synuś kupuje papieroski dla mamusi. To zupełnie tak, jakby życzył jej śmierci.

Nie rozumiał nałogu tytoniowego. Jak można być niewolnikiem zaszuszonych i zmielonych liści owiniętych w papierek z kawałkiem gąbki na końcu? To niedorzeczne.

Człowiek jest istotą poniekąd inteligentną i pomimo tego, daje się ovladnąć bezmózgiej roślinie. Niedorzeczne i żałosne.

Bez słowa wrócił do swojego pokoju. Miał dosyć wszystkiego. Miał dosyć tej rzeczywistości. Niestety podkradanie pieniędzy z portfeli rodziców dla Can-D skończyło się dwa lata temu, gdy ojca zwolnili dyscyplinarnie z pracy w firmie przewozowej.

Pił.

Od tamtego czasu liczyli każdą złotówkę. Sam więc musiał dbać o swoje fundusze. Czasami na weekendy przychodził do pobliskiej myjni, gdzie służył za dodatkową parę rąk. Dało się zarobić na piwo i trochę odlotu.

Siedział z tępym spojrzeniem zniszczonego życiem człowieka, który jakby przed chwilą zauważył, że dalsza egzystencja nie ma sensu. Będzie w tym głównie siedział na zawsze. Nienawidził takich stanów, miał wtedy ochotę z kimś porozmawiać. Nienawidził rozmawiać.

Kilka lat temu, gdy rodzice jeszcze się nim interesowali, próbowali leczyć Łukasza u psychologa. Niestety, to nie on miał nasrane w głowie.

Pokój – przypominające celę więzienną pomieszczenie, tyle że bez krat w oknach. Rozklekotana wersalka na prawo od drzwi, którą nazywał pieszczotliwie łóżkiem pamiętała jeszcze czasy Stalina. Obok niewiele młodsze biurko, z którego praktycznie nie korzystał, teraz zaśmiecone papierami i notatkami z okresu, gdy posiadał jeszcze jakiekolwiek ambicje do nauki. Czasem, w specyficzne ponure dni biurko stojące pod oknem oświetlała magiczna poświata słonecznego blasku. Dziś też tak było. Promienie słońca przebijały się przez żółkłe firanki i padały na zakurzony stos papierów. Tak, jak gdyby bóg dawał Łukaszowi znak, by powrócił do pisania prac i chodzenia na wykłady. Jedynie to mogło mu niemal zagwarantować ucieczkę od patologii i ciągłego przygnębienia. Bo cuda się nie zdarzają. I bóg o tym dobrze wiedział...

Chciał się wyrwać. Nie w formie narkotycznej, lecz uciec na stałe. W nowy, lepszy świat. A samobójstwo nie wchodziło w grę...

Zastój panujący w pokoju przypominał grobowiec, w którym jedynie drobnoustroje w pyłkach kurzu dają oznaki życia i szybują przez martwą i nieruchomą pustkę. Pomieszczenie wydawało się być wyjęte z czasu. Pozbawione jakichkolwiek dźwięków i ruchów. Błede światło wpadające przez brudne okno wywoływało wrażenie ogromnej odmienności, zupełnie jak zdjęcie zrobione starym aparatem, gdzie dominują odcienie żółci i czerwieni. Jak czyjeś wspomnienie zachowane błyskiem flesza.

Siedział na wersalce podpierając głowę i tępo spoglądając w dywan. W tym ogłupionym spojrzeniu dawało się dostrzec ogromną burzę myśli przebiegającą wewnątrz skażonego rzeczywistością umysłu. Nie dało się przewidzieć co aktualnie mu chodziło po głowie. Przeważnie miał tysiące różnych myśli na sekundę, a ślady skupienia na jego twarzy oznaczały dwa razy tyle.

– Muszę się stąd wyrwać – powtarzał sam do siebie. Nie był pewien czy na głos, czy tylko w myślach. Nie obchodziło go to. Teraz najważniejszy był plan.

Na jego nieszczęście taki stan był niemalże rytuałem, ceremonią charakterystyczną dla następnego dnia od zażycia Can-D. Za każdym razem po wspaniałej podróży narkotykowej zderzenie z rzeczywistością powodowało napływ pesymistycznych myśli i przygnębienia. Obrządek obmyślenia planu ucieczki od taplania się w codziennym gównie miał dobrze opracowany. Był to dla Łukasza niemal tik nerwowy. Siadanie na wersalce, zawsze w tym samym miejscu i gapienie się zawsze w ten sam punkt na mozaice wzorów na dywanie. W białe z kremową otoczką kółko, które tworzyło symetryczny fraktal. Zupełnie jak w kalejdoskopie. Tutaj nieco jednak wyblakły i przetarty.

– Muszę się stąd wyrwać, muszę się stąd wyrwać... – zacisnął dłonie na rozmierzwionych włosach.

Kilka lat temu, gdy rodzice jeszcze się nim interesowali, próbowali leczyć Łukasza u psychologa. Niestety, to nie on miał nasrane w głowie. Stary alkoholik, stara chora psychicznie. I oni mieli czelność mu uświadamiać, że to on ma ze sobą problem.

– Muszę się stąd...

Kilka lat temu, gdy rodzice...

ROZDZIAŁ 4

Obudził się, a raczej ocknął. Nie spał przecież, jedynie na chwilę odpłynął. Nie zasnął, nie zagapił się, po prostu odpłynął. Nawroty tripów były rzadkie. Can-D, jako narkotyk na bazie kwasu lizergowego miał to do siebie, że po tygodniach, a nawet latach mogły pojawić się jego epizodyczne efekty. Bardzo rzadko, ale jednak. Dla jednych była to darmowa jazda, dla innych udręka i bezsilność.

– Przecież nigdy mi się to nie zdarzało – odbiło się od wszystkich ścian i wróciło jako fala bólu głowy.

– Łukaszu, maselko i chlebek, proszę, bardzo proszę serdecznie. I serek.

– Przecież nigdy mi się to nie... – odbiło się od wszystkich...

ROZDZIAŁ 5

Nawet nie zauważył kiedy upadł. Patrząc prosto w sufit widział jak powoli, niczym w kalejdoskopie, tworzą się symetryczne fraktale na białej powierzchni sufitu. Kolory delikatnie pulsują i nabierają barwy, a kształty po chwili rozszerzają się i przechodzą na ściany. Poczuł rozkosz i ulgę. Jeszcze nigdy tak pięknie nie wyglądał jego pokój. Jeszcze nigdy nie widział tak pięknych i idealnych wzorów, które teraz tańczą przed jego oczami i kuszą, by zająć się nimi. Kuszą w ten sam sposób, jak nowe i kolorowe przedmioty kuszą małe dziecko, by ich dotknąć, pomacać, pobawić się. Łukasz wyciągnął rękę, by sięgnąć sufitu, a dokładniej najbarwniejszego punktu w którym to wszystko się zaczęło. I wtem, jak na zawołanie, sufit powoli przybliżał się, a następnie, jak na złość, oddalał. Równo, stopniowo i płynnie. Gdy był najniżej Łukasz mógł dotknąć koniuszkami palców jego powierzchni, poczuć ją i pogłodzić. Pod wpływem jego ostrożnych ruchów plejada fraktali rozmazywała się i bledła, a po odciągnięciu ręki, rysowała na nowo. Rozmazywał tak ten piękny pejzaż, jak chłopczyk malujący palcami. Rysował nowe kształty i mieszał barwy. Poczuł się jak spełniony artysta, który nagle odnalazł swoje powołanie. Swoje ostateczne zadanie, które wypełni jego natchnienie nową siłą, a następnie pozwoli umrzeć w spokoju i poczuciu wypełnienia misji. Tak musieli czuć się najwybitniejsi malarze, którzy patrząc na dzieło swojego życia stwierdzali, że nie będą w stanie nic lepszego stworzyć. A z drugiej strony przepelniała ich ogromna energia do dalszej pracy. Jednak przeświadczenie, że prześcignęli samych siebie, że szczyt ich formy skończył się wraz z ostatnim machnięciem pędzla na tym obrazie, blokował ich dalszą twórczą karierę, a natchnienie wówczas uzyskane kierowali w percepcję i postrzeganie.

Anemiczny dotyk nadziei skorumpowanej przez zło trafił do sedna Sprawy wywołując przedśmiertne drgawki u słabszych emocjonalnie i myślących alternatywnie wyrzutków z materialistycznych domów. Sprawy, która przebija się przez myśli i uderza w neurony blokując synapsy. Apatycznie prosząc o rozwiązanie i sprawiając wrażenie patetycznej pierdoły przeczy sama sobie w drodze do iskry myśli, która wywoła nieuchronny proces intelektualny, zwany potocznie gównem. Lecz pomimo że Sprawa jest niezgodna z

instynktem przetrwania i bruździ w głowie jedynie pomyślncom, którzy w przypiływie desperacji decydują się na najtrudniejsze z najprostszych rozwiązań, czyli umyślne zakończenie swojego bytu. To jednak wywołuje szereg kluczowych pytań, które z powodu swojej bezsensowności znikają w natłoku potrzeb i popędów.

Nie ma nawet za co umrzeć...

– Łukasz, skup się – poczuł uderzenie w policzek. – Wstawaj natychmiast!

Kolorowe wzory płatków śniegu i nakreślona przez palec spirala powoli rozplywała się, a sufit oddalał. Za każdym mrugnięciem oczu pokój wracał do swojego gównianego, statycznego i szarego wyglądu. Jedynie matka nachylona nad nim wprawiała cząsteczki w ruch. Psuła dzieło, przeszkadzała.

– Coś ty, do cholery, brał? Do szpitala trzeba! Trzeba do szpitala!

Panika to sposób zachowania, którego nie rozumiał. Był to wyraźny przejaw słabości, niemożności poradzenia sobie z zaistniałą sytuacją. On w pełni panował nad swoją narysowaną spiralą, nad swoimi ruchami i emocjami.

„Szpital – z dala od pierdolonej patologii” – pomyślał. – „To byłby raj na ziemi. Z dala od alkoholu, od wyzwisk, nienawiści i przemocy. I jeszcze się człowiekiem zaopiekują.”

Jak za machnięciem magicznej różdżki przeteleportował się do znajomego gabinetu. Jedynie nieliczne przebłyski pamięci podrzucały mu fragmenty rozmowy z matką, drogi autobusem i ostatecznie otwierania białych drzwi przychodni.

– Łukasz, to prawda, że znowu bierzesz? Miałeś przestać, rzucić ten śmieć. Całe życie przed tobą, chcesz je sobie zniszczyć? To cię pograża tylko w bagnie – tłumaczył lekarz odwykowy do którego kiedyś często chodził.

Zniszczone życie to on już miał, bagno też miał. Miał ochotę wbić mu w czoło ten długopis, który doktorek obracał między palcami. Wbić, przebić mu czaszkę, pokręcić na lewo i prawo, a potem wyjąć i triumfalnie oblizać kawałki mózgu ociekające z plastikowej końcówki. Marzył o tym za każdym razem, gdy ignorancja, wydawać by się mogło, wykształconego człowieka przekraczała dopuszczalny przez niego poziom normy. A na dzisiejszym kazaniu sięgała zenitu.

– Dobra, przestanę brać – odpowiedział na zasadzie „ustąp głupszemu”. I tak planował robić swoje, bardziej dyskretnie. Ten raz i poprzedni były tylko wypadkami przy pracy,

błędami w sztuce. Za wcześniejszym razem wziął za dużo i zachciało mu się integracji z rodziną. Od tamtego czasu wiedział, żeby odpływać samemu, we własnych czterech ścianach. Wnioski z najnowszego potknięcia przyjdą w swoim czasie. Muszą.

– Łukasz, będziesz przychodził do mnie na wizyty. Twoja matka się bardzo o ciebie martwi, jak możesz jej robić takie coś? Jesteś jej jedynym dzieckiem.

– Nie ma pan pojęcia co siedzi w głowie mojej matki.

– Znam ją od dawna. Wiem, że ostatnio się wam nie powodzi, ale to nie powód by zaczynać ćpać.

Łukasz nie ćpał. Degustował się co najwyżej. Ćpun łoś codziennie dragi, a na następny dzień jest gotów zabić dla kolejnej działki. On natomiast brał co najwyżej raz na tydzień, odliczoną dawkę. Nie był nawet w stanie się uzależnić fizycznie. Gównem się nie szprycował. A przynajmniej takie było jego mniemanie. Miał dosyć tej ignorancji.

– Nie mamy pieniędzy na wizyty.

– Zrobię to za darmo, dla twojej mamy. Jestem jej winny przysługę. Słuchaj teraz uważnie. Widzę cię tu w każde poniedziałki, środy i piątki o 17.00, do odwołania. Przepiszę ci coś na uspokojenie i trochę witamin. Każda wizyta będzie trwać czterdzieści pięć minut, a potem...

Spojrzał na sufit. Śnieżnobiały, niczym w szpitalu, teraz powoli przeistaczał się w zielonkawy, jednocześnie tworząc ciemniejsze oczka rosołowe, które powoli i ociężale przemieszczały się między sobą i przepychały, zupełnie jakby walczyły o teren. „Może to kwestia złego odżywiania?”, pomyślał. „W końcu w domu nic sensownego do żarcia nie ma”. Spektrum sufitowe zaczęło wypuszczać bańki, które lżejsze od powietrza – unosiły się tuż nad jego postacią.

– ...wystarczy, że zdasz sobie sprawę jakie to jest niszczące dla ciebie i szkodliwe...

Chętnie uniosłby rękę, by znów zanurzyć palec w tafli półprzezroczystych fraktali, jednak zauważył, że również za pomocą wzroku jest w stanie wzburzać i mącić ten wspaniały pejzaż. Na wprost jego spojrzenia utworzyły się dwie małe żółte kropeczki, nieco ciemniejsze niż pożółkła farba na suficie. Podążały za jego wzrokiem gdziekolwiek nim nie wiódł i zawsze były w tym samym miejscu. Przeniósł dwie kropki z sufitu na starą drewnianą gablotkę swojego lekarza-terapeuty, obrysował nimi jej kształt i pokierował na twarz mówiącą do niego.

– ...za każdym razem, gdy czujesz że musisz wziąć, po prostu...

Wzdrygnął się. Powrócił. Rozejrzył się po gabinecie jakby znalazł się w nim po raz pierwszy. Biurko przy którym siedział doktorek wydawało się być dominującym meblem. Nowe, polakierowane i czyściutkie z każdym przedmiotem na swoim miejscu, wliczając spinacze do papieru posegregowane kolorami i bloczek żółtych karteczek ustawiony idealnie równolegle względem przybornika. Totalne przeciwieństwo jego zagraconego sekretarzyka przypominającego biurko.

– Wszystko w porządku? – doktor wytrzeszczył oczy na widok obłąkanego wzroku Łukasza, który teraz wpatrywał się intensywnie w każdy detal jego gabinetu. – Jednak cię przebadamy.

– Jak to „przebadamy”? Na obecność narkotyków? – zmarszczył brwi.

– Psychiatrycznie – padło w odpowiedzi z ust doktora. – Dziwnie się zachowujesz, a już nie jesteś odurzony. Powiem szczerze, może te kwasy już ci przeżarły mózg. Trzeba cię przejrzeć profilaktycznie. Zapiszę cię jutro na wizytę u doktora Taszczykowskiego. Pasuje ci na jedenastą? – doktor nie oczekiwał odpowiedzi, musiało pasować.

„Będzie mi kleksy pokazywał jakiś pedał jebany. Niech leczy moją starą, która cały dzień potrafi gapić się w okno. Albo starego moczymordę, kurwa. Ewentualnie tych palantów spod klatki, którzy potrafią tylko gnoić słabszych” – wściekł się, a burza myśli na możliwość wyładowania w psychiatriku przyspieszyła bicie serca i spociła ręce.

– Zobaczmy co ci tam w główce siedzi, a potem pomyślimy jak postępować dalej.

Jego niechęć do świata wywołana była całkowitym brakiem perspektyw przy przeroście zdolności intelektualnych. Odkąd pamiętał, towarzyszyło mu uczucie wyobcowania, tudzież celowego wrednego umieszczenia w groteskowym komiksie, do którego nie pasował i trafił do niego na siłę. Jakby scenarzysta myśląc, że doznaje twórczego natchnienia, popełnia bubel swojego życia lub czerpie chorą satysfakcję z abstrakcyjności pobytu Rejewicza na ziemskim padole.

Poczucie wyobcowania towarzyszyło mu od przedszkola. Jedno z pierwszych jego traumatycznych wspomnień zabierało go do czasów, gdy mógł mieć co najwyżej pięć lat. Wtedy też, w przedszkolu, siedząc zawsze na uboczu, starając się pilnować własnego nosa i nie przeszkadzając nikomu, doznawał ciągłych zaczepek ze strony dwóch nieco wyższych dupków. Nieraz nim popychali oraz celowo zachodzili drogę, by poczuć swoją wyższość, gdy z racji słabszej postury musiał ustąpić. Zdarzało się także, że zabierali mu przedszkolne

zabawki udając, że nadeszła ich kolej na bawienie się. W rzeczywistości chwilę później rzucali je w kąt.

Przedszkolanka wcale nie była lepsza. Ciągle zamartwiała się o małego Łukasza i zgłaszała rodzicom jego problemy z dopasowaniem się do otoczenia. Denerwowało go to niemilosiernie, ponieważ jedyne czego pragnął to chwile cholernego spokoju we własnym kącie. Czuł się podle ze świadomością, że sprawia komuś problemy samym swoim spokojnym i wyizolowanym istnieniem, podczas gdy dwa dupki – idealne dzieci idealnych rodziców – były notorycznie ulaskawiane ze względu na argument, iż „dzieci takie są”. Któregoś razu wyładował z krwawiącym nosem u dyrektorki, gdy nie wytrzymał kolejnych zaczepek i zepchnął jednego dupka z drabinek na placu zabaw, a drugiego natarł piaskiem. Zamiast poczucia skruchy i złego uczynku, wypełniało go przekonanie o wyegzekwowaniu sprawiedliwości i wyrównaniu rachunków. Po tym wybuchu agresji powrócił do bycia spokojnym i cichym, z tą różnicą, że otoczenie dorosłych martwiło się o niego jeszcze bardziej.

Miał wrażenie, że w tamtej bolesnej chwili coś się w nim zakorzeniło i nadało postrzeganie świata, które przetrwało w nim do dziś. Przez całe dalsze życie sytuacje patowe się zmieniały, dupki się zmieniali, otoczenie się zmieniało – jednak poczucia beznadziejności świata, niesprawiedliwości i niezrozumienia trwały nieustannie. Doprowadzało go to często do skrajów załamania psychicznego, jednak za każdym razem przyodzabiał się w jak najbardziej obojętną minę, by nikomu nie sprawiać problemów własną osobą. Emocje puszczały w samotności, gdy mógł spokojnie, bez cudzych i niepotrzebnych zamartwień, wypłakać się z powodu gównianej rzeczywistości, w jakiej przyszło mu żyć. A gdy łyzy się kończyły, wychodził w świat przywdziewając swoją maskę i czasem, gdy zdołał się zapomnieć, wylapywał chwilę radości.

ROZDZIAŁ 6

Wstał jak zwykle nieco za późno. Spojrzał nieprzytomnie na archaiczny zegarek stojący leniwie na biurku i zerwał się na równe nogi. Była 10.12. Jeszcze musiał iść do sklepu, a potem biec na przystanek do tego cholernego psychiatry. Ubrał się jak najszybciej potrafił, objając się o ściany przy zakładaniu spodni, obmył twarz wodą i przejechał kilka razy szczoteczką po zębach. Musiał się stawić i zbadać na szajbę, bo w przeciwnym razie dostałby stały nadzór i wakacje w jakiejś odwykowni. A tak, po paru tygodniach mógłby mieć znowu spokój.

Wygnał na ulicę i szybkim krokiem skierował się do najbliższego sklepu. Wiedział, że ta brzęcząca pipa przy kasie będzie znowu w tak dobrym nastroju, że popsuje mu dzień. Świadomość tego, że idiotka nawet w przypadku wybuchu Trzeciej Wojny Światowej miałyby taki sam wspaniały humor przyprawiała go o dreszcze.

„Iść i wysłuchiwać tego piszczenia jełopki, czy nie iść i nasłuchać się po powrocie do domu od matki jakim jestem nieudacznikiem?”

Z dwojga złego wybrał alternatywę – inny sklep. Domyślał się w głębi duszy, że matka wyczuje chleb kupiony w innym sklepie i zacznie się niepotrzebna dyskusja. A czemu nie tam?, A coś się stało?, A tam miałeś bliżej?.

„Kurwa, nawet jakby reklamówka miała inny kolor niż przezroczysty żółty to musiałbym tłumaczyć jak dziecku dlaczego tak, a nie inaczej”.

Nie była to jej wina. Takie są uroki, gdy odwała ludziom na starość i Łukasz bardzo dobrze o tym wiedział. Przyrzekł sobie, że jeżeli w przyszłości jemu też będzie odbijać palma, to dla dobra dzieci i przyszłej rodziny, jeśli ją będzie posiadał, po prostu się zastrzeli. Albo każe to zrobić zaufanemu przyjacielowi, bo on sam może nie zauważyć swojego zajoba.

Wpadł przez niemal kartonowe drzwi do niewielkiej kanciapy przypominającej większy kiosk. Była najbliżej.

– Chleb krojony, tamten serek gouda, Marlboro Lighty i małą kostkę masła, proszę – matka nie powiedziała co ma kupić, co oznaczało, że ma kupić to, co zawsze.

Obiegł wzrokiem jeszcze raz towary na półce, by upewnić się, że wszystko czego potrzebuje jest dostępne, a następnie skierował swój jeszcze zaspany wzrok na grubą i obleśną kwokę gdaczącą przez telefon.

– No i wiesz, myślałam, że jej tam nie będzie, ale kurde była. No, serio, mówię, nie ściemniam...

– Proszę pani, śpieszy mi się, mogłaby mnie pani obsłużyć? – zapytał najgrzeczniej jak potrafił.

– ...co? Zara, nie? Zośka, ile ci zostało na koncie? Dwie minuty? – trybiki w jej mózgu zazgrzytały. – Pan poczeka – rzuciła bezczelnie prosto w oczy i wróciła w wir rozmowy.

Łukasz nie chciał sprawiać sobie jeszcze większej ilości kłopotów, niż miał. Jednak z lekkim podenerwowaniem stwierdził, że niestety sytuacja tego wymaga. Stał jak idiota jeszcze przez piętnaście sekund i patrzył na świniaka w fartuchu. Zaczął stukać palcami o ladę na znak zniecierpliwienia. Nie pomogło. Została jeszcze minuta i czterdzieści sekund.

Całkowicie spokojny i opanowany, bez żadnego grymasu złości na twarzy zbliżył się do lady i sprawnym ruchem ręki chwycił prosiakowi komórkę. Obejrzał ją z kilku stron, jakby podziwiając kształt muzealnego modelu Nokii i z lekkim uśmiechem oraz potężnym zamachem rzucił telefonem o ścianę. Jazgoczenie ze słuchawki ucichło, a babsko siedziało nieruchomo i zaczynało się powolutku pnieć. Łukasz jeszcze przez chwilę pozostał na posterunku i napawał się złością obleśnej pipy, która właśnie zaczynała się robić fioletowa. Ucieszył się, że on taką samą złość w sobie zatuszował i stłumił, jeszcze kilkanaście sekund temu.

– Ty gnoju! Odkupisz to! A jak nie, to zawołam policję! – po lekkim szoku zaczęła wrzeszczeć i wymachiwać rękami.

– Myślisz, księżniczko, że będzie im się chciało wszczynać dochodzenie o telefon wart parę złotych? Myślisz, że rozwieszą portrety pamięciowe po mieście? – wszedł za ladę, przepchnął się koło oszołomionej baby z wytrzeszczonymi oczami, wziął chleb z półki, ser z lodówki, a masło i fajki z kącika, a następnie zapakował grzecznie, jak gdyby nigdy nic, do przezroczystej zielonej siatki.

– Mam tu zmiotkę, zaraz cię pogonię złodzieju! – krzyczała. Łukasz wyciągnął rękę po miotłę i odłożył ją w drugi kąt sklepika. Baba stała jeszcze bardziej zdezorientowana.

– Proszę, reszty nie trzeba – rzucił na tackę piętnaście złotych i skierował się do wyjścia.

– Ty gnoju! Jak się nazywasz, chamie jeden ty?!

– Rejewicz.

– Re-co?

– Gówno.

Wyszedł.

Wracając szybkim chodem do domu, by odstawić zakupy, napawał się konfliktem ze sklepikarą. Odtwarzał całą sytuację oczami wyobraźni i raz po raz wywoływał ją na nowo. Nie musiał analizować tego co zrobił, bo w jego mniemaniu zrobił wszystko idealnie. Niczym perfekcyjnie dopracowana scena w filmie akcji, gdzie bohater pokonuje wszystkie przeciwności i brnie do utopijnego celu. Idol dzieci, wzór do naśladowania dla nastolatków, twardziel i charakterniak. Całkowite przeciwieństwo Łukasza.

Po wejściu do zasyfionej klatki powrócił do rzeczywistości. Zablokowana winda. Przez dwie cipy trajkoczące na którymś piętrze, z czego jedna nie może się zdecydować czy jechać, czy gadać o gównie. Rejewicz poczuł się na siłach, po poprzednim udanym incydencie, by wtrącić od siebie parę słów do dialogu, jednak w ostatniej chwili zastopował. W końcu jeszcze potrafił się kontrolować. W końcu tym się odróżnił od reszty.

Wbiegł po schodach galopem mijając na czwartym potencjalne obiekty mordy i wparował jak pocisk do mieszkania.

– Łukasz, to ty? – usłyszał cichutkie, skrzeczące, przepalone fajkami, zachrypnięte i przede wszystkim oczywiste pytanie.

– Tak, ja – modlił się w duchu o koniec rozmowy.

Był gotów przełożyć wszystko do przezroczystej żółtej siatki, których wala się miliony po całym mieszkaniu, zupełnie jakby matka je kolekcjonowała. Jakby tysiąc tysięcy siatek miałby się komuś przydać. Trzymana reklamówka miała większą pojemność od standardowych ze sklepu od przemiłej baby i mogła wzbudzić podejrzenia. Podejrzenia i niechcianą, niepotrzebną i denną dyskusję na temat „czemu tamten sklep, a nie ten”. A przecież miał za dziesięć minut autobus. Paranoja. Gdyby ktoś patrzył właśnie na niego z góry, z pewnością zlitowałby się nad jego dołą.

„Jak będę się śpieszył – będzie się czepiać. Jak za szybko wyjdę – będzie się czepiać. Kurwa, nawet jak nie wypakuję wszystkiego w odpowiedniej kolejności pod jej nos to też będzie się czepiać”.

Był bezsilny. W kropce. W sytuacji bez wyjścia. Skazany na niepowodzenie. Wszedł jak najwolniej potrafił, wykonał cały codzienny obrządek wyjmowania zakupów na stół, podsunął pod nos paczkę fajek i po trochu zaczął się wycofywać. Zostało jakieś osiem minut.

Potknął się ostrożnie drepcząc do tyłu. Zahaczył nogą o wiklinowy koszyk stojący przy samym wejściu i czekający tylko aż ktoś go kopnie.

„No to mam przejebane”.

– Uważaj, bo pozbijasz słoiki! – drgnęła matka i powróciła po chwili do pierwotnej statycznej formy.

Słoiki były pod stołem kuchennym, dobry metr dalej od koszyka. Nawet jakby kopnął go z całym impetem, to i tak słoiki pozostałyby nienaruszone. Absurd, jakich przeżywał miliony dziennie. Wiedział, że to nie koniec konwersacji, po prostu stara zbierała siły i myślała nad jakimś poważnym zarzutem skierowanym w jego stronę. Oczywiście z dupy wyjętym.

– Śpieszy ci się gdzieś? Prawie wcale cię nie ma w domu, szlajasz się gdzieś jak zwykle! Co ja z tobą mam, zero pożytku. Same problemy, same problemy. Znalazłbyś sobie w końcu jakąś pracę porządną...

Awantura wisiała w powietrzu. Wysłuchał jeszcze kilku zdań na temat swojej beznadziejności i zaczął obmyślać plan ucieczki.

„Wyjdę teraz, zaczniesz się nieskończone dopytywanie. Wyjdę zaraz, to nie zdążę. Odpowiem coś, będzie że pyskuję i nie szanuję własnej starej. Przepraszę, pomyśli że jestem naćpany.”

Miał ochotę poradzić sobie tak perfekcyjnie, jak z telefonem sprzedawczyni. Miał ochotę złamać szóste przykazanie. Gdyby powiedział o wizycie, zaczęłaby się panika. Niestety, nawet to najprostsze rozwiązanie nie wchodziło w grę. Zegar odliczający sekundy do przybliżonego odjazdu autobusu tykał nieustannie w jego głowie.

„Trzeba działać.”

Musiał spławić matkę.

W takich chwilach lubił przyrównywać swoje problemy do zmartwień innych ludzi. Do tych, co mają najgorzej. Do głodu, wojny, kataklizmów. Pocieszał się tym, że są tacy co mają większe udręki. Tacy, co na jego problemiki odpowiedzieliby śmiechem prosto w twarz.

W momentach największych kryzysów w ten sposób się uspokajał. Wracał z powrotem do świata spokojnych, a seryjnego mordercę tłumił w sobie. Jako wykapany altruista opanował tę technikę do perfekcji, dzięki czemu nerwy miał pod kontrolą. Co innego ona...

Tyk... tyk...

– ... – bardzo chciałby coś powiedzieć, jednak wiedział, że cokolwiek powie to będzie źle.

– Słuchasz mnie w ogóle? Naćpać się wybierasz, tak? Tak ci się śpieszy do tych swoich koleżków?

Nie miał żadnych koleżków. Matka pewno sobie tak tłumaczyła wciągnięcie synalka w świat zła i narkotyków. Zapewne w jej mniemaniu jest idealną rodzicielką, której nie można nic zarzucić.

Największym bólem przepełniała go świadomość, iż nie może powiedzieć prawdy. Słowa „Łukasz” i „psychiatra” nie mogą wystąpić w tym samym zdaniu nie wywołując zarazem ataku paniki, przeklinania świata, ojca, koleżków i psychiatryka, do którego potencjalnie trafi. Musiał wymyślić coś, co wywoła jak najmniej zbędnych pytań.

„Kurwa, czy to takie trudne?”

Tyk... tyk...

– Mamo, wracam do sklepu, bo mi babka źle rozmięła... – niczego bardziej idiotycznego nie potrafił wymyślić.

Teraz wystarczyło tylko poczekać i posłuchać paru zdań jakim jest idiotą, że dał się oszukać i że dobrze mu tak.

– Życie jeszcze zweryfikuje twoje poglądy! Jesteś zupełnie jak twój ojciec, nigdy nie patrzysz na to, co robisz i tylko... – nie dał jej dokończyć i szybkim krokiem wyszedł. Wiedział, że dokończy jak wróci, przypomni o tym jutro i pojutrze. I tak co jakiś czas przez następny miesiąc.

„Życie zweryfikuje moje poglądy, albo moje poglądy zweryfikują życie.”

Wziął głęboki oddech na uspokojenie i zacisnął oczy starając się skupić.

„Muszę stąd uciec, muszę się wydostać...”

Jeżeli miałby być kiedyś w jego życiu najidealniejszy moment na zabicie matki, to właśnie go przegapił.

Tyk... tyk...

Gdy zjechał na dół, ruszył galopem na przystanek. Ostatni raz biegał ładnych parę lat temu na zajęciach z wychowania fizycznego. Potem jedynie raz zdarzyło się uciekać przed jakimiś cwelami, którzy chcieli mu dać jedyne, co można dostać za darmo na tym świecie – wpierdol. Po kilkudziesięciu metrach od klatki zaczął dyszeć i sapać jak stary, parchaty dziadek. Zwolnił i trzymając się za przepuklinę doczłapał się na ławeczkę, gdzie czekali inni domniemani pasażerowie. Spojrzał na zegarek, był minutę po czasie.

– Przepraszam, czy dwunastka już jechała? – zapytał najbliższej starszej kobiety i od razu stwierdził, że to był zły pomysł.

– Łooo, panie. Jo nie wiem, czekam na szóstkę, jechała szóstka, pan wie? – wychrypiała.

– Nie wiem, dopiero przyszedłem. – I spostrzegł dwunastkę na horyzoncie.

ROZDZIAŁ 7

– Czy kiedykolwiek skrzywdziłeś celowo jakieś zwierzę bez żadnej przyczyny? – Grubawy psychiatra ze znużeniem notował kolejne odpowiedzi i nanosił je na coś, co przypominało kartę pacjenta. Tyle to i Łukasz potrafił zrobić.

– Nie.

– Czy szybko wpadasz w gniew? Masz niespodziewane ataki furii?

– Nie... chociaż... czasami. Ale pan napisze, że nie.

– Mhm. Czy czujesz się prześladowany?

– ...

Gabinet był ogromny w porównaniu do tego u zamiejscowego doktora, przez którego tutaj trafił. Wszystko kolorystycznie dopasowane. Wszystko czyste, sterylne i odpicowane. Łukasz porównując psychiatryczne biurko do swojego poczuł się nieswojo. Zupełnie jak ktoś wyobcowany w świecie, w którym będzie tylko obiektem drwin i krzywych spojrzeń. Wiedział bowiem, że nigdy nie doczeka się swojej komnaty i garniaka za cztery średnie pensje. Psychiatrów zawsze wyobrażał sobie inaczej. Po głowie chodził mu stereotyp wysokiego okularnika w fartuchu z inteligentnym i przenikliwym spojrzeniem i nieco przygarbioną sylwetką. W jednej ręce trzymającego igłę ze środkami uspokajającymi, a w drugim kaftan bezpieczeństwa. Ten koleś przed nim był jednak biurową wersją wyobrażenia. Grubawy, sapiąco-dyszący wrak, który tylko wypełnia karty pacjenta i na podstawie kilku definicji wrytych na pamięć stwierdza chorobę oraz wypisuje leki. W jednej ręce długopis-

reklamówka, w drugiej kubek kawy. Zgodnie z przewidywaniami pokrywał się jedynie przenikliwy wzrok, który od czasu do czasu gardząco i z wyrzutem przeszywał Łukasza i dawał mu do zrozumienia, że jest zerem. Spojrzenie to było chyba najbardziej wyrazistą rzeczą spośród wszystkiego w gabinecie. Cała reszta zdawała się być wytarta z barw i pozbawiona ostrości. Krawędzie jego krzesła zmywały się z podłogą i małymi pęknięciami sunęły w stronę okna usytuowanego tuż za biurkiem. Popołudniowe światło padające na sylwetkę psychiatry dawało wrażenie boskości, niczym otoczony magiczną aurą Morfeusz zbierający żniwo w godzinach dziewięta-piętnasta.

– Czy wiesz czego się boisz?

Niby odpowiadał, jednak bez swojej wiedzy i zgody. Tak jakby jego umysł podzielił się na dwie różne świadomości. Jedna wpatrująca się w coraz to nowe szczeliny w popękanych ścianach i podłodze, oraz druga – swobodnie rozmawiająca z przedstawicielem klasy wyższej.

Wpatrywał się tępo bez przekonania w roziskrzone smoliste źrenice, które we własnym idealnym świecie spisywały na papier jego psychikę.

– Od jakich narkotyków jesteś uzależniony?

Nad tym pytaniem zawisł tandetny długopis doktora Taszczykowskiego.

„Za dużo kawy, łapa ci się trzęsie.”

– Co powiedziałeś? – zmarszczył brwi.

„Ja to powiedziałem na głos, czy pomyślałem?”

– Co tam mamrociesz? Błady jesteś, wszystko w porządku? Czemu tak obsesyjnie patrzysz się na sufit?

Skojarzenie z matką poprzez mnogość pytań doktora było oczywiste. Wynikający z tego chwilowy przypływ negatywnej energii wywołał u kilku neuronów mózgowych wyprodukowanie nieokreślonej substancji chemicznej odpowiedzialnej za nienawiść i skłonności sadystyczne. Przed oczami Łukasza ukazał się przepiękny widok zdychającego w cierpieniu psychiatry, który stopniowo pozbawiany wszystkich kończyn wykrwawia się na śmierć.

Tymczasem z sufitowych pęknięć sypały się resztki tynku, a kawałki pokruszonych czerwonych cegieł spadały wprost na biurko. Cały gabinet psychiatryczny wyglądał jak gdyby miał się zaraz zawalić. Zarówno Łukasz, jak i doktor Taszczykowski zdawali się nie przejmować nadchodzącym zagrożeniem. Gdy jeden napawał się widokiem rozpadającej się

szafy z psychiatrycznymi książkami, drugi bazgrał po kartce i rozpisывał charakter pacjenta na kartce A4.

W drodze powrotnej przeludniony autobus ledwo osiągał prędkość przeciętnego rowerzysty, a popołudniowe korki uliczne sprawiały, że co chwilę zatrzymywał się na światłach lub przed jakimś gamoniem, który za późno wrzucił bieg. Łukasz przyciśnięty do okna rozpamiętywał i analizował to, co niedawno zaszło w jego głowie. Nie czuł się chory psychicznie. Nie czuł się nawet w żadnym stopniu spaczony. W jego mniemaniu był idealnym okazem racjonalnego i logicznego charakteru opierającego się na faktach z niewielką domieszką skrywanych emocji. Gdyby otworzyć encyklopedię obrazkową pod hasłem „racjonalność” – powinna tam znajdować się jego morda.

Tak zanurzony w świecie swoich rozmyślań, wpatrywał się w szarą, nijaką przestrzeń, którą w przyjemne dni nazywa się pieszczotliwie niebem. Smród potu i starych ludzi unosił się statycznie w powietrzu, a tępe i zamulone twarze pasażerów wlepiały oczy w nicłość. Zupełnie jak Łukasz. Jednak dla niego były to spojrzenia pozbawione jakiegokolwiek śladu przemyśleń. Jakby wszyscy wyłączali wszystkie procesy myślowe na czas podróży. Nie czując smrodu, ani nie przeklinając w myślach otaczającego tłoku i syfu.

Zaledwie jedna para oczu wydawała się spoglądać na otoczenie z zaciekawieniem. Lustrowała innych pasażerów.

Starsza pani, z materiałową torbą pełną warzyw i innych pierdół, objeżdżała wzrokiem raz po raz każdego, z wielkim wyrzutem, jakby miała każdemu coś do zarzucenia godnego śmierci. Zdawała się nienawidzić wszystkich dookoła, zaczynając od zbyt mocno umalowanej nastolatki z plecakiem, która musi być młodą puszczałką dziwką, poprzez spaślaka pod krawatem siedzącego wygodniej niż ona, a kończąc na Łukaszu, zapewne będącym w jej mniemaniu nierobem rozpierdalającym publiczne mienie.

Dwa przystanki dalej, gdy całe bydło wygramoliło się przez jedyne i słuszne środkowe drzwi oraz pognało do centrum miasta, Łukasz znalazł wolne miejsce siedzące. Odkleił się powoli od szyby i w ciągłym zamyśleniu ruszył w stronę tymczasowego zbawienia. Przez kilkanaście minut stał w nienaturalnej pozycji, powyginany, byle tylko reszta bydła mogła się wprasować i nie wyjeżdżać na niego z ryjem, że się rozpycha. Kości i mięśnie bolały. Czuł się skrajnie zmęczony. Odruchowo spojrział, czy nie ma poprzyklepianych przez idiotów gum i siadając odetchnął z ulgą.

Miał problem. W tej chwili starał się tym nie przejmować, ale wiedział że kilka ulic dalej jego dylemat leżał w zamykanej szafce, zapisany wielkimi literami w karcie pacjenta.

Pogrzebał w kieszeni i wyjął rozwiązanie. Rozwinął starannie złożoną wpół receptę i spróbował rozszyfrować nabazgrołone kurzym pismem koślawe litery. „Clopixel”.

„Kurwa”.

Chwilę wpatrywał się pogardliwie w karteczkę, która w mniemaniu psychiatry miała pomóc mu przywrócić racjonalne postrzeganie rzeczywistości, gdy kątem oka spostrzegł wsiadających na przystanku dwóch. Dwóch dresów. Dwóch debili. Dwóch cwaniaków. Trzy w jednym, a raczej sześć w dwóch. Jak szampon przeciwłupieżowy z odżywką zwiększającą puszystość włosów, włożył taki ewenement wraz z kolegą z brakującym napisem: „3 in 1, dres, debil, cwaniak”. Stanęli najbliżej drzwi, by szybciej móc zwiać na wypadek kontroli biletów i gadali głośniejsz niż kwicząca przez telefon nastolatka z tyłu. Ta ucichła zapewne, by w skupieniu przyjrzeć się dwóm nowym ogierom i Łukasz dałby sobie rękę uciąć, że gdyby obejrzał się za siebie, to zauważyłby, że dziewczę ukradkiem poprawia makijaż.

– Ej Śmigacz, zoba jaka dupa – przyglup powiedział takim szeptem, że słyszał to cały autobus. Skinął, też niby ukradkiem, w stronę nastolatki, by jego kolega zauważył o kogo chodzi.

Jedna nastolatka na cały autobus babć.

Nie chciał, ale był zmuszony ze względu na amplitudę, słuchać inteligentnych wywodów na temat uprawiania seksu, bicia, picia i policji. Chętnie by wsunął posiadaną receptę do kieszeni któremuś z nich. W końcu miał dobre serce i wiedział, że im leczenie jest bardziej potrzebne. Nienawidził tego paradoksu, a dosięgał go często. Że niby on ma się leczyć? Wystarczy spojrzeć dookoła.

Zadziwiali go tacy wielcy bezmózdzy gangsterzy, mega ziomale do kwadratu i ich wywody liryczne o życiu i policji. Szczególnie policji. Wspólne hasło niemal wszystkich z nich – „jebać policję” – wydawało mu się nieco absurdalne i żałosne.

Zgadzał się z tym, że do policji często trafiają „na patrole” agresywne, umięśnione jełopy ledwo po podstawówce. Potrafią się doczepić bez powodu i wlepić mandat za półdarmo. Cóż jednak począć, gdy siedzisz w kabarynie bite kilka godzin i nie dzieje się całkowicie nic? Zanudzić się na śmierć, czy trochę pouczyć pokory obywateli?

Oczywiście byle ziomal ma ich podejście w głębokim poważaniu, bo interesuje się tylko własnym dupskiem, a sam „broni” swojej dzielni dla zabicia nudy i uczy pokory innych, słabszych. To jednak przemyślenie nie na ich głowy. Nigdy nie załapią, że w kraju bez policji, bez bezpieczeństwa padliby trupem po kilku dniach.

A Łukasz założyłby się, że niejeden poleciałby pierwszy na skargę właśnie do nich. Po włamaniu na chatę lub po byciu okradzionym i pobitym. Ale najpierw ziomalek znacznie psioczył, że policji nie było tam gdzie była potrzebna. Zgubne.

A skoro on, i jemu podobni kumple, wybijają szyby w oknach i dewastują przystanki, to policja ma pełne prawo do postrzegania każdego młodego w kapturze jako potencjalnego wroga.

Najgorsze jednak, że zwykle małolaty małpują takich ziomali, gdy chcą poczuć się lepsi. Głoszą wszędzie „HWDP”, nie dość że z błędem, to jeszcze bez żadnego głębszego powodu. Bo raz ich policja spisała na wszelki wypadek, by chronić innych obywateli? Żalodne.

Ludziom niestety często brakuje alternatywnego punktu widzenia.

Kiedy dwa dresy opuściły autobus rechocząc i rzucając kurwami na cały regulator, Rejewicz schował twarz w dłoniach. Chciał przez to, na swój dziwny sposób, wyrazić zażenowanie i przeprosić podróżnych za to, że należy do tego samego przedziału wiekowego. Wiedział bowiem, że wszyscy pomyślą, że jest taki sam. Pomimo że starał się o tym nie myśleć, jego umysł, w jednym z wielu procesów myślowych pracujących w tym momencie, zabijał dwie tępe jednostki, które przed chwilą opuściły pojazd komunikacji miejskiej.

„Myślę, wiec jestem. Niestety, niektórzy nie myślą i nadal, kurwa, są.”

Pogrążony we własnych destruktywnych przemyśleniach, wprowadzających go w stan jeszcze większej melancholii, wysiadł na swoim przystanku i patrząc jedynie pod nogi powędrował na autopilocie do domu. Po wejściu na klatkę, woń rozchodząca się po rozklekotanym bloku, przypominająca tanią stołówkę, przywróciła mu poczucie czasu. Pora obiadowa.

– Łukaszku... – zażawiona matka wydobyła z siebie cichy dźwięk szlochając, gdy tylko przekręcił zamek w drzwiach.

Ona już wiedziała.

ROZDZIAŁ 8

Nie był pewien, czy jego zachowania odzwierciedlają zaburzenia, ale patrząc w tym momencie na matkę mógłby przysiąc, że jest ona podręcznikowym przykładem schizofrenii

paranoidalnej. Zapłakana, skulona i bardziej szara niż kiedykolwiek. Zdawała się kurczyć z każdą przykrością życiową. Od chwili narodzin Łukasza, aż do dzisiaj, do momentu, w którym osiągnęła ostatni poziom załamania, w taki sposób, że następny spowoduje zniknięcie.

Zadziwiająco sprawnie przebiegał przepływ informacji pomiędzy matką, a resztą świata. Pomimo że kobiecina zamknięta całe epoki w mieszanu, to jednak zdołała się dowiedzieć co Łukaszowi dolega, zanim ten zdołał się zastanowić nad jakimkolwiek wytłumaczeniem. Chyba.

– Łukaszku... – chlipnęła cieniutkim głosikiem starając się zachować odrobinę dystansu, jakby do domu wróciła zupełnie inna osoba. – Dzwonił pan doktor i mi wszystko opowiedział, nie martw się, jakoś sobie z tym poradzimy, razem.

„Jasne, przed paroma godzinami darłaś na mnie papę, a teraz mi tu Łukaszkujeś.”

– Mamo, nic mi nie jest. To przez to, co brałem tak się dziwnie zachowuję. Niedługo mi przejdzie, już nigdy więcej nie dotknę tego świństwa – okłamał siebie i ją.

– Obiecuj mi, proszę cię – po wyrazie twarzy widać było, że w jej głowie właśnie następował koniec świata.

– Obiecuję, tylko nie mów na razie ojcu... o ile wróci.

Ojciec pasował do definicji rozszczepienia osobowości. Pierwsza postać – pełen nienawiści, pustki i zgryźliwości, ot stary trep. Na dodatek najebany. Bo to właśnie ten ostatni czynnik wywoływał to oblicze. Drugą natomiast, była osoba pełna dystansu, patrząca na wszystko z góry, jednak ze specyficznym poczuciem humoru i próbująca do upadłego wiązać koniec z końcem. I trzeźwa.

Za trzeźwość, jakkolwiek by nie była – za nią ojca uwielbiał. Mógł być skurwysynem, gnojem i dupkiem, byleby tylko był trzeźwy. I chociaż większość czasu chodził pijany, to jednak Łukasz starał się wspominać dobre chwile, szczególnie z dzieciństwa, w którym trzeźwa postać ojca miała duży wpływ na jego dobre samopoczucie. Niestety, miał tę pewną przypadłość, tak jak wiele innych postkomunistycznych obywateli – nie miał pozytywnych faz. Nie po wypiciu.

Łukasz, jak się napił – kochał wszystko i wszystkich. Stawał się duchowym hipisem zmieszonym z komikiem kabaretowym i buddą. Nigdy nie był agresywny, nigdy nie sprawiał innym przykrości i krzywdy. Ot, narąbany ideał. Miał nadzieję, że tak mu zostanie do końca życia...

„Grunt to nie popełniać błędów swoich rodziców. Po kilku generacjach powinniśmy powstać nowi, wspaniałe gatunek naddludzki.”

Może powinien zacząć od swojej.

Tymczasem filozoficzne rozwody nad sensem tego całego ziemskiego bagna rozwiła przeraźliwe, zimno brzmiące:

– Łukaszku, byli tu panowie policjanci przed chwilą. – Strugi dodatkowych, świeżych łez zalały twarz matki. – Twój tata nie żyje. Popułnił samobójstwo. Z mostu...

Jedyna informacja jaka mogła go zdziwić w tym dniu, oprócz wybuchu trzeciej wojny światowej i wielkiego meteoru zbliżającego się do tego nędznego szamba, właśnie została wypowiedziana. I w tym oto przepelnionym stęchlizną starych dywanów przedpokoju, dowiedział się drugiej rzeczy, która miała zamiar mu zmienić życie. Nawet nie zdążył usiąść, zdjąć butów i uzmysłowić sobie faktu, że mają go za szajbusa. Stał jak figura woskowa, pomiędzy progiem, sobą i matką, powoli zalewając się zimnym potem i ciepłymi łzami. Oparł rękę o szafę by nie upaść, lub by po prostu okazać jakąkolwiek reakcję, ponieważ sam w głębi podświadomości nie wiedział jak się powinien w tym momencie zachować. Stać jak wryty? Zemdleć? Niedowierzać? A może rzucić się w objęcia matki i rozplakać? Lecz zamiast jakiegokolwiek filmowego efektu, stał jak posąg, oparty o ścianę. Mijały sekundy, lub minuty, stracił rachubę czasu i zdawało mu się, że został uwięziony w jakimś szarym i smutnym obrazie, na którym klaustrofobiczny przedpokój był teraz kilka razy większy, pochłaniający wszelkie światło i kolory.

„Czy tak reagują na śmierć bliskiej osoby inni ludzie?” – chciał zacząć się zastanawiać, lecz wiadomość o ojcu przepelniła mu dogłębnie wszystkie procesy myślowe. Chciał jakkolwiek się zachować, lecz nie mógł, zablokowany niewidzialną siłą, która zadała mu nieoczekiwany cios w plecy. Gdy już ręce zaczęły się tak pocić, że zostawiły mokry ślad na szafie, będący jedynym zewnętrznym znakiem jego uczuć, wykrztusił z nadzieją o wypadek:

– Trze... Trzeźwy był?

– Tak.

Teraz do niego dotarło, że ojciec miał dość wszystkiego. Życie tak mu nakopało, że zdecydował się na ten ostateczny krok. Jakże odważny i egoistyczny, zostawiając i raniąc tyle osób za sobą. Lecz mógł także zrobić to jako przysługę, za te wszystkie cierpienia i bóle sprawiane innym, za bycie gnojem i moczyczą. Może jakaś trzeźwa i skrzywiona myśl w jego głowie podsunęła mu to rozwiązanie, przedstawiając mu zbawienie pokrzywdzonych

ludzi poprzez jego śmierć. Jakże bardzo zniekształcone musiało być jego postrzeganie świata, by zamiast próby naprawienia swojego życia, wpaść na pomysł by je zakończyć.

Cisza, sygnalizowała nadchodzące zło.

To był dzień, w którym oficjalnie został sam na świecie. Ominął matkę i wszedł do swojego pokoju. Za plecami usłyszał cichutkie:

– Dostałeś wezwanie na policję jutro, żeby spisali twoje zeznania. Nie martw się Łukaszku, jakoś sobie poradzimy – skłamała, bo nigdy sobie nie radzili. Nie ze sobą, a co dopiero z życiem.

Dla ludzi wartości nabierają rzeczy i zdarzenia odległe, które przez pryzmat marzeń są czymś nieskazitelnie pięknym. Myślał naraz o przeszłości z ojcem i przyszłości bez ojca, byleby tylko uniknąć kontaktu z teraźniejszością.

W takich chwilach czuł, że koniecznie potrzebuje kolejnej dawki Can-D. Zamknął drzwi i włożył rękę w szparę w łóżku, między materacem, a oparciem. Po chwili szukania, odnalazł opuszkami palców papierowe zawiniątko, w którym był jego wymarzony narkotyki. Chwycił mocno w garść i wyciągnął, nie okazując przy tym żadnych emocji. Zupełnie jak figura woskowa, na dodatek kiepskiej jakości. Zasłonił twarz rękoma, a po chwili dało się słyszeć delikatne nieśmiałe szlochnięcie. Kap. Kap. Kap...

Oto on. Niedoszły geniusz. Siedział bez żadnych perspektyw, kochając świat i nienawidząc zarazem jego wydarzeń. A im częściej chciał uciec od rzeczywistości, tym ta bardziej sprowadzała go na ziemię. Z razu na raz z coraz większym impetem, pokazując kto tu rządzi. Zapewne ojciec miał to samo uczucie. Oto on.

„Wykapany tatuś”.

Po tej myśli natychmiast zerwał się na nogi i cisnął papierkiem w ścianę z taką siłą, że dało się słyszeć jak tabletkę wewnątrz rozpada się w proch.

– Nie mam zamiaru skończyć jak mój ojciec! – wrzasnął, lecz w zasadzie do siebie. Głośnym szlochającym szeptem, by nikt nie musiał go brać za jeszcze większego wariata.

Kilka minut wgapienia się w nicość przypomniał sobie ostatnią wymianę zdań między nim, a ojcem. Jak to zwykle w przypadkach nagłej śmierci bywa, był to najgorszy dialog jaki mógł mieć miejsce i od razu zalał jego zdruzgotany mózg wyrzutami.

– Tato, widziałeś, że znowu rozgrzebali ulicę Dmowskiego? Teraz przejechać nie idzie i trzeba albo godzinę czekać, albo objechać całe osiedle.

Łukasz zagadał z całkowicie przyjacielskim i nienacechowanym negatywnie tonem, jednak przeczuwał nadchodzący problem, jako że ojciec był już po kilku piwach.

– No i co z tego? Przecież i tak tamtędy nikt z nas nie jeździ. Nawet nie mamy zasranego samochodu. Czy ty musisz się o wszystko dojechać, przypierdolić i narzekać, że ci się nie podoba?

Nie miał wtedy sił na tłumaczenie swoich intencji, ponieważ wiedział, że to i tak jak zawsze okaże się bezcelowe. Tym bardziej, że awantura już wisiała w powietrzu, a jakiegokolwiek dalsze próby dialogu zostałyby odebrane jako kolejne narzekanie.

Nigdy nie został, ani nie zostanie zrozumiany przez swoją wypaczoną rodzinę, która miała już jednego członka mniej.

Trip narkotykowy był jedyną dla niego możliwą formą ucieczki. W głębi serca kochał podróżować, jednak do tej pory mógł to jedynie robić w myślach. Nieszczęsny los chciał, że urodził się w bagnie, z którego należy uciec. A jeszcze nie tak dawno, po połowie dawki Can-D, miał wspaniały zamysł na swoje dalsze życie, na rodzinę. Piękną żonę z synkiem i córką czekającą na niego u progu, gdy wróci z pracy. Podczas gdy dzieci tulą się do nóg tatusia, bo szkraby ledwo nauczyły się chodzić, on całuje żonę na powitanie w gorące i piękne usta. Stoją przez chwilę i wymieniają się zakochanymi spojrzeniami, podczas gdy dzieci chwają się nowymi rysunkami, jakie namalowały w przedszkolu. Jeden przedstawiający całą, szczęśliwą i kolorową rodzinę z ogromnymi uśmiechami i serduszkami dookoła głów. Drugi, podpisany „wymarzony dom”, na którym widnieje ten sam malutki domek, w którym oni teraz właśnie wszyscy mieszkają. Tylko samochód trochę inny, mniej koślawy, ale to do zrobienia w przyszłym roku po premii. Tymczasem w domu, zza uchylonych drzwi od kuchni roznosi się woń nadchodzącego obiadu, który zjedzony we wrzącej miłością atmosferze pozbawiłby momentalnie wszystkich codziennych problemów. Bo liczy się tylko, że są. Razem.

Kap. Kap. Kap.

ROZDZIAŁ 9

Gdy otworzył oczy, za oknem było już ciemno. Musiał nagle zasnąć przytłoczony wydarzeniami dnia, z którymi jeszcze się nie pogodził. I chyba nigdy nie miał zamiaru. Jedyne światło dawała malutka lampka na stoliku koło łóżka, oświetlająca zrobione na tacy kanapki. To pewnie mama zrobiła pierwszy raz od kilkunastu lat synowi kolację. Znak

jedności? Okazanie miłości? Niezbadane są działania ludzkie. Wstał, zmierzwił jeszcze bardziej włosy na głowie i poszedł do kuchni.

– Zrobiłaś mi kolację? Dz... dziękuję – wyjąkał, nieprzyzwyczajony do takich gestów, które wyrażały inne uczucia niż negatywne.

Brak odpowiedzi i błyszczące łzy mamy odbijające delikatny płomień papierosa zapewne sygnalizowały, że woli zostać sama w swojej kuchni, na swoim taborecie. Tak jak zawsze.

Nie miał już ochoty, by z powrotem położyć się spać, więc zasiadł do stolika z lampką, żeby zjeść matczyną kolację. Jak za starych czasów. Powoli, nie śpiesząc się, zaczął rozmyślać o ojcu. Pomędzy nienawistnymi momentami skrywanymi w otchłaniach jego traumatycznych wspomnień, starał się odnaleźć te piękne chwile, by w ostatnim rozrachunku uznać tatę za wspaniałego człowieka. Przypomnił sobie jak tata przyniósł pewnego dnia jego pierwszy rower, zupełnie bez okazji. Zostawił go bez słowa pod Łukasza drzwiami i cierpliwie czekał w przedpokoju aż wróci z gry w piłkę, by nie ominąć jego pierwszej reakcji. Pamiętał również, jak wspólnie grali w „piłkarzyki” na jedynym w jego życiu rodzinnym wyjeździe w góry. Ojciec specjalnie dawał mu na samym końcu wygrywać, by zobaczyć radość syna po ciężkiej i wyrównanej grze.

Łukasz z zakamarów pamięci wyławiał najodleglejsze wspomnienia i pociągał nosem ze wzruszenia, z przeszklonymi oczami. Naprawdę zaczął żałować, że tata odszedł. Nawet jeśli te realne wspomnienia nie różniły się od nierzeczywistego snu, nawet świadomość, że ojciec nadal by pił i niszczył nieświadomie wszystko na swojej drodze – to Łukasz chciałby, by nadal żył. By był dumny z syna, by pokochał życie i mógł odejść szczęśliwy.

Niestety, najbardziej ojca zaczął potrzebować, gdy ten czuł się najbardziej niepotrzebny. Typowy paradoks życiowy, którego siłą napędową są słabości ludzkiego charakteru. Dopiero po stracie zaczął doceniać, co ojciec dla niego zrobił, czego nauczył i co dał. I jakkolwiek mało by nie było tych wszystkich rzeczy, warto je wspomnieć i podziękować za wspólne wesołe chwile, bo wypełniły częściowo pustkę, którą czuje po jego odejściu. Warto zdać sobie sprawę w szczęśliwych momentach, że po jakimś czasie to właśnie je będziemy wspominać ze wzruszeniem. I doceniać, ale za późno.

A gdy teraz on chętnie by się przeszedł z ojcem na ryby, porozmawiał jak dorośli ludzie, o pierdołach, czy nawet polityce, by poznać poglądy bliskiej osoby – było na to za późno. Zawsze chciał, jednak odkładał to w nieskończoność, tłumacząc się niestosowną chwilą, nudą ojcowskiego towarzystwa lub nienawiścią do niego. A teraz najchętniej by

poszedł i wyrwał go siłą ze środka nocnej zmiany w pracy i zaciągnął na pogaduchy z wędkami nad jezioro. Za późno.

„Bardzo bym chciał jeden dzień wolny od życia”.

Zewsząd napar białego powietrza wdarł się napastliwie do płuc wyduszających ostatnie tchnienie przeciętnego tlenu. Nagle szarość przeobraziła się w błękitne barwy letniego nieba, by po chwili zrównać zieloność poświaty z wiosenną łąką tworzącą nieśmiało odbłaski w zakamarkach pokoju. Stało się. Natychmiastowo pokój ogarnął jaskrawy blask kolorów, które do tej pory istniały jedynie na upiększonych fotografiach początkującego artysty. Gdy rozejrzał się po pomieszczeniu, zamiast burej nicości zastał wodne i trawiaste palety odbite przez jego przeszkłone spojówki, w całości prezentujące karykaturalne, lecz piękne, narkotyczne oblicze pomieszczenia. Klitka przystosowana dla jednej mizernej osoby, rozświetlona w ciemności błędnym zwierciadłem kolorów, rumieniła się coraz bardziej pozornym kolorytem marzeń i wspomnień, które w tym momencie myszkowały po Łukaszowej świadomości. Źródłem światła stały się natychmiastowo niewielkie, lecz ogarniające całość nieszczęścia, ciała szkliste koloru nijako-czerwonego, dające poczucie zielonkowości pomieszanej z błękitem ścian, które w domyśle prezentowały się szpitalnie białą. A gdy wzrok przesunął się niechętnie w drugi kąt znienawidzonej przestrzeni, pośród jaśniejącej piękności stworzył się nieśmiało niewielki płomyk wydźwięku nostalgicznego z dodatkiem szczypty przeinaczenia spowodowanego składnią każdego umysłu. Coraz ciemniej. Coraz ciemniej. Oto dlaczego cisza sygnalizowała nadchodzące zło.

Zerwał się na równe nogi i ruszył do drzwi. Trzask. Chlasnęły za nim. Winda. Szybko. Trzeba się stąd wyrwać. Miał ochotę biec wprost do prosektorium. Ale jeszcze większą ochotę miał, by cofnąć się w czasie i zrobić co trzeba. Oto właśnie czego doświadczył. Doświadczył doświadczenia. Największego gówna ewolucji, które otrzymujesz, gdy tak naprawdę nie jest ci już potrzebne.

Gdy był już na dole, zapiął do końca zgarniętą wcześniej bluzę z kapturem i ruszył przed siebie. Snopy latarni zdawały się wirować w rytm jego pulsu, który coraz to bardziej przyśpieszał. Szedł, jeszcze niewiedomo gdzie, ale szedł. Chciał się rozładować, chciał się wypłakać, chciał umrzeć i jednocześnie zacząć żyć. Chciał zmienić wcielenie – natychmiast. Mijał cały czas opuszczone ławki, zaniedbane nocą piaskownice i rozbite świeże butelki po piwach. Przy najbliższym bloku minął również śniade postacie, krzywo spoglądające na przybysza znad kapturem i dżokejek niedbale, lecz nie z zimna, nałożonych na puste czerepy

wypełnione gównem i trocinami. Zwykli i przeciętni ludzie dawno zamknięci w swoich PRL-owskich kanciapach, wyglądali raz po raz na osiedlowe krzyki i tłuczone butelki. Byleby zaspokoić ciekawość. Nowa awantura, nowe butelki fruujące przed blokami, nowe darcie szczeniackiej plebsowskiej mordy wypełnione nienawiścią i kretynizmem skierowanym do niewiadomo czego. Ot, nuda.

A gdy mijał kolejne wylęgarnie pospólstwa, gdy przechodził koło następujących po sobie śmierdzących klatek i ławek, zielonkawe zmazy ogarnęły jego spojrzenie i wyświechtana niebieskość zastąpiła drogę. Przystanął na chwilę, by załapać równowagę, stwarzając pozory przeciętnego obywatela gówna i syfu lekko zamroczonego fantazją. Zacisnął oczy i zęby, wtem i wizja ustąpiła miejsca rzeczywistości. Gorzej nie mógł trafić.

Przecisnął się jeszcze między dwoma obskurnymi blokami, wynurzył się ze swojego osiedla i wciągnął głęboko powietrze niczym topielec, który szczęśliwie uratował się od wody. Bliskość centrum miasta radowała go z jednego głównego powodu: tutaj się zaczęli pojawiać cywilizowani. Nie ludzie. Ludzi już nie ma, pozostały tylko małpy i świnie. Jednak uradował go widok wracającego do domu namiastki biznesmena w garniturku, zapewne po nadgodzinach lub, co bardziej prawdopodobne, po pobycie u kochanki. Niedbale zapięta i pognieciona koszula wystająca spod garniaka miała na celu dodać luzu, lub symbolizować zabieganie i roztargnienie. Na młodej twarzy, która mogłaby być rówieśnikiem Łukasza, niesplamionej jakimkolwiek zarostem, gładkiej jak dupsko niemowlaka, malował się pełen hipokryzji i sarkazmu lekki uśmiech, którym poczęstował przechodzącego obok Rejewicza.

Ulicę dalej wymiotował. Zgięty w pół, opierający się jedną ręką o największe, najwięcej zasłaniające drzewo, patrzył z niedowierzaniem jak ponura breja rzygów spływa po korze.

– Poetycko – powiedział pod nosem i w myślach utkał sobie artystyczną wizję siebie rzygającego na widok tego całego gówna, zwanego światem. Jednak to najbardziej romantyczne wyjaśnienie jego wymiotów miało na celu oddalić inną myśl, bardziej realistyczną i prawdopodobną: – Chyba naprawdę jest coś ze mną nie tak – wymamrotał już nieco głośniej. Spojrzał na swoje kolorowe dzieło z obrzydzeniem i stwierdził, że nic podobnego nie jadł.

„Pewnie wyrzygałem jutrzejszy obiad.”

Wyjrzał zza drzewa i przebiegł wzrokiem po ulicy w poszukiwaniu naocznych świadków jego zeznaczenia. Bał się pogardy i pokpiwań. Nie po to sam sobie udowadniał, że

jest coś więcej wart, niż ta banda zakapiorów stojących pod klatkami i drącymi japy. Nie po to szukał psychicznego oparcia w każdej napotkanej drobnostce, by byle rzygnięcie zniszczyło mu opinię o samym sobie wspartą komentarzem, lub wymownym spojrzeniem innych.

Nikogo. Pustka.

Pomimo bólu brzucha, wyprostował się i zamknął oczy. Chciał policzyć do dziesięciu, lecz z tych bezsensownych zamiarów wyrwał go głośny szelest przypominający deptanie po suchych liściach i tarmoszenie reklamówki. Nie był w stanie określić jego źródła, zdawało mu się, że odgłos pochodzi ze wszystkich stron.

„Czy tak zaczynają się głosy w głowie?”

Szelest ucichł. Tak jak i wiatr oraz wszelkie odgłosy poza oddechem i biciem serca. Zupełnie jakby bóg, jeżeli jest, nacisnął pauzę na swoim pilocie i jedynie Łukaszowi zezwolił na „Play”. Tak jak minutę temu mógłby przysiąc, że nikogo w pobliżu nie było, tak teraz zauważył starą kobietę siedzącą na przystanku kilkanaście metrów od Łukasza. Starczy wiek poznał po pomarszczonych i grubych dłoniach, a płeć po grubej i sfilcowanej sukni, która w tym świetle wyglądała szaro, jednak domyślnie miała kolor, najprawdopodobniej, jasno granatowy. Twarz kobiety przysłaniał cień przystankowego dachu, a latarnia swoim dziwnie pomarańczowym blaskiem stwarzała wrażenie jedyne źródła światła w okolicy. Kobieta siedziała nienaturalnie wyprostowana jak na swój wiek. Podczas gdy większość osób w podeszłym wieku co najmniej lekko garbieje, ta zdawała się mieć posturę nastolatki. Groteskowości dodawał jej całkowity brak ruchu, który wzmocnił wrażenie wyrwania z czasu, a pełna materiałowa siatka spoczywająca przy nodze sugerowała niedawno zrobione zakupy. Łukasz spojrzał na zegarek.

„22.22”.

Gdyby miał wskazówkę sekundową gapiłby się na nią, by się upewnić, że czas faktycznie płynie. Tymczasem jedynym rozwiązaniem była próba wywołania jakiegokolwiek interakcji ze światem.

Zdarzały mu się sny, gdy w podobnych okolicznościach, znajdował się sam w środku, zdawałoby się, żyjącego miasta lub ruchliwego miejsca. Dookoła jedynie szare bloki, krzywo zaparkowane samochody i agresywna, napięta atmosfera, którą każdy śniący koszmary powinien zrozumieć. Tutaj jednak, mimo znajomej statyczności i klaustrofobicznej przestrzeni między nim, a przystankiem, czuł lekkie drżenie mięśni i napięcie nerwów. Od

wrażenia snu odsuwał go także fakt, że był w stanie sprawdzić godzinę. A przecież każdy rozbawiony wie, że jednym z objawów snu jest brak możliwości przeczytania czegokolwiek i sprawdzenia która jest godzina. Zerknął jeszcze raz.

„22.22”.

Zadrzał. Ściskanie w żołądku ustąpiło na rzecz narastającego zaniepokojenia, które, jak wyczuwał, miało zamiar przerodzić się w strach. Gotów był przysiąc, że stał tak zawieszony ładnych parę chwil, a od ostatniego spojrzenia na zegarek minęła dłużej niż minuta. Czasem umysł płała figle czyniąc pojęcie czasu całkowicie względnym. Raz dziesięć sekund odczuwa się jak minutę, innym razem dwie godziny zlatują, zdawałoby się, w pół. Był gotów usprawiedliwić się tą właściwością ludzkiego umysłu tylko po to, by pozbyć się tego rosnącego z każdą myślą zaniepokojenia. Rosnącego. Bez względu na to, czy pozytywnie wytłumaczył sobie sytuację, czy nie. Z każdą sekundą czuł jak serce lekko przyspiesza i jest gotowe wrzucić kolejny bieg, lada moment.

Poczuł się wariatem. O ile wcześniej panował nad swoimi reakcjami, halucynacjami i urojeniami, to teraz zdawał sobie sprawę, że może niechcący ześwirować jeżeli jeszcze jakiś dziwny impuls pokaże, że coś jest nie tak z rzeczywistością, w której się znajdował. Na typowej jeździe po Can-D bez trudu potrafił odróżnić zwidy od autentyczności. W końcu racjonalnie myśląc, rozplywający się stół czy pękające ściany, na które nikt nie reaguje, muszą być wytworem znarkotyzowanej wyobraźni. Aż taki głupi nie był.

Dość miał stania i braku reakcji, niepewnie ruszył nogą i zrobił pierwszy krok w kierunku odrapanego przystanku. W zasadzie tylko po to, by udowodnić sobie, że wszystko jest pod kontrolą i jest całkowicie normalny.

Poczuł się jeszcze bardziej nieswojo. Zdał sobie sprawę, że jego wymuszony i niepewny krok musi wyglądać komicznie. W myślach ujrzał własną karykaturę przypominającą dziecko, które dopiero uczy się chodzić. Z metra za metrem, zbliżając się coraz bardziej, zaczął dostrzegać coraz więcej szczegółów przystanku autobusowego. Stare ogłoszenia, na wpół zerwane i wyblakłe od wody i słońca, odrapany lakier, całkowicie wybite szyby i miliony wypalonych papierosów na ziemi dookoła. Typowe obskurne przystanisko. Niestety siedząca postać za nic nie zyskała na detalach w miarę jak podchodził bliżej. Co gorsza, wydawała się być nieznacznie rozmazana. Zupełnie jakby miał wzrok po wypiciu paru piw, który lekko mąci przestrzeń w tylko tym jedynym miejscu.

„Ale zaraz, zaraz. Tu chyba nigdy nie było przystanku?”

Obawiał się tej myśli. Od samego początku był w głębi duszy pewien, że podświadomość podrzuci mu prędzej czy później to koszarne pytanie. Jak na złość, jak gdyby był zbyt mało poschizowany i potrzebował kolejnego ciosu w plecy. Strach otworzył mu oczy najszerszej jak mógł, a nogi odmówiły posłuszeństwa. Był teraz więźniem w sparalizowanym ciele i zdawało mu się, że jedynie synapsy i komórki mózgowe działają tak jak powinny. Stał jak wryty, tym razem na środku ulicy, zastanawiając się, czy aby na pewno chce zaspokoić swoją ciekawość. Czuł się jak postać w horrorze, która na przekór wszelkim racjonalnym i logicznym argumentom pragnie iść w samo centrum zła tylko po to, by za chwilę zaskoczyć widza swoją śmiercią. Czarne pięcioletówki zajęły miejsce źrenic i chłonęły łapczywie każdy najmniejszy bodziec zmysłowy docierający do umysłu. Gdy powoli instynkt i pierwotne odruchy, pamiętające jeszcze człowieczeństwo w jaskiniach przejęły kontrolę nad ciałem Łukasza, najwyżej metr od niego przeleciała leniwie biała reklamówka.

Drgnął wystraszony, a gdy zdał sobie sprawę z zerowego niebezpieczeństwa odprowadził ją wzrokiem za zakręt ulicy gdzie podążyła dalej za swoim przeznaczeniem. To w pewien sposób irracjonalnie dodało mu odwagi i teraz zamiast stać jak figura woskowa ostrożnie przemieścił się jak najbliższej postaci. Gdy zrobił te kilka kroków w jej stronę, postronnemu człowiekowi zdawać by się mogło, że idzie niemal na palcach, zupełnie jak gdyby nie chciał jej obudzić.

– Usiądź Łukaszu. – Głos dobiegający z nikąd pochodził prawdopodobnie od kobiety.

Łukasz, stojący już po drugiej stronie ulicy przy przystanku, mógłby przysiąc, że jej usta poruszyły się zupełnie niewspółmiernie z wypowiedzianym zdaniem. Od razu skojarzył tę groteskę z dubbingiem filmowym. I od razu, po raz pierwszy w życiu, poczuł że ze strachu można faktycznie zemdleć.

– Usiądź, porozmawiamy. – Przyjemny, wyrozumiały babciny głos rozległ się znowu w głowie Rejewicza.

Uciekać nie chciał. Obawiał się, że to wszystko to jego jedna wielka paranoja i biorąc nogi za pas wyjdzie na kompletnego świra, którym już podobno był. Po szybkiej analizie zysków i strat usiadł dwa miejsca dalej na plastikowym siedzisku. Nie chciał bliżej i nie mógł. Jedynie te dwa krzeselka pozostały nierozpierzdolone przez bezmózgie sterydowe kreatury często nazywane pieśczołliwie ludźmi.

– Zauważyłeś, że starsi ludzie zupełnie nie rozumieją tych młodych? Sama jestem w podeszłym wieku i jak patrzę na was i te wasze wybryki to chciałoby się jedynie krytykować.

A potem tylko gryzę się w język i przypominam sobie jak szalałam sama będąc młoda. Niestety większość starych pierników tego nie pamięta. Nawet ci znacznie młodszy ode mnie, ledwo dzieciaka spłodzili i zapominają jak to było za młodu. A na pewno świętoszkami nie byli, he he – zaświzzczała dobrodusznym śmiechem, który wydawałoby się zaraz przejdzie w starczy kaszel. – Chcą być autorytetami. Chcą się podświadomie wycofać od tego jacy byli. Myślą, że ciągłą krytyką polepszą swój status i swoją pozycję jako człowieka doświadczonego. A guzik!

Łukasz przetrwał każdy wyraz po stokroć. Stres i strach spowodował, że każda głoska drążyła świadomość i zmuszała do bycia zapamiętaną. Pierwszy raz poczuł, że zapamiętywanie może być procesem na który nie ma się wpływu i zachodzi wbrew własnej woli. Gdy skończył, zaczął sobie zdawać sprawę ze swojej komicznej pozy jaką przybrał. Pozycja gotowa do ucieczki z jedną nogą na ulicy, a drugą na chodniku. Zupełnie jak mały ciekawski dzieciak, który z ogromnymi ślepiskami chce coś dziwnego zbadać i zaraz po tym dać dyla.

– No usiądź wygodnie. Mam ci tyle do powiedzenia.

Tym razem usłuchał z pokorą. Sam się sobie dziwił, gdy już usadowił w pełni tyłek na jedynym nadającym się do siedzenia krzeselku.

– Dobrze – wymamrotał. To było jedyne na co było stać jego wystraszonego aparatu mowy.

– Niestety, starcza demencja – usłyszał jakby wyrwane z kontekstu. Zapewne kobieta wypowiedziała ostatnią myśl z całego ciągu, które zwerbalizowane ułożyłyby się w zgrabną całość. – Mnie to na szczęście ominęło, taką mam nadzieję. Mam wrażenie, że rzeczywistość odbieram najobiektywniej na świecie. Ty pewnie także? He he. – Poczuł, jakby czytała mu w myślach. – Widzę wszystko z perspektywy trzeciej osoby. Jestem w stanie ocenić wszystko racjonalnie i logicznie, bez wkładu swoich emocji i odczuć. Czy w takim razie jestem nadal człowiekiem, czy może...

– Bogiem?

W odpowiedzi kobieta się jedynie uśmiechnęła. A przynajmniej tak przeczuwał, gdyż jej twarz nadal była spowita cieniem przystanku autobusowego i nawet z tak bliskiej odległości nie był w stanie sprecyzować jej rysów i mimiki.

Tymczasem przystanek wciąż trwał wyrwany z rzeczywistości.

Przez chwilę spoglądał na babcię koło niego. Starał się to robić periodycznie z czasem powoli zwiększając sekwencyjność. Nie chciał pokazać, że ją uważnie obserwuje. Nie chciał być źle odebrany w przypadku, gdy to całe zajście byłoby czymś innym, niż tym co miał na myśli...

Stara kobieta również zerkała chwilami na Łukasza. Szczególnie upodobała sobie spojrzenie kątem oka, gdyż głowa od początku rozmowy nawet nie drgnęła. I zdawało się Łukaszowi, że robi to idealnie w tym samym momencie, gdy on spogląda na nią. Sekunda w sekundę. Gdy on łypał na nią wraz z narastającą ciszą coraz częściej, kobieta odetchnęła.

– Łukaszu, co tak mnie mierzysz wzrokiem? I tak poprzez samo patrzenie niczego się nie dowiesz.

Milczał. I to nie przez to, że nie wiedział co powiedzieć. Tylko poprzez dziwną chłopcę skruchę, gdy ktoś dorosły przyłapie na czymś i słusznie skarci. Nie czuł tego dziecięcego wstydliwego milczenia od lat. Zawsze starał się odpyskować, dowalić i kłamliwie tłumaczyć. Szczególnie matce, którą zdarzało mu się psychicznie zgnoić za czasów nastoletnich, tylko dlatego, że zwracała mu słusznie uwagę. A ojcu... Dopiero teraz przypomniał sobie, że to uczucie szczególnie następowało przy ojcu. Przy tym ojcu, do którego miał szacunek, nie tym który się skurwił. Uzmysłowił sobie również, że gdyby ojciec zabił się pijany, nie czułby tak ogromnego żalu. Niestety wiedział, że pijany człowiek zabije się często bez większego powodu, z przypadku bądź głupiej chwili, jednak śmierć trzeźwego musiała mieć drugie dno.

Każdy człowiek posiada pewnego rodzaju fortecę myśli, do której nie dopuszcza nikogo prócz własnego ego. Często w tym pustym wyrazie twarzy, który nie wyraża najmniejszej emocji, dzieją się wewnątrz prawdziwe burze kilkunastu procesów intelektualnych. I każdy wytracony z tego myślowego transu, który trwa najczęściej podczas codziennych automatycznych czynności, nie daje po sobie poznać, że jeszcze przed chwilą dywagował sam ze sobą na temat najwyższych spraw wszechświata.

A przynajmniej Łukasz tak miał. I miał nadzieję, że pozostali też. Wszak nie siedział w niczyjej głowie i nie było możliwości sprawdzenia, czy inni mają tak samo. Jeśli jednak w większości przypadków byłoby to tylko tępe spojrzenie niesplamione jakąkolwiek myślą – niech bóg się nad nimi zlituje. Jeżeli jest.

A mógł być nawet koło niego...

Forteca myśli, na co dzień zamknięta, wydawała mu się tym razem bytować z otwartą na oścież bramą, a wylatujące z niej przemyślenia trafiały wprost do zmysłów kobiety obok.

„Może właśnie tak wygląda choroba psychiczna?”

– O czym myślisz, Łukaszu? – zapytała. Zdawałoby się normalnie, jednak sam już nie wiedział, czy to nie przypadkiem kpina z jego przechwytywanych przemyśleń.

I teraz znowu przychodziło mu odpowiedzieć. Był pewien, że cokolwiek by nie wyartykułował, to i tak będzie źle. Wykształcił w sobie to uczucie przy okazji alkoholizmu ojca, który w pewnych momentach swojej pijackiej kariery nie akceptował niczego, co należało do trzeźwej rzeczywistości.

– O niczym szczególnym. – Typowa odpowiedź dla dywagacji o wszechstworzeniu. – Kim pani tak właściwie jest? Nie rozumiem całej tej sytuacji. Nie wiem skąd pani wie jak mam na imię. Przepraszam, miałem strasznie ciężki dzień, jeden z najcięższych w moim życiu. Tylko dzień narodzin był bardziej gówniany, ale wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy. Nie wiedziałem wtedy co mnie czeka, choć mogłem się domyślać. W końcu ryczałem na cały szpital. I teraz tylko same problemy, jeden za drugim.

Nie przeklął, prawie. Był z siebie dumny, gdyż nawet w największym stresie, nędzy, niedoli i nieszczęściu był w stanie przybrać pozę numer trzy – grzecznego i lekko zagubionego chłopczyka, który swoją prawdziwą osobowość oszczędza tylko dla siebie. Odgrywanie ról przychodziło mu nad wyraz naturalnie, zupełnie jakby były to jego schizofreniczne osobowości. Porzucił jednak tę myśl. Koniec końców, na tym polega życie. Ciągłe odgrywanie ról, dla różnych grup społecznych. Osobowościowy populizm i próba dostosowania się do wymogów osób trzecich. A kto nie umie, ten trąba.

Jego współtowarzyszka delikatnie się zaśmiała. Młodzieńczym i pełnym wigoru chichotem.

– Mój drogi, życie składa się w 10% z tego co nam się przydarza i w 90% z naszych reakcji na te zdarzenia, pamiętasz tę złotą myśl? To wszystko dzieje się w twojej głowie. Dla jednego coś, co jest ogromnym problemem, dla drugiego nie stanowiłoby żadnej przeszkody. Teorię przecież znasz, czemuż by się do niej nie zastosować w dalszym postępowaniu?

Łukasz poczuł zimny dreszcz. Znowu czuł się przyłapany. Wyprostował się na siedzeniu, by pozwolić dreszczowi łatwiej spłynąć wzdłuż kręgosłupa i kątem oka spostrzegł przyklejoną kartkę z ogłoszeniem na odrapanym słupie podtrzymującym dach przystanku. Gdyby nie to, że była bardziej wyraźna od reszty rzeczywistości, w ogóle by na nią nie zwrócił uwagi. Jednak ta zdawała się emanować osobliwą aurą, zupełnie jak stara kobieta obok. Spojrzał dokładniej na ogłoszenie i zamarł. Wiedział już, że coś jest nie tak.

MIEJSCE W SNACH DO WYNAJĘCIA

Wszystkie numery oderwane. Na pożółklej starej kartce widniało jedynie to enigmatyczne zdanie.

ROZDZIAŁ 11

Gdy się ocknął, nie był pewien gdzie się znajduje. Szybkim miotnięciem wzroku po pomieszczeniu rozpoznał swoje biurko, szafę, stolik i łóżko, na którym leżał. Był u siebie. Zastanawiał się, czy to był sen czy też spotkanie wydarzyło się naprawdę, a on dziwnym trafem stracił świadomość i dotarł do domu. Takie rzeczy już mu się zdarzały, gdy wracał po mocno zakrapianej imprezie i nazajutrz starał się rozdzielić to, co było faktem od tego co było snem. Wszak jedno i drugie było jednakowo rozmazane.

Chwilę później był już na klatce i wdychał zduszone ciężkie powietrze blokowiska. Niewiele rozmyślał w kategoriach filozoficznych na temat przystanku. Musiał, a raczej czuł ogromną potrzebę by odwiedzić tamto miejsce jak najszybciej. Od tego, czy wszystko faktycznie się wydarzyło zależała jego dalsza nieunikniona panika. Teraz jednak starał się o tym nie myśleć i szybko ruszył przed siebie odtwarzając swoje wczorajsze kroki. Spoglądając na zegarek ujrzał godzinę 11.40. Wyspał się.

Nigdy nie przypuszczał, że kiedyś zeświruje. Zawsze uważał, że skoro wszystko stara się sobie racjonalnie wytłumaczyć, to choroba psychiczna nie ma szans nawet się przywitać. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że to w ten sposób nie działa. Ani nie działało. Halucynacja, jakkolwiek dziwna by nie była, daje się kontrolować tylko pod wpływem narkotyku. W końcu była to tylko umyślna zabawa, główny cel zażywania. Trzeźwość była przymusowa i narzucona odgórnie. Tak samo jak i jego odchyły na które nie miał już niestety wpływu.

Czuł się jak gdyby ktoś w jego głowie, o kim nie miał do tej pory pojęcia, spiskował przeciwko niemu.

To nie było jednak najgorsze. Zastanawiał się, czy przypadkiem od zawsze nie był świrnięty i połowa jego przemyśleń, przeżyć i doświadczeń nie należała do świata omamów. W końcu nigdy nie sądził, że ktokolwiek może podzielać jego odczucia na temat większości ziemskich spraw. W oczach ludzi widział tylko głupotę albo niezrozumienie. Z rzadka pojawiał się jedynie przeblysł obopólnej więzi myślowej, oczywiście niewerbalnej, jednakże

tak mocno widocznej w niektórych spojrzeniach. Ale i to mogło być tylko głupim złudzeniem.

Do tej pory miał częste przeświadczenie, że jest ostatnim prawdziwym człowiekiem na tej robaczywej planecie. Ta piękna romantyczna myśl pozwalała mu pokonywać przeciwności dnia codziennego. Czuł wtedy, że powszedni wiatr w oczy i ciągła wędrówka pod górkę ma jakiś wyższy cel. Teraz jednak zostało jedno wielkie gównno. Karmił się tym syfem, a raczej jego organizm karmił go tym syfem, by nie musiał podcinać sobie żył ani mordować zakutych pał. To, co wcześniej było ideologią, teraz potraktował jako nędną wymówkę dla jeszcze nędzniejszej egzystencji, która bez jakiegokolwiek (choćby urojonego) celu była jeszcze większą beznadzieją. Niestety, trzeba będzie wymyślić kolejną wymówkę dla życia. Ta już była wystarczająco sprana, by się jej wyzbyć i zdać sobie sprawę, że brzmiała dumnie tylko za czasów, gdy powstała jak był gówniarzem.

„Czy tak wyglądają wewnętrzne rozstroje chorego człowieka?”

Gdy dotarł do celu, rozejrzał się kilka razy dookoła, by upewnić się, że to na pewno tutaj. Znał to miejsce, często tędy przechodził, jednak ostrożności nigdy nie za wiele. A przynajmniej nie teraz, na skraju mentalnej eksplozji. Mimo że wytrzeszczył maksymalnie oczy, to jednak przystanku tam nie było...

– O kurwa – szok nie pozwalał mu wypowiedzieć nic więcej.

Wewnątrz umysłu już się gotowało. To nie była bajka, to nie był żaden film, ani też gra komputerowa. To było jego śmierdzące życie, które powoli zapadało się w gównnie. A przystanek autobusowy był zaworem, który teraz zniknął i pozwolił na spłynięcie szamba wraz z Łukaszem na samo dno.

– Przepraszam pana, czy na tej ulicy jest gdzieś przystanek? – zagaił speszzonego grubaska sunącego z pieskiem na spacer.

– Nie wydaje mi się. Najbliższy jest dopiero na Boryszewskiej.

Więcej się nie musiał upewniać. Był świrem.

Ochłonął dopiero po wizycie u pośredniaka, który jak co tydzień przywrócił go na ziemię. Roboty żadnej, jak na jego żadne kwalifikacje. Na nic się nie przydała znajomość języka, dyplomy ze szkoły i nawet kilka wyróżnień za olimpiady, w których często zajmował miejsca bliskie pierwszemu z fizyki i chemii za młodu. A z duszą humanisty i filozofa udało

mu się nawet i parę razy napisać eseje, który ostatecznie gubiły się zawsze gdzieś w pierwszej dziesiątce finalistów.

Nigdy nie lubił robić sobie inspekcji własnych umiejętności. Zawsze go przybijało, że potrafi niewiele więcej niż przygłupi robot kopiący rowy. A nawet jeśli potrafi, to nie ma tego na papierku, co z zasady rzeczy jest więc gównem warte. A mógł iść do zawodówki, by wyrobić sobie fach w rękę i dostać certyfikat. Mógł nawet skończyć jakiekolwiek technikum. Ale nie, ambicje wzięły górę i marzenia o studiach i karierze sprawiły, że wybrał ogólniak lepiej przygotowujący do matury niż szkoły techniczne czy zawodowe. Jak wyglądały u niego studia, wolał sobie nawet nie przypominać.

I tak przybity szedł przed siebie z wgapionym wzrokiem w chodnik. Pograżony we własnych myślach, tonący w potrzebach, pragnieniach i marzeniach.

Przygarbiony, lekko szurał butami, a wzrok podnosił tylko by na nic nie wpaść. Chociaż równie dobrze mógłby tego nie robić, bo drogę znał na pamięć. Trafiłby wszędzie do celu, nawet idąc tyłem z zamkniętymi oczami. Ręce w kieszeni i duże kroki dopełniały groteskowego wizerunku, który wyglądał jak pomieszanie poety z postacią z kreskówki.

Do mieszkania nie chciał wracać, bo nie miał po co. Kumpli nie chciał fatygować swoimi odwiedzinami. Dziewczyny nie miał. Bliższej rodziny, oprócz kwaczących ciotek nie miał. Nawet ojca już nie musiał szukać, bo dobrze wiedział gdzie się znajduje. Bez celu wydeptywał ścieżkę dookoła osiedla, półprzytomny z natłoku myśli, o których nawet najwybitniejszym uczonym się nie śniło. Wyciągnął z kieszeni zmięte wezwanie policyjne i po raz kolejny obejrzał. Zostało mu pół godziny tułaczki, zanim będzie mógł się zjawić na ustaloną godzinę. Jedyne co go mogło nastrajać pozytywnie, lecz niestety nie nastrajało, to fakt, iż jego matka była już na policji spisać zeznania i nie będzie musiał się z nią użerać w obie strony, plus na komisariacie. Zrobił jeszcze dwie rundy dookoła blokowisk i powlekł nogami w stronę komisariatu, gdzie będą go katować wspomnieniami, których wolał unikać.

Z roztargnienia potknął się na schodach przy drzwiach głównych komisariatu i wtedy też uświadomił sobie, że dotarł na miejsce. Odnowiony budynek lśnił nowym tynkiem i całkiem przyzwoitymi oszklonymi drzwiami. Dookoła przy latarniach wisiały kamery monitorujące okolice komisariatu, przez co wydawał się być nieco fortecą, która zaraz go wchłonie i wyrzyga z powrotem dopiero, gdy sama uzna to za stosowne.

Czerwona tabliczka z nazwą instytucji grzmiała złowrogo.

– Dzień dobry, którędy do pokoju 204? Ja do pana Jaśkowiaka – rzucił jak najmilej i pokorniej mógł w stronę dyżurnego. Wąsaty i przysadzisty mężczyzna przerwał oglądanie telewizji, spojrzął z ukosa i machnął ręką w stronę korytarza. Równie dobrze mógł odganiać

muchę. Łukasz ruszył niepewnie, jak gdyby nadal czekał na jakąkolwiek miłą odpowiedź, jednak za swoimi plecami usłyszał jedynie donośne odchrząknięcie wywołane zapewne tonami wypalonych papierosów.

Logika zaprowadziła go od razu na drugie piętro, gdzie wszystkie pokoje zaczynały się na cyferkę 2. Na korytarzu, prócz niego, siedziało jeszcze dwóch nastolatków z opuszczonymi głowami i jedna zapłakana kobieta. Wolał nie dociekać co przeskrobali i szybko odnalazł wzrokiem swój punkt docelowy. Na całe szczęście nikt inny nie czekał do 204. Pociągnął delikatnie kłamkę w dół, mając nadzieję, że nie wyda żadnego odgłosu. Jednak ta zaskrzypiała. Uchylił drzwi i wsadził w małą szparę jedynie wzrok.

– Można? – Omiótł wzrokiem pomieszczenie i zauważył, że może wejść. Na to przynajmniej wskazywało machnięcie ręką jednego z dwóch policjantów. Drugi siedział i skrobał coś w aktach.

– Dzień dobry, ja w sprawie...

– Nazwisko? – przerwał mu funkcjonariusz. Jego ton głosu nie był ani rozkazujący, ani pytający. Był nijaki, równie dobrze mógł mówić do człowieka przy drugim biurku.

– Rejewicz. Ja do pana Jaśkowiaka.

– A to proszę tutaj, właśnie na... – omiótł Łukasza wzrokiem. – ...pana czekałem. Pan usiądzie.

Gdy Łukasz usadowił tyłek na wytartym krześle, policjant sięgnął do szuflady po zbitek papierów w szarej aktówce. Wyglądał na umiejętnego faceta, któremu nabrało się nieco brzuszka za biurkiem. Chyba nie tak wyobrażał sobie swoje życie. Obojętna, lecz zmęczona twarz i przenikliwe oskarżycielskie spojrzenie zupełnie nie współgrały ze sobą.

– Pan Rejewicz... – powtórzył pod nosem i wyszperał z akt jakiś arkusz. – Potrzebujemy zeznań panie Rejewicz, w sprawie samobójstwa ojca. Zresztą, zapewne to jest panu wiadome – wbił wzrok w Łukasza jakby w głębi ducha oczekiwał zupełnie innej odpowiedzi, co by sprawiło, że codzienna rutyna nabrałaby rumieńców.

– Tak, wiem – odpowiedział, a funkcjonariusz zabrał się za wypełnianie rubryczek.

Pokój w którym przebywał był niewiele większy od jego własnego, w blokowisku. Jedynie pancerna szafa i godło narodowe zawieszona na ścianie dawały znać, że dzieją się tu poważne rzeczy na skalę osiedlową. A może nawet miastową. Ramka ze zdjęciem na biurku policjanta sugerowała jakąś kobietkę w zanadru lub, co gorsza, nawet dzieci do których trzeba czym prędzej wrócić i zapomnieć o śmierdzącej patologii, która puka regularnie do tych drzwi. Ratował się próbami kpiny, by poczuć się pewniej i zrównać policjantów do swojego poziomu. Poziomu ludzi.

– Nie zastaliśmy pana wczoraj. Po mieście się szlajamy, co? – powiedział nie odrywając wzroku od kartki.

– Dotarłem parę minut po tym jak panowie wyszli. – Reszty odpowiedzi celowo uniknął.

– No dobra. To lecimy. Czy zna pan jakiś powód dla którego pana ojciec mógł popełnić samobójstwo?

– Nie znam żadnego konkretnego.

– A niekonkretne? – oderwał długopis od kartki i spojrzał uważnie na Łukasza.

– Też nie. Pewnie miał po prostu dość wszystkiego...

– Coś się działo w pana rodzinie, co mogło być tego przyczyną?

– Nic, co nie działałoby się na co dzień – odpowiedział zgodnie z prawdą, jednak powstrzymał się od szczegółów.

– Czy wiedział pan o jego zamiarach?

– Nie. Nie miałem pojęcia.

– Kiedy go pan widział po raz ostatni?

– Jak ostatni raz wyszedł z domu. To było chyba przedwczoraj.

– Chyba? To pan nie pamięta?

– No tak jakoś wyszło. – Podrapał się po karku. – Mam kiepskie dni ostatnio. Wszystko mi się zlewa. To pewnie przez ten szok... – chciał, by brzmiało to jak najszczerzej, jednak policjant pokręcił głową i wrócił do pisania.

– Czy podejrzewa pan, że ktoś mógł go nakłonić do targnięcia się na własne życie?

– Nie.

– Czy zna pan kogoś, kto mógłby mieć na temat samobójstwa jakieś informacje?

– Niestety nie.

Łukasz jeszcze kilkanaście minut obserwował cierpliwie jak funkcjonariusz zapełnia kolejne linijki swoim niedbałym pismem i wypełnia tajemnicze druczki. Gdy już było po wszystkim, odczytał na głos napisane zeznanie i kazał się podpisać w kilku miejscach. Zebrał wszystkie papiery i postukał grzbietem o biurko, by je wyrównać, a następnie włożył z powrotem do teczki, która zapewne zawierała wszystkie szczegóły dotyczące śmierci ojca Rejewicza.

– Wolny.

– Dziękuję. – Łukasz wstał i skierował się do wyjścia. Kątem oka dostrzegł jak policjant ładuje całą kartotekę do ogromnej szuflady. Stamtąd trafi do archiwum i już nigdy

więcej nie ujrzy światła dziennego. Być może spłonie kiedyś razem z innymi w piecu, w ramach oszczędzania miejsca lub zmiany stroju.

Wyszedł z pokoju i automatycznie skierował się do wyjścia. Wbił ręce w kieszenie na znak, że nie ma zamiaru przez jakiś czas kontaktować się z rzeczywistością. Teraźniejszość była dla niego rozmazaną plamą, na którą spoglądał jak przez brudne okulary. Miał jedynie zarys aktualnych wydarzeń, podstawowy szkic wszechogarniającego szamba, które nazywał pieczołtliwie własnym życiem. Za to przeszłość rysowała się nad wyraz klarownie. Wszystko widział i pamiętał wyraźnie, wraz z najdrobniejszymi detalami, które, wydawałoby się, powinny uciekać z pamięci z powodu swojej błahości i nieistotności. Frustrowało go, że doskonale pamięta fragmenty z dzieciństwa, szczególnie te związane z jego ojcem, a wyleciały mu z głowy wydarzenia sprzed kilkunastu minut. Co robił? Był na komisariacie? Którędy tam dotarł? Czy tak wygląda głęboka trauma?

Spostrzegł, że już jest na zewnątrz dopiero, gdy lekki podmuch wiatru wcisnął mu dziesiątki ziarenek piasku do oczu. Nawet nie zaklął. Pogodził się chwilowo z losem.

I tak ostatecznie zawędrował do biblioteki. Miejsca, które było jedynym pozytywnym przemawiającym za mieszkaniem w okolicy. Jeszcze kilka lat temu często do niej chadzał, teraz jednak robił to coraz rzadziej. Nie z braku czasu, tylko z braku pozycji, których jeszcze nie przeczytał, a które mogłyby go zainteresować. Pech chciał, że regały biblioteki zasiane były albo to badziwnymi romansidłami, albo klasykami pokroju Mickiewicza i innych podobnych starożytnych pierdół dla zdewociałych polonistek. Szkoła wystarczająco obrzydziła mu wszystko, co przypominać by mogło lekturę szkolną. Ze względu na szajbniętą nauczycielkę i ze względu na jedyną słuszną interpretację każdego dzieła, zapisaną w jedynej słusznej książeczce podręcznika szkolnego. Nowych pozycji dawno tu nie uświadczył. Do niewielkiej osiedlowej biblioteki na ogół trafiały pozółkłe buble sprzed kilkunastu lat dostarczane przez tych, którym szkoda było wywalić książki na śmietnik.

Wszedł do środka i jego nozdrza wypełnił zapach stęchłego papieru i kurzu. W tym starym, przypominającym przerobioną kamienicę budynekczku, cały parter należał do właściciela biblioteki. Wybudował nawet oddzielne wejście, by odwiedzający nie musieli mieć styczności z mieszkańcami, którzy zapewne wywołaliby z tego powodu jakiś konflikt. Wielkie skrzypiące drzwi z mosiężną klamką odsłaniały jedno duże pomieszczenie zawałone mocno brązowymi regałami i półkami, na których kurz, wydawałoby się, wzmacnia swoją grubością całą drewnianą konstrukcję, bo bez niego by się rozpadła. Pierwsze kroki zawsze powodowały skrzypienie parkietu, które zawsze było najgłośniejszym dźwiękiem w całej bibliotece. Łukasz, już dobrze wprawiony zawsze stąpał po wybranych klepkach

wywołujących, jego zdaniem, najmniejszy hałas. Z perspektywy trzeciej osoby wyglądał, jakby chodził po polu minowym, co wywoływało w jego umyśle lekkie zażenowanie, jednak nie większe gdy miałby być przyczyną rozkojarzenia czytających poprzez spowodowanie skrzywienia. Wolał się nie pograżać i nie kojarzyć sobie tym podobnych czynności z fikcją. Już był wystarczająco zdołowany.

Za starym meblem przypominającym skrzyżowanie lady z biurkiem siedziała pomarszczona kobiecina będąca zarazem jedyną pracownicą biblioteki i żoną właściciela. Pomimo szkaradnego wyglądu Łukasz zawsze twierdził, że jest jedną z bardziej sympatycznych i bezinteresownych osób na tej planecie. Głównie z racji tego, że wszystkie biblioteczne usługi miał darmowe, pomimo że cały interes śmierdział bankructwem. Skinął jej głową na powitanie, a ona odpowiadając uśmiechem powróciła do maratonu układania pasjansa, którego katowała na przedpotopowym bucującym komputerze służącym za archiwum.

Łukasz poszybował w stronę ostatniego, najciekawszego regału, w którym znajdowały się wszelkie książki wyższych lotów, wliczając w to publikacje naukowe i zbiory opowiadań fantastyki przy których uwielbiał się odrywać od rzeczywistości. Przystanął jednak w połowie drogi i wszedł pomiędzy komiksy. Tak naprawdę to właśnie tam chciał trafić. Nawet jeśli w momencie wchodzenia do intymnego sanktuarium biblioteki świadomość wyłączyła przykre myśli, to jednak podświadomość wciąż tłamsiła problemy i tęskniła za ojcem. A to właśnie niektóre z tych komiksów dostał od ojca wypożyczone w czasach, gdy nawet telewizor musieli sprzedać, by mieć na chleb. I pomimo, że był to okres największej biedy, której źródeł nigdy nie rozumiał ze względu na swój młody wiek, to jednak wspomina je najcieplej. Najprawdopodobniej dlatego, że było wtedy też pieniędzy na alkohol, więc ciepło rodzinne nie było aż tak zachwiane. Starał się jednak nie dopuszczać tego prozaicznego i oczywistego w swojej prostocie wytłumaczenia, zastępując je zwykłą nieskażoną miłością. Trwało to wystarczająco długo, by Łukasz mógł palcem przejechać po pożółkłych woluminach i stwierdzić, że zna na pamięć niemal każdy.

Wyciągnął z namaszczeniem swój ulubiony komiks ze Spider-Manem, których całą kolekcję miał jeszcze gdzieś u siebie w szafie, i usiadł przy stoliku by zatopić się ze wzruszeniem w lekturze. Otworzył... Szzt... strona pierwsza...

Z każdym kolejnym obrazkiem świat dookoła rozpląwał się jak papierosowy dym, a cech rzeczywistości nabierała treść zawarta w pożółkłych i przybrudzonych kartkach. Problemy życia codziennego oddalały się stopniowo w miarę brnięcia przez kolejne intryki,

które z namaszczeniem przerzucał palcami. Kolory intensywniały, kontury się wyostrzały. Cały świat przechodził transformację z nędznej, smutnej planety do pięknego wyidealizowanego świata zrodzonego w czyjejs głowie. Punkt odniesienia Rejewicza przeniósł się całkowicie do krainy wyobraźni.

Przez chwilę pławił się w niej jak małe dziecko w basenie z piłeczkami, lecz z rozkoszy wyrwał go ciepły smak krwi w ustach. Rozchylił wargi i pozwolił kilku czerwonym kroplom opaść na blat. Z rozbryzgiem uderzyły o powierzchnię, a dookoła nich powstały miniaturowe czerwone plamki. Łukasz ostrożnie włożył dwa palce do ust i dotknął kilku zębów po kolei, by ustalić przyczynę krwawienia. Pod naciskiem każdy z nich poruszył się i odchylił, mimo że żaden nie powinien. Ze strachu zamknął usta i zacisnął mocno zęby, jakby myśląc, że to pozwoli im powrócić na swoje miejsce. Zamiast tego poczuł, że odchodzą całkowicie od szczęki i zuchwy zbierając się na języku. Smak świeżych dziąseł rozszerzył mu źrenice i przyspieszył bicie serca. Krzyknął nieświadomie i część zębów wyleciała z ust rozrzucając się wokół niego z dźwiękiem przypominającym upuszczane monety.

Pomarszczona kobiecina poklepała go po ramieniu.

– No, chłopie. Zamykam niedługo. Na komiksy cię dziś naszło widzę.

– Przepraszam, nie spodziewałem się, że tyle tu zasiedzę – rzucił nieskładnie ledwo wyrwany z amoku wspomnień i obrazków. Lekko zaseplenił, jednak wszystkie zęby były tam gdzie powinny.

– Nie szkodzi. Przyjdź jutro, jeśli chcesz. Korzystaj póki możesz, bo pewnie niedługo zawiniemy interes. – Jej uśmiech nagle zniknął, a głos przybrał wyciszony poważniejszy ton.
– Nie opłaca się tego trzymać. Teraz nikt książek nie czyta.

Łukasz wstał i wymienił się porozumiewawczym spojrzeniem. Jeszcze przed paroma godzinami miał plan oddać wszystkie komiksy ze Spider-Manem pomarszczonej kobiecie, jednak teraz nie miało to żadnego sensu. Obecnie uznał to za bezsensowny i beznadziejny gest mający daleko do miana dobrego uczynku.

„Chciałem dobrze, a wyszło jak zawsze.”

Nakręcając się dalej tą myślą, opuścił budynek.

Gdy już w pełni powrócił do rzeczywistości, poczuł głód. Cały dzień na małym śniadaniu wywoływał coraz to głośniejsze bulgotania w żołądku. Zbliżał się wieczór. Lekki

chłodek, który zastał spowodował, że przyspieszył kroku i skierował się wprost do domu w objęcia światowej rangi pesymizmu.

ROZDZIAŁ 12

Podziemne życie po 22.00 zaczyna rozkwitać tutaj tak, jak w każdym większym mieście. W bramach pojawiają się zakapturzone postacie, w klatkach schodowych słychać dźwięki rozbijanych butelek, a z ulic znikają przeciętni ludzie robiący zakupy lub wracający z pracy. Zostają głównie młodzi, pełni agresji i nienawiści ludzie, którzy bez celu włóczą się po mieście zaczepiając słabszych oraz imprezowa młodzież idąca tłumami do klubów i dyskotek. Ot, przeciętny wieczór.

W domu czekało na niego wezwanie na komendę w sprawie śmierci swojego ojca. Domyślał się, że będą go gnębić, rozdrapywać rany i wypytywać o wszystkie możliwe scenariusze. Tak, jakby samobójstwo było tak ciężkie do zaakceptowania.

Najedzony, lecz jeszcze bardziej przygnębiony policyjnym wezwaniem w sprawie ojca, Łukasz parł przed siebie by znów zbadać miejsce gdzie był przystanek. Tym razem bez jakiegokolwiek nadziei, a w zasadzie tylko po to, by jeszcze bardziej się upewnić, że jest świrem. Kilkadziesiąt metrów od niego paru nastolatków pokazywało środkowe palce w stronę przejeżdżającego ulicą autobusu. Skręcił ulicę wcześniej, by uniknąć konfrontacji. Świr.

Pech jednak chciał, by z naprzeciwka nadciągnęły dwa pewnie idące cwaniaczki. Z deszczu pod rynnę. Jeden w kapturze i dresie, podobny do wszystkich cieni w bramie, drugi w szerokich spodniach i obwisłej bluzie. Maras i Siarka. Rozpoznał parkę osiedlowych pseudokumpli po stylu małpiego chodzenia, które z pewnością w ich mniemaniu jest oznaką wyższości lub czegoś w tym stylu. Już wcześniej ostrzegał sam siebie, by nie ruszać tyłka z domu. Pokręcił z niedowierzaniem głową, w której zabłysnęło nieśmiało: „Wiedziałem, że tak będzie”.

Gdy usłyszał skrzeczący kretyński śmiech, domyślił się, że go rozpoznali. Rozmowa zbliżała się nieubłagalnie.

– Siemasz, stary. Moje kondolencje, wiesz, wieść się szybko niesie. Przejebana sprawa. Trzymasz się jakoś? – Maras zaczął nad wyraz miło. Szczególnie biorąc pod uwagę fakt, że zawsze jak był spalony to miał jakiś problem. Tym razem przekrwione malutkie oczka zdawały się wyrażać prawdziwe zmartwienie.

– Źle. Świat mi się zawalił. – Nie miał ochoty na zwierzenia, z których i tak by niewiele zrozumieli. – A ty jak tam?

– Ujdzie. Jeszcze przez miesiąc mam te jebane zawiasy za ten znak, który wygięliśmy. Może przyjaramy sobie, co? Walniemy po buszku, bo mi resztki zostały z wczorajszej biby. Grubo było.

Maras nie czekając na odpowiedź wyciąga plastikowy przezroczysty woreczek z marihuaną i nabija ją w szklaną lufkę. Kilka sekund później porcja dymu trafia w płuca Łukasza. Dawno nie palił, lecz uznał, że nie wypada odmówić. Zwłaszcza jeżeli robił wszystko, by uciec od rzeczywistości, a teraz taka możliwość przyszła sama. Po dwóch kolejkach skończył się towar, a chłopaki wyciągnęli z kieszeni otwarte piwa.

Teraz będzie trzeba rozmawiać. Z jednej strony pragnął tego bardzo, z drugiej – poziom intelektualny rozmówców był dla niego o kilka poziomów za nisko, by mógł w nich szukać bratniej duszy. Pech chciał, że w całym swoim życiu spotkał niewielu godnych rozmówców, co jednak często sprowadzało go do przemyśleń, że to właśnie on jest nienormalny, a nie pozostali. Patrząc na innych, choćby na tych jednokomórkowców stojących codziennie pod klatką, doznawał nieszczęsnego wrażenia, że potrafią się dogadać i wyrażać emocje bez zbędnych ceregieli i refleksji. A gdy nie szło im za dobrze, konflikt rozwiązywali w nieco mniej wyrafinowany, lecz bardziej fizyczny aniżeli werbalny sposób. W takich przypadkach zżerała go zazdrość, że nie potrafił wyłączyć swojej analitycznej świadomości na czas konwersacji. Niejednokrotnie każde zdanie odbijało się głośnym i długim echem w jego zestresowanej kontaktem interpersonalnym głowie. Raz za razem analizował każde zdanie, każdą formę przekazania myśli w poszukiwaniu ukrytych znaczeń i podtekstów. Nie był w stanie wykraść cudzych refleksji, więc pozostawała jedynie skrupulatna lecz szybka analiza, która bardzo często prowadziła go do fałszywych wniosków. Być może przez to w niemal każdym widział potencjalnego wroga.

Całość tych przeżyć często potęgowała się, a szczególnie jak był upalony i w niepewnym, mało znanym towarzystwie.

– Coś się tak zawiesił, stary? – Małe, czerwone i przymrużone oczka Marasa powodowały, że wyglądał nieco jak azjata. Bardzo brzydki azjata.

– A nic. Zmęczony jestem i załamany.

I wtedy usłyszał parsknięcie Siarki. Czy było to parsknięcie z kpiny lub braku szacunku? A może zwykłe koleżeńskie zaśmianie, które zabrzmiało jak parsknięcie, ponieważ Siarka w ten dziwny sposób się śmieje? Śmiech z Łukasza, czy do Łukasza? Wszak nie powiedział nic śmiesznego, więc raczej nie była to reakcja na przekaz wypowiedzi. Może po

prostu sobie skojarzył coś, o czym tylko wie sam Siarka i reakcja na ten bodziec wywołała u niego niekontrolowany śmiech, który został szybko powstrzymany i przybrał postać jedynie małego parsknięcia.

„Kurwa, ale się zjarałem. Poprułem. Zpoczwarzyłem. Skapsztaniłem.”

Zarżał sam do siebie.

– Czyściocha zjaraaliśmy czy z tytą? – Zapytał od razu, by nie zawieszać się więcej i nie prowokować do ewentualnego dalszego nabijania się z niego.

– Dymek był czysty jak wódka zbożowa!

Odpowiedź nader wyszukana i inteligentna jak na tego typu człowieka. Może jednak Maras nie był taki ubogi intelektualnie jak się Łukaszowi wydawało. Rozbawił go ten, niby kiepski, lecz w tym stanie narkotycznym strasznie zabawny tekst i wszyscy puścili salwę śmiechu.

Po drugiej stronie ulicy usłyszeli delikatne tuptanie czterech szarych i kudłatych nóżek. Pies, najlepszy przyjaciel człowieka, zwykły, nierasowy, bezdomny rozglądał się ze strachem w poszukiwaniu dobrego momentu na przejście przez jezdnię. Mimo że nie jechało żadne auto, czworonóg raz to wychodził, raz to cofał się nie mogąc się zdecydować na ruch. Podkulił ogon, cicho zaskomlił i zmusił się do szybkiego biegu w kierunku Łukasza. Gdy trochę kulejącym człapaniem dotarł na krawężnik, zatrzymał się natychmiast jakby dopiero ich zauważył i przekręcił głowę by się im bliżej przyjrzeć. Starał się odczytać intencje stojących na chodniku ujaranych matolów. Jedynie z Łukaszem wymienił spojrzenie i nieśmiało podbiegł obwąchać nogawkę. Merdaniem ogona oświadczył, że chce się pobawić. Rejewicz przez chwilę stał jak słup i zastanawiał się co zrobić. Jakaś jego część chciała ukucnąć, wygłaskać kundla i zabrać do domu. Niestety jedyna reakcja jaką z siebie wydobył, to odepchnięcie nogą z odrazą. Sam sobie się zdziwił, że wykonał tak okrutny, odtrącający gest do najprawdopodobniej jedyne stworzenia w promieniu wielu kilometrów, które było pozbawione obłudy i kłamstwa. W tym ludzie babrają się codziennie. I wcale go to tak nie obrzydza jak trochę błota i sierści. Coś naturalnego.

– Won stąd! – Siarka wziął zamach i kopnął psiaka w ogon. Zapewne celował parę centymetrów dalej, w okolice tylnych łap, jednak kundel na szczęście w porę odskoczył.

Podniósł łepkę do góry, zapiszczał, a następnie opuścił wzrok na sam chodnik w wyrazie smutku. I poszedł.

Nie znalazł miłości, jednak oczy pełne nadziei prowadzą go dalej. Pomimo że usuwa się każdemu z drogi. Z marzeniem, że spotka kogoś kto pokocha jego naturalność, zwykłość. Będzie wart więcej niż 30 złotych u handlarza na rynku.

Łukasz Rejewicz poczuł się cholernie głupio. Próbował zebrać myśli do kupy, obserwując z żalem oddalającego się kundelka obwąchującego chodnik, gdy nagle Siarka wypalił:

– Ej, idziesz z nami się najebać do parku? –Zadźwięczało mu w głowie jak budzik kradnący sen.

– Chodź, przyda ci się trochę dobrej bani – zawtórował Maras.

– Nie mogę. – Prawie zawsze tak odpowiadał, gdy nie miał ochoty. – Muszę coś sprawdzić jak najszybciej.

– No dawaj, i tak jest już późno. Sprawdzisz sobie jutro! – rzucił Siarka tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Albo o! Pójdziemy z tobą. – W narzucaniu się też nie widział najwyraźniej nic złego.

– Nie, nie. Raczej nie. Innym razem, dobra? – Łukasz obmyślał plan ucieczki.

– Za każdym razem tak mówisz!

– No tak się zawsze składa, że chcecie coś robić w gównianych dla mnie momentach. Może jak szybciej załatwię sprawę to do was dołączę. Może być?

– No niech ci będzie, kurwa. My będziemy siedzieć tam ze dwie godzinki i zwalamy na chatę. Znajdziesz nas?

– Jeżeli nie zmieniliście ulubionej ławki, to bez problemu. – Nie miał zamiaru do nich wracać, jednak uznał, że warto jest okazać trochę chęci.

W tej już mniej napiętej atmosferze, Łukasz wymienił jeszcze kilka koniecznych zdań i pożegnał się idąc w swoją stronę. W dalszy świat.

Zawieszony i zapatrzony w ziemię, szedł nieoświetloną ścieżką prowadzącą na skróty do miejsca, które zaorało mu psychikę dzień wcześniej. Na wysokości koron drzew zauważył pozbijane klosze latarni. Mrok nagle stał się oczywisty. Bum. Usłyszał w oddali odgłos giętej blachy i tłuczonego szkła. Ktoś kopnął i przewrócił kosz. Zapewne następną ofiarą będzie żywa osoba.

W większości powodem takich przykrych incydentów i średniej jakości osób szwędających się po okolicy była obecność dyskoteki „Noise” parę ulic dalej.

„Jedno z tych miejsc, oprócz kościoła i zawodówki, które gromadzi ludzi o najniższym ilorazie inteligencji.”

Jego własna myśl wydała mu się zabawna i uśmiechnął się ironicznie sam do siebie. Nie był przeciwny takim imprezom. Sam swojego czasu śmigał po wszystkich parkietach w mieście, jednak brak selekcji przy wejściu i wpuszczanie paronastolatków obrzydziły mu wyładowywanie energii przy światłach i głośnej muzyce.

Rozejrzał się. Dookoła zasikane klatki, przewracane kosze, pozbijane butelki na środku ulicy. Widok przykry, jednak przywykł do niego często włączając się po osiedlu. Rano już będzie czysto, nikomu spośród dziennych przechodniów nie przyjdzie do głowy, jakim życie wiodło to miasto jeszcze kilka godzin temu.

Po pobliskim brukowanym parkingu biegały dwie pijane nastolatki. Krzyczały coś do siedzącego przy mozaice kolorowych kwiatów półprzytomnego kolegi. Łukasz szybko przeszedł obok, patrząc z zażenowaniem na degradację ludzkich wartości. Chociaż sam nie był święty i dobrze o tym wiedział. Dziewczyny rzuciły mu zalotne spojrzenie, niemal dające do zrozumienia, że oddałyby się każdemu za następne piwo. Darował sobie tę pokusę i powrócił do swojego świata krzywych myśli.

Nie próbował nawet podchodzić, ponieważ próba choćby minimalnej ciekawej rozmowy, już nie wymagając inteligentnej, skończyłaby się tępym spojrzeniem z ich strony, które jedynie błysnęłoby pomysłem na moment by ocenić jego atrakcyjność. I wtedy kolejny wizualny ideał pójdzie w piach, a on nie mógłby pozbić psychicznie przez kilka dni. I nawet jeśli takie dziewczę zechce podjąć jakąkolwiek dalszą interakcję, to już nie ma czego w tych pięknych oczach szukać. Trudno. Ona uśmiechnie się do następnego, który będzie potrafił to (ją) bardziej wykorzystać.

Łukasz obrócił się za siebie, spoglądając ostatni raz na nastolatki.

Nie ma jednak się co dziwić. Piękny tyłeczek, idealny kształt. Pewnie dlatego nie znają prawdziwego życia.

Nie więcej jak dwieście metrów dalej kolejne niechciane wydarzenie przerwało jego wewnętrzny monolog. Anonimowy mężczyzna w schludnej koszuli stał pod osiedlowym pawilonem i czekał na swoją kolej do bankomatu. Był drugi, a zarazem ostatni, co w życiu Łukasza było dość częstym motywem i może dlatego postanowił się mu przyjrzeć. Facet zapewne spodziewał się, że późnym wieczorem nie będzie musiał sterczeć i czekać niewiadomo ile pod jedynym bankomatem tej firmy w okolicy. Mylił się. Na twarzy pojawiły się pierwsze oznaki zniecierpliwienia, gdy staruszka przed nim czytała po kilka razy każdą instrukcję i mozolnie wstukowała swój PIN. Wyglądała jakby została na siłę wrzucona do

nieodpowiedniego świata, w którym starsi ludzie dawno już śpią w zamkniętych na trzy spusty kanciapach.

– Tacy ludzie powinni iść na odstrzał. Do niczego się nie przydają. Tylko zawadzać potrafią. – Usłyszał narzekanie wypowiedziane w jego kierunku. Gość zauważył, że jest obserwowany i postanowił poszukać poklasku.

Starsza pani zakończyła wypłacanie uciulanych pieniędzy, chwyciła wielkie torby z zakupami i żółwym krokiem ruszyła w świat.

– Cholerne życie. Same problemy – tym razem wymruczał już do siebie, tak że Łukasz ledwo dosłyszał.

Mężczyzna włożył kartę. Wystukał PIN. Zabrał kasę i szybko schował do portfela.

– Przepraszam pana, czy mógłbym prosić o mały datek? – zapytał potulnie człowiek w poobcieranym swetrze i butach robotnika bez sznurowadeł. Przegarnął zmierzwiłone podsiwiałe włosy i odruchowo wyciągnął rękę, jak robią to żebracy.

– Niestety nic nie mam. Rodzinie trzeba utrzymać. Do pracy pan spierdaj zamiast naciągać ludzi.

– Bardzo pana proszę... ja też mam rodzinę...

– Na litość mnie pan nie weźmiesz, idź pan stąd. – Pomimo że się facet wyglądał na obrzydzonego to szturchnął bezdomnego mocno ramieniem, próbując wrócić na chodnik. Miejsca by przejść było dużo, jednak wyglądało na to, że chciał pokazać swoją wyższość i status.

Żebrak zachwiał się, próbując utrzymać równowagę, i niezdarnie upadł, mimo że był raczej trzeźwy. Nastąpiła cisza. Mężczyzna w koszuli wyglądał przez chwilę na lekko speszzonego. Zapewne nie chciał aż tak mocno popchnąć, by tamtego przewrócić. Głupio mu było przeproszać kogoś takiego, więc jedynie warknął:

– Uważaj se jak stoisz. Nawet stać nie potrafisz, to nic dziwnego, że roboty nie ma, palancie.

– Coś powiedział smarkaczu? – Żebrak podniósł się szybko z ziemi i zacisnął pięści. Na poczciwej twarzy widać było złość i poniżenie.

– Idź w pizdu, nieudaczniku.

Zaczęło się. Padł tylko jeden celny cios, prosto w środek twarzy. Mężczyzna leżał na ziemi z rozwalonym nosem. Miotał się przez chwilę oszołomiony próbując wstać, krwawiąc przy tym obficie na jeszcze przed chwilą idealnie wyprasowaną koszulę. Bezdomny sięgnął po portfel leżący na chodniku. Pośród kart kredytowych, członkowskich, autobusowych,

tramwajowych, srowych, zauważył świeżo wypłacone trzysta złotych. Wyjął tylko stówkę. Schował do kieszeni.

– Złodziej! Na pomoc! Policja! – Mężczyźnie nic nie pozostało, jak tylko krzyżeć. Był wyraźnie słabszy i mniej pewny siebie. Nawet los chciał mu pomóc. Zza rogu wyłoniła się charakterystyczna, niebieska furgonetka patrolująca okolicę jak co dzień. Nigdy ich nie ma jak są potrzebni, jednak teraz wyglądało na to, jakby sam bóg ich zesłał. Zatrąbili i kazali obdartemu złodziejowi położyć się na ziemi mierząc z broni, mimo braku uprawnienia, by robić to w stronę bezbronnego.

– Na ziemię gnoju! – krzyknął jeden z policjantów, który jako pierwszy wyskoczył z radiowozu i powalił złodzieja na chodnik.

Dalej już poszło szybko. Kajdanki, obelgi, tył furgonetki, obelgi.

Łukasz stał i gapił się na tę szopkę jak zaczarowany. Kolejna żalosna scena ukazująca gównianość tego świata. Postanowił się szybko ulotnić, na wypadek gdyby uszkodzony zechciał go wziąć sobie za świadka. Nie miał zamiaru marnować niepotrzebnie swojego czasu, i co najważniejsze, nie chciał jeszcze bardziej pograżać bezdomnego człowieka, do którego czuł nieśmiałą sympatię.

Oddalając się o kilkadziesiąt metrów zauważył dwie mętne sylwetki stojące pod drzewem. Również przyglądały się całemu cyrkowi.

– Mamusiu, a kiedy tatuś wróci? – zapytała malutka dziewczynka z oczkami wpatrującymi się z nadzieją w kierunku policyjnego wozu.

– Nie wiem, córeczko... nie wiem.

– A będziemy mieli coś do jedzenia?... Bo jestem bardzo głodna mamusiu...

Ból w sercu. Na tym świecie większej liczbie ludzi życie się pieprzy, niż poprawia.

ROZDZIAŁ 13

Dotarł. Serce automatycznie zaczęło mocniej bić, a myśli, z analizowania płci przeciwnej i ludzkich nieszczęść, powróciły na wczorajszy przystanek.

A ten stał tam bez żadnych oznak dziennego zniknięcia. Poświata latarni padała w ten sam niepokojący sposób, a całość spowita była niezrozumiało łagodną i wybitą z rytmu świata atmosferą. Ta sama kobieta, w ten sam sposób, z tymi samymi tobołami siedziała jak gdyby nigdy nic na tym samym, jednym z dwóch, siedzisku.

Automatyczne zerknięcie na zegarek wykazało godzinę 22.22. Zaakceptował to bez żadnego zastanowienia. W końcu był zjarany, więc czas zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Na trzeźwo pewnie pomyślałby, czy aby na pewno niecałe pół godziny temu wyszedł z domu. Nagle delikatne ciarki ruszyły wzdłuż kręgosłupa i gęsia skórka natychmiastowo pojawiła się na karku i rękach. Mimo, że nie chciał, by to do niego dotarło, to godzina 22.22 pojawiła się już wczoraj. W tym samym miejscu. Na tym samym zegarku.

Zamarł w bezruchu jak to zwykły czynić ofiary nasłuchujące ataku drapieżnika. Trzask. Ciszę zmałował zgrzyt gniecionej puszkii. Obrócił się odruchowo, by zlokalizować źródło dźwięku. Za sobą ujrzał kilka niewyraźnych postaci, które umyślnie uznały, że pora przestać być cicho. Dzięki blaskowi oddalanej latarni zdołał wywnioskować, że są zdecydowanie młodszy od niego, pewni siebie i cwani. Czterech luzaczków w towarzystwie dwóch pańienek mógł zwiastować nadchodzący konflikt. Teraz najwyraźniej wódkę popili piwem, przyćpali i ruszyli równym krokiem ku niemu. A przynajmniej taki scenariusz podpowiedziała mu jego zjarana głowa. Wpatrywał się w rozmazany ciemnością obraz i stopniowo zaczął sobie uświadamiać, że jego przewidywania niewiele różniły się od rzeczywistości. Grupa zdecydowanie zbliżała się i była zdecydowanie nietrzeźwa sądząc po chwiejnym chodzie koleśki i malutkich szurających kroczkach pańienek na szpilkach. Tup, tup, tuptuptup.

Obrócił się z powrotem i dostrzegł, że kobieta zniknęła razem z przystankiem. Zupełnie jak gdyby wyczuła co się święci. Nie miał jednak czasu na analizę tego zjawiska.

– Ej, kolo. Masz fajkę?! – wydarł się ktoś tuż za nim. – Masz, kurwa, fajkę?

Łukasz przekręcił głowę i zobaczył, że są już zaledwie kilka metrów z tyłu. Wyglądali na przerośniętych nastolatków, którzy dopiero pierwsze golenie pyska mają przed sobą. Jeden z nich, szczupły i wysoki dziwnie drgał i podskakiwał. Z naciągniętym kapturem przypominał boksera rozgrzewającego się przed walką, jednak dla dobra spokoju ducha Łukasz uznał, że mu jest po prostu zimno.

Nie zdążył nawet odpowiedzieć, że papierosów nie pali, gdy bokser wyczuł jego oceniający wzrok.

– Na chuj się patrzysz?

Było to pytanie klucz. Dość popularne wśród kalekich mózgowo przygłupów, poszukujących zaczepki wśród wyraźnie słabszych, przy których można podbudować swoje burackie ego. Często używane jako oznajmienie bez wyraźnej intonacji na tryb pytający. Jedynym rozwiązaniem z reguły jest odwrócenie wzroku, bo każda inna interakcja może

wywołać jeszcze większą agresję. Łukasz, jako pacyfista, sugerował sobie właśnie to rozwiązanie, jednak coś popchnęło go do nieco odważniejszego zagrania.

– Na chuj się pytasz? – rzucił w odpowiedzi zdecydowanie. Zupełnie jakby przypuszczał, że głupota agresora nie będzie w stanie przetrwać gaszącej riposty i eksploduje rozrywając mu czaszkę. A może po prostu był upalony marihuaną.

Faktem natomiast było, że napastnik poczuł się ośmieszony i nie będzie w stanie zareagować inaczej niż siłowo. Będzie to dla niego jedyna możliwość odzyskania respektu w swoim towarzystwie. Wszyscy wyglądali dla Łukasza jak typowi poszkodowani mentalnie ludzie. Z ograniczonym spektrum percepcji.

„Jak się nie ma w głowie to trzeba nadrobić mięśniami.”

Po tej myśli czuł już tylko coraz bardziej napinającą się atmosferę. Chwila milczenia sugerowała powolne przetrwanie informacji przez agresora i dobieranie odpowiednio poniżającej Łukasza reakcji. W oczach dziewczyn pojawiły się delikatne iskierki oczekiwania na to, co się stanie.

Dopiero teraz do Rejewicza dotarło, że właśnie wybrał najgłupszy sposób na popełnienie samobójstwa.

ROZDZIAŁ 14

Pierwszy cios pamiętał jako ten, który powalił go na ziemię. Kolejne były już tylko zbitkiem dudnień i przeszywającego bólu, który dla dobra Łukasza szybko pozbawił go świadomości. By nie musiał nic czuć i by mogli go szybciej zostawić, jako że z okładania nieprzytomnego nie ma już takiej radochy.

ROZDZIAŁ 15

Myśli krążące po głowach innych szukając oparcia, domagają się chociażby podstawowych odruchów ludzkich, które niestety są powoli i konsekwentnie wypierane przez ignorancję, zacofanie i głupotę. Większość z tych pustych twarzy bardziej wpasowuje się w rozszerzoną definicję zwierzęcia, niż człowieka. W dzisiejszym świecie bezkresnych, niewytłumaczalnych i nieuzasadnionych nienawiści gatunek ludzki podzielił się na małpy i świnie. Ten kolejny krok ewolucji uruchomił automatyczny mechanizm spychania na

margines jednostek, których umysł pochłania więcej energii aniżeli mięśnie. I ci, chociaż częstokroć plenią anonimowo dzisiejszych odpowiedników neandertalczyka, to nie są w stanie na większą skalę zrobić nic, oprócz narzekania i wyklinania pod nosem, które chociaż na chwilę wywołuje złudzenie wyższości. Tej samej wyższości, która wynika tylko i wyłącznie z unikania i nie wchodzenia w drogę. Wyższości, która należy się odgórnie ze względu na włożony wysiłek w rozwój i brnięcie trudniejszą drogą do celu.

A cel wyznaczony uparcie przez każdą z gałęzi ewolucji posiada te same współrzędne określone stopniowo przez wieki, które ukształtowały i wyrównały socjalnie każde społeczeństwo. W formie papierowej i monetarnej, bez względu na jakiegokolwiek skrupuły. Również drogi do celu, przecinające się w wielu punktach, niechęć powodują starcia dwóch nierozumiejących się stron konfliktu. Najczęściej za pośrednictwem agresji i zawiści, ci zezwierzeceni odbierają wszelką przynależność prawowitym, bardziej rozgarniętym właścicielom, a gdy jest to niemożliwe, utrudniają jakiegokolwiek działania sprzyjające normalnym życiu.

Jedynym rozwiązaniem jest niestety zasada całkowitej eliminacji, bardzo dobrze znana wszystkim znieawidzonym tyranom. Jakakolwiek resocjalizacja spaczonych jednostki sprawdza się tylko w niewielkim ułamku całości zdegenerowanych mentalnie i podjudzonych fizycznie.

Gdy odzyskał przytomność ujrzał siebie leżącego na chodniku w pozycji samobójcy, który skacząc z najwyższego piętra roztrzaskał się o chodnik. Zamrugał teatralnie, by odzyskać z powrotem panowanie nad ciałem i powrócić jak najszybciej do rzeczywistości. Spozrzegł, że lewe oko widzi niewiele więcej niż Eskimos w ostrym słońcu. Po chwili wystawił sobie szybką diagnozę, że nie jest połamany i doczłapał się kuśtykając zgięty w pół do najbliższej ławki, by zacząć obdukcję. Był to jego pierwszy solidny wpierdol od czasów podstawówki, gdy to bił się po szkole z największym łobuzem w klasie. Ironii dodawał fakt, że tłukli się o dziewczynę, która i tak obu z nich miała w dupie.

Oprócz spuchniętego oka, obitych pieszczeli i cholernie bolących żeber nie zauważył, a raczej nie wyczuł większych obrażeń. Nawet głowa go nie bolała, więc chyba sobie ją oszczędzili po pierwszym nokautującym ciosie.

– Dzięki chłopaki – wymamrotał do siebie z lekkim grymasem uśmiechu, który wywołało poczucie, że mogłoby być gorzej.

Nawet go nie okradli, choć i tak nie było z czego. Oprócz niewiele wartego zegarka i portfela, który zawierał jedynie dokumenty i trochę drobnych nie miał nic, co mogłoby mieć jakąkolwiek wartość.

„Najwartościowsze rzeczy mam w głowie.”

To szybkie podbicie się na duchu pozwoliło mu nawet bezboleśnie wstać. Fakt, że nikt do niego nie podszedł, gdy leżał, było nad wyraz oczywiste. Jeżeli ktokolwiek przechodził koło jego obitej mordy to wziął go za kolejnego nawalonego w trupa lub ćpuna, których tu sporo z racji pobliskiej dyskoteki. Na tę myśl momentalnie poczuł ogromną tęsknotę za Can-D, którą równie zręcznie ugasił, gdy dotarło do niego, że to ten narkotyk jest pośrednią przyczyną dzisiejszego stanu rzeczy.

„Nawet chemikom nie można ufać, do cholery.”

Uradowany kolejną własną błyskotliwą myślą, która wprawiła go w nieprzyzwoicie miły nastrój, wyprostował się i napiął wszystkie mięśnie na wzór przeciągania się po długim śnie. Czuł się niesamowicie bezpiecznie, zupełnie jakby siedział w podziemnym bunkrze z zapasem żarcia i picia na najbliższe dwadzieścia lat oraz nieograniczonym dostępem do Internetu z telewizją satelitarną i konsolą do gier. No, i jeszcze jakąś piękną długonogą blond modelką, która przypadkiem wylądowała w tym samym schronie co on.

Jednak jego chory humor nieco ostudziła myśl, że podobnie czuł się gdy odpowiadał tamtemu gówniarzowi, który powalił go na ziemię. Oraz porównywalnie, gdy wczoraj siedział koło starszej kobiety na przystanku, który po przekroczeniu jakby magicznej bariery stawał się najzwyczajniejszym w świecie azylem, gdzie największe zło tego świata nie było w stanie go osiągnąć. Łukasz od razu zrodził pytanie, czy to uczucie ma coś wspólnego z tym miejscem, jednak szybko je zagłuszył uznając siebie za świrusa, a pytanie za niedorzeczne.

Gdy był jeszcze nastolatkiem, dotarło do niego, że nie warto okazywać swojego złego samopoczucia, bo odstrasza to ludzi. Nikomu się nie chce bawić w pocieszanie. Humorki zachowywał dla siebie, zamiast marudzić na lewo i prawo jak mu źle, lub odnosić się inaczej z tego względu. Ludzie nie lubią wahań nastrojów i po pewnym czasie nie wiedzą jak do takiego człowieka podejść. W końcu problemy innych ludzi są, dla niewtajemniczonych, żalotne.

A może to po prostu wynikało z tego, że jest facetem?

Stał tak gapiąc się przed siebie i myśląc o pierdołach. Próbował zebrać siły, by ruszyć w którąkolwiek stronę i odruchowo rzucił okiem na zegarek, a potem kątem oka dostrzegł przystanek, który zdawał się dopiero teraz wyłonić z nicości. Pojawił się akurat milisekundę wcześniej, niż myśl Łukasza, która miała zamiar go szukać.

Godzina 22.22.

Popsuł się?

To było jedyne, co mogło mu w tej chwili przyjść do głowy, jednak w duchu zdawał sobie sprawę, że odpowiedź może wcale nie być taka prozaiczna. Początkowo zaspokoił nadchodzący strach uzasadnieniem, że lanie które dostał przyczyniło się do zatrzymania zegarka. Szybko poukładał myśli i wspomnienia, które jednak ostatecznie nijak miały się do próby uzasadnienia popsuciem.

Prawdziwego wytłumaczenia nie było, wiedział natomiast jedynie tyle, że zaatakowany został parę minut po ostatnim spojrzeniu na zegarek.

„Niemiły zbieg okoliczności, to tyle. Zegarek padł, wymienić baterię trzeba, i chuj.”

Pomimo braku działającego zegarka z każdą kolejną sekundą wybijaną przez rytm serca czuł jak dobry humor jest zastępowany przez niepokój. Po chwili uderzenia wskazywały każdą połowę sekundy, a on zaczynał coraz bardziej panicznie zastygać w miejscu.

„Czy tak zaczyna się schizofrenia?”

„Mnie nie pytaj.”

Ratował się ostatkami cynizmu, jednak nie zdołał ugasić psychozy, która rosła w jego umyśle niczym balon powoli nabierający rozmiarów sterowca. Dookoła znów żadnej żywej duszy, pomimo że o tej porze, jeżeli faktycznie była wciąż ta pora, powinno kręcić się sporo osób. Szczególnie z racji tego, że oprócz dyskoteki znajdował się tu również jedyny sklep monopolowy czynny całą dobę. Wystarczyłoby iść do końca bloku nr 25 i skręcić w lewo, za słupem ogłoszeniowym...

To byłoby właśnie najlepsze rozwiązanie. Po prostu pójść w tamtą stronę. Dać dyla. Zawinąć się. Jednak przystanek wciąż tajemniczo przyciągał myśli Łukasza. Pomimo strachu

nadal czuł niewyjaśnione poczucie bezpieczeństwa, które zwiększało się z każdym wykonywanym krokiem, w tej chwili półświadomie, w kierunku wczorajszego siedziska. Rejewicz skojarzył to beznamiętnie z podążaniem za światełkiem w tunelu w momencie śmierci. Wzdrygnął się natychmiast uświadamiając sobie, że te dwie sytuacje muszą mieć faktycznie ze sobą wiele wspólnego.

Gdy już dotarł, usiadł na „swoim” miejscu najbardziej bezinteresownie jak tylko mógł i po prostu czekał. Kobięcina nawet nie drgnęła i gdyby był jeszcze bardziej świrnięty, byłby w stanie uznać, że nie żyje. Koncept ten jednak wydał mu się zbyt absurdalny, nawet zważając na już nierealną sytuację w której się znajdował. Uśmiechnął się sam do siebie.

– Nic mi nie jest i dobrze o tym wiesz – powiedziała swoim spokojnym starszym głosem babuni. – Chyba się nie dogadałeś z tamtymi chłopakami, co?

– Bardzo przepraszam, ale znajduję się w tak niewyjaśnionej sytuacji, że nie potrafię w tej chwili zrozumieć... – Łukasz wciągnął głęboko i teatralnie powietrze. – Po prostu chciałbym wiedzieć kim pani jest, skąd się wziął ten przystanek i co się ze mną działo wczoraj po naszej rozmowie i co, do cholery, jest ze mną nie tak, bo czuję że świruję z każdą chwilą. I do tego przyczyniają się właśnie takie sytuacje jak ta. – Poczuł, że ręce mu się trzęsą, jednak nie z nerwów, bo czuł się niesłychanie spokojny. Zupełnie jak gdyby strach nie miał dostępu do psychiki i musiał się nacieszyć ciałem, które być może instynktownie się bało. Dłonie drżały, a nogi niespokojnie wystukiwały rytm.

– Naprawdę chcesz wszystko wiedzieć? Ludzie, którzy wszystko wiedzą nie mają po co żyć. Ciekawość jest jednym z głównych powodów dla których ten świat jeszcze istnieje. Rutyna wszystko zabija.

– Co chce pani przez to powiedzieć?

– Dowiesz się w swoim czasie, jeżeli oczywiście będziesz chciał. A raczej doświadczysz. Wiedza niepodparta doświadczeniem jest całkowicie bezużyteczna.

– Dobrze, może zaczniemy od początku? Chciałbym się dowiedzieć od pani parę rzeczy, żeby nie musiał wymyślać własnych chorych interpretacji, które tylko mnie pogrążą.

– To może najpierw powiesz mi dlaczego tamci cię zaatakowali?

– Można powiedzieć, że sam się prosiłem. Poczułem się nad wyraz pewny siebie, co jest samo w sobie okazją do świętowania... po prostu głupia sytuacja i tyle.

– Dlaczego przyjmujesz winę na siebie, skoro to oni byli problemem, a nie ty? – Przerwała na chwilę, a Łukasz był niemal pewien, że zrobiła to po to, by pogrzebać w jego głowie.

– Myślę, że pokazałem im się ze złej strony.

– Bardzo bystra odpowiedź. Faktycznie, jesteś tym, za kogo mają cię inni ludzie. Ale przykro mi, ponieważ możesz być w głębi duszy najsympatyczniejszym i najinteligentniejszym człowiekiem na ziemi, jednak nikogo to nie obchodzi. Uwierz mi. Człowiek jest istotą społeczną, więc sam sobie osobowości nie wytworzy, a że wewnątrz zupełnie inaczej się zachowujesz, to już nie ich sprawa. Nikomu się nie chce dociekać, czy taki wredny osioł nie jest przypadkiem tak naprawdę uczuciowym i czułym romantykiem. Po prostu się idzie dalej. Jeśli spodziewasz się, że ktoś odkryje twoje prawdziwe ego, drogą przypadku lub miłości, to grubo się mylisz. Za dużo filmów, mój drogi. Ta osobowość, którą przybierasz wśród innych ludzi jest tą prawdziwą, a nie odwrotnie. Prawo większości. Jeśli uważasz, że to nieprawda – jesteś egoistą.

– No tak, ale...

– Więc przestań układać setki możliwości rozwiązań wydarzeń, analizować każdy krok i interpretować na go tysiące sposobów. Weź się do roboty. Samo się nie zrobi. Skoro twoja prywatna osobowość jest taka piękna i idealna, to po co ją trzymać dla siebie? Pokaż siebie z tej właściwej dla ciebie strony, zamiast ukrywać się w nieskończoność.

– Dziękuję za radę, ale dobrze o tym wiem – odparł po chwilowej analizie. Zdał sobie sprawę, że to samo, o tej samej wartości informacyjnej, tylko w skondensowanej formie, przeszło mu przez głowę w momencie wypowiedzenia felernej riposty po której padł na ziemię. Tyle, że to trwało ułamek sekundy.

– Wiesz, ale nic z tym nie robisz. To jest właśnie wiedza nieoparta doświadczeniem. Wiesz, ale nigdy nie próbowałeś. Wiesz, ale ktoś to musiał w ładne zdania poukładać i ci to przekazać, żeby ostatecznie do ciebie dotarło. Ale to był tylko przykład. Jedna składowa z milionów innych, które będą kształtować twoje poglądy i opinie.

Łukasz wahał się przez chwilę, jednak w końcu wydusił z siebie bardzo obraźliwe, lecz mogące wiele wyjaśnić: – Czym jesteś?

– Gdybym powiedziała, że tobą, to byś uwierzył?

– Jeżeli mogłabyś... mogłaby mi pani to udowodnić w jakikolwiek zrozumiały dla mnie sposób, bez zagadek, bez wyciągania mi słów z języka...

– A gdybym ci powiedziała, że to tylko sen?

– Przecież przed chwilą byłem... jestem w realnym świecie. Byłem w bibliotece, spotkałem kolegów, później dostałem po gębie... – urwał, zastanawiając się po co się tłumaczy, skoro stara kobieta i tak pewnie wszystko wie. – Nie przypominam sobie, że bym kładł się spać.

– A myślisz, że inteligentny schizofrenik, chcąc oddzielić jawę od snu, nie robi takich analiz i nie tłumaczy sobie tak jak ty? I co mu to daje, skoro logika podpowiada jedno, a to co widzi i przeżywa mówi drugie?

– Świruje wtedy jeszcze bardziej.

– Dokładnie.

– Chcesz powiedzieć, że to wszystko to po prostu... – urwał i poszukując zagubionej myśli rozejrzał się na boki. Tuż obok niego wciąż wisiała kartka z ogłoszeniem...

ROZDZIAŁ 16

Otworzył oczy i zobaczył własny sufit, na którym malowała się delikatna smuga porannego słońca, wpadająca przez połowicznie zasłoniętą żaluzję. Usiadł natychmiast i zaczął walić pięścią w pościel.

– Kurwa, kurwa, kurwa! – wrzasnął, po czym zakrył twarz dłońmi. – To nie... to nie może tak być.

Ubrał się najszybciej jak mógł i już miał wparować przez drzwi do przedpokoju w poszukiwaniu matki, gdy zauważył ją stojącą tuż za nimi. Z oczami pełnymi strachu.

– Łukaszu... coś się stało? Czemu krzyczałeś? – urwała na chwilę mierząc go przerażonym, przeszkolonym od łez wzrokiem. – Załatwiłam wszystkie formalności związane z pogrzebem, nawet nie było cię wczoraj żeby mi w tym pomóc...

Nie pozwolił jej dokończyć i chwycił ją obiema rękami za ramiona jak dziecko, któremu trzeba wytłumaczyć bardzo ważną rzecz.

– Mamo. Skup się. O której wczoraj wróciłem? Mówiłem coś? Spałaś wtedy?

– Byłam zobaczyć ciało, spisali moje zeznania, twoje pewnie też będą potrzebowali, chcą rozważyć wszystkie możliwości... sekcja nic szczególnego nie wykazała, i...

Miał ochotę wybuchnąć i czuł, że może to przypadkiem niechcący zrobić. Słuchał jałowego wyliczania, w którym jedyny przekaz emocjonalny znajdował się w cichutkim głosiku matki. Zawsze zdawała się mówić jakby zbierało jej się na płacz. Łukasz wziął głęboki oddech i spojrzał jej w oczy, co robił bardzo rzadko. Był niemal w stanie zauważyć dzielącą ich barierę, granicę między dwoma całkowicie różnymi światami w których oboje żyją, a jedynym łączących ich elementem było wyłącznie to samo mieszkanie i nieco genów. Pech chciał, że Łukasz potrafił to zauważyć.

– Dobra, dobra – przerwał jej wywody, które jak to bywało z jej wywodami, nakładały na niego jeszcze więcej problemów. – Wszystko załatwimy, zrobimy, pójdziemy, kupimy. Mamo, o której wczoraj wróciłem?

– Nie wiem, spałam już. Przecież jak wychodziłeś to ja już się kładłam.

– Słyszałaś jak wchodziłem?

– Nie. Czemu o to pytasz?

– Przecież prawie zawsze słyszysz jak wchodzi, słyszysz nawet muchę w drugim pokoju. I teraz nagle mnie nie słyszałaś?

– Nie, Łukaszu. Co się stało? Czemu o to pytasz? Znowu coś brałeś? Dziwnie się zachowujesz. Dziś masz następną wizytę u doktora, nie zapomnij.

Zacząła się kolejna wyliczanka podparta słynnymi matczynymi pytaniami. Powoli tracił nerwy. Nic nie rozumiał, nic mu nie pomagało w tym żeby zrozumiał. A z każdą próbą zrozumienia, nie rozumiał coraz więcej.

„Czemu, kurwa, mi się wszystko teraz nagle przytrafia?”

– Nieważne. – Nie chciało mu się nawet wymyślać kłamstwa, by zaspokoić jej potrzebę inwigilowania każdego ruchu.

– Co się dzieje?

– Nic, jest wszystko w porządku. – Zdobył się na mały uśmiech, który miał to niby potwierdzać.

Nagła myśl przebiła mu czaszkę. Wyminał mamę i wszedł do łazienki. Szybie spojrzenie w lustro i już wiedział, że znów coś jest nie tak. Coś jest coraz bardziej nie tak. Jakby tego było mało, czuł, że coś nie tak będzie jeszcze coraz bardziej nie tak.

„Kurwa.”

Jego zmęczona twarz nie miała żadnych śladów pobicia. Przeszkłone zmęczeniem oko było w całkowitej normie.

ROZDZIAŁ 17

– Czy wydaje ci się, że wiesz więcej od innych?

– Często.

– Czy słyszysz jakieś głosy, które są słyszalne tylko dla ciebie?

– Nie.

– A czy widzisz jakieś postacie, których nie widzą inni?

Doktor Taszczykowski trafił w samo sedno. Łukasz nieznacznie zadrżał jak gdyby odżyło w nim jakieś dawne traumatyczne wspomnienie.

– Nie.

Skłamał. A przynajmniej tak mu podpowiadała logika. Nie był do końca pewien. Wolał odpowiedzieć asekuracyjnie, by mili panowie z białą bluzą z długimi rękawami nie wpadli go odprowadzić do mięciutkiego pokoju.

Przez chwilę ich spojrzenia się zbiegły. Rejewicz już wiedział, że psychiatra wytropił jego kłamstwo, więc odruchowo spuścił wzrok. A może wcale nie wytropił? Odchrząknął, poskrobał kartkę i wziął łyka kawy – czy to są znaki, które świadczą, że wykrył blef?

„Przestań się zadrećzać!”

Łukasz bacznie obserwował jak przeciwnik odkłada długopis, opiera się szeroko na krześle i splata palce opierając dłonie na brzuchu.

„Tak, teraz na pewno wiem, że wychwylił. Stwierdził, że dalsze pytania nie mają sensu, bo i tak kłamię!”

„Przestań!”

– Opowiedz mi o swoim dzieciństwie. Jakie są twoje najmilsze wspomnienia?

Wzrok doktorka zdawał się świdrować Łukasza na wylot. Jego zacięte spojrzenie sugerujące myśl „Już ja cię przejrzę!” biegało po całej Rejewiczowej sylwetce i badało każdy szczegół, z ogromnym naciskiem na odruchy i kierunek spojrzenia. Łukasz wiedział, że wszystko może się wydać przez mowę ciała i sygnały niewerbalne, więc starał się nie poruszać żadnym mięśniem i mówić jak z automatu. Domyślał się, że to go nie przechytrzy, ale przynajmniej zbije z tropu i świrowstwo nie wyjdzie tak łatwo na jaw.

– Pyta pan akurat w takim momencie, gdy rana po śmierci taty jest w pełni otwarta – zaczął i na chwilę rozluźnił się oddając swobodnym przemyśleniom. – Można się więc domyślać, że jedyne fragmenty dzieciństwa, które przychodzą mi teraz do głowy, są związane właśnie z nim. Raz było lepiej, raz gorzej, a im dalej w teraźniejszość tym gorzej.

Przynajmniej tak mi się wydaje, chociaż to może moje wspomnienia mają tendencję do łagodnienia im dłużej są w mojej głowie. Rozumie pan? Pierwsze co mi od razu przychodzi na myśl to...

Spowiadał się bardzo płynnie. Usta same wyrzucały kolejne zdania, a głowa biegła po krainie pamięci. Jednak pewna jego część pracowała zupełnie oddzielnie.

Chwile zapchane przez puste słowa wywrócone na drugą stronę kojarzą się jedynie z wysokim zapotrzebowaniem organizmu na głębokie momenty samotności z dala od egoistycznych lub aż nadto altruistycznych samowystarczalnych istnień pełnych obłudnych marzeń i wyszukanych planów. To do czego uciekamy jest zarazem tym czego się najbardziej boimy. Taki stan może być wywołany jedynie przez nadmierne poczucie nieprzydatności wśród zawału zasad i przymusów oraz pośród każdego rodzaju istnień idących w swoją stronę do piekła. Bo to jak uczucie psa do człowieka, który wspaniale potrafi wyrazić radość i miłość, by jednocześnie po chwili poczuć ciężar obroży i targanej z sadystyczną siłą smyczy. Tam gdzie psy mają krtań my mamy serce i zarodek uczuć, który dobrze ściśnięty potrafi zniszczyć cały byt.

A gdyby tylko zachować zimną krew i zdobyć licencję na zabijanie, którą przecież posiadamy, niestety z wykluczeniem istot tego samego gatunku, można by pozbyć się strachu związanego z ciągłym prześladowaniem przez samotność i pustkę. Ubić winowajcę niektórych problemów i pokazać mu, że to, co czujemy jest sto razy gorsze oraz zasponsorować mu łagodne odejście w niepamięć.

Jak liście na drzewie, także i my wśród fal nienawiści i targania wietrzny podmuchem obojętności, w każdej chwili możemy spaść i zgnieć na dnie niezauważeni i deptani przez setki antagonistycznych odnóży. I chociaż trzymająca się za rękę para powinna wywoływać potoki inspiracji do sprostania żywiołowi miłości, to jednak dając się jej porwać tracimy wszystkie możliwe zmysły odbierając poniekąd tylko zniekształconą rzeczywistość.

Samotność prowadzi do depresji. Miłość prowadzi do depresji. Prędzej czy później. Warto więc znaleźć nieistniejący złoty środek poszukiwany przez tak wielu. Ci w większości polegli na autostradzie życia zdeptani przez szczury z klapkami na oczach pędzące po żarcie. A to przez to, że mieli czelność zatrzymać się i pochylić nad usychającym liściem, po to by go podnieść i odnaleźć szczęście jeszcze przed sądem ostatecznym.

– To teraz powiedz mi... – głos doktora dobiegał jakby zza ściany.

I teraz, gdy prawidłowości życia wykraczają naprzeciw, blokując drogę wytartym wnioskom, człowiek zaczyna zdawać sobie sprawę z przychylności i zarazem złośliwości świata w jakim przyszło mu żyć. Bo każdy pełen uprzedzeń, jednak pewny swoich racji, próbuje dotrzeć do otoczenia mimo zniekształconego postrzegania przez jego własny ułomny charakter.

Nasze największe zagrożenia i obawy mają charakter wewnętrzny. Tworząc sobie fałszywe pojęcia, budując fałszywe stereotypy pozornie mające coś wyjaśnić, zaczynamy ulegać własnym, najczęściej mylącym uprzedzeniom.

Strach w znaczącej mierze jest rezultatem błędów i urojeń naszej wyobraźni, a więc i terapię powinniśmy zaczynać od środka. Jednak nigdy tego nie robimy...

Łukasz nawijał jak w transie, jednak wewnątrz był zahipnotyzowany zupełnie czymś innym. Wydawało mu się, że ma dwa autonomiczne umysły. Jeden zajmował się rozmową z psychiatrą, a drugi mógł robić co tylko zapragnie i nie przejmować się spójnością i treścią zeznań. Nie musiał przejmować się niczym. Szybował na granicy świadomości jedynie ocierając się o jawę, by sprawdzić czy sytuacja wciąż jest pod kontrolą. Gdy wszystko okazywało się zgrywać bez zarzutu, wzbijał się znów na wyżyny odchyłów i szybował wśród wszystkich zaległych przemyśleń i refleksji, które zdawały się być zapisane w strategicznych miejscach jako pojedyncze słowa, a gdy o nie zahaczał, to prosiły o rozwinięcie.

Z wynaturzeń wyrwało go oślepiające światło. Pstryk. Pstryk. Doktor stał pochylony nad nim i świecił malutką latareczką prosto w źrenice. Pstryknął palcami tuż nad uchem i delikatnie, lecz energicznie chwycił szczękę Łukasza i poruszał nią na boki chwiejąc całą głową.

Łukasz z grymasem dziecka wybudzonego z drzemki spojrzał na doktora. Oczy potraktowane ostrym światłem ledwo łapały kolory. Powagę sytuacji uświadomił sobie dopiero, gdy odzyskał pełną ostrość i widzenie barw. Wtedy też wyraz twarzy pełen wyrzutu zastąpił ogromny szok. Nie był w stanie wydusić z siebie słowa. A w zasadzie był, jednak nie wiedział od czego zacząć, co dogłębnie ukazały drgające wargi próbujące sklecić jakiegokolwiek zdanie. Co robić? Przepraszać? Pytać o wyjaśnienie? Tłumaczyć się?

– Obawiam się, że możesz mieć uszkodzenie mózgu. – Widząc zakłopotanie psychiatry odezwał się pierwszy. – Najprawdopodobniej wywołane chemikaliami, które zażywałeś. Musiałeś albo przedobrzyć, albo dostać jakąś partię narkotyku z innego,

niepewnego źródła. Z moich wstępnych spostrzeżeń wynika, że uszkodzenie nastąpiło nagle, więc może to po części tłumaczyć twoje niekontrolowane odpływy i halucynacje – mówił zupełnie jak detektyw na miejscu zbrodni dokumentujący swoje spostrzeżenia gadając do dyktafonu. – Jeżeli jednak z twoją głową jest wszystko w porządku, nie wykluczam w takim razie schizofrenii lub innego rodzaju psychozy. Możliwe jest nawet jedno i drugie. Jakieś spięcie w twoim mózgu zrobiło w nim „dziurę” i wywołało chorobę. Łukasz, to już nie przelewki. Potrzebne są badania obrazowe, najlepiej MRI. Nie wiem czy powinienem cię puścić w takim stanie do domu.

– Proszę mnie puścić, nie jestem jakiś niebezpieczny czy coś.

– Nie chodzi o to. Możesz być niebezpieczny dla siebie. A raczej to, co się z tobą dzieje może być dla ciebie niebezpieczne.

Nastała chwila krępującej ciszy. Łukasz wgapiiony w podłogę próbował udawać zbitego pieska. Wyczuwał absurd swojego zachowania, wszak nie odwalił nic złego, jednak to uczucie było silniejsze. Siedział wgapiiony we własne czubki butów i snuł najbardziej katastroficzne kalkulacje swojej najbliższej przyszłości. Z każdą kolejną myślą, czy to były akurat elektrowstrząsy czy też potencjalna operacja mózgu, wyczuwał jak cisza pogłębia się i zapada, wciągając go jak bagno. A gdy już pochłonęła go całkowicie, zdał sobie sprawę, że to sygnał dla nadchodzącego zła. Biorąc pod uwagę stopień ciszy, który w tym momencie sięgnął niemal kompletnej martwoty otoczenia, może nadciągać najgorsze zło z możliwych.

Niechcące odchrząknięcie doktora Taszczykowskiego przywróciło szybko szarą rzeczywistość.

– Obiecuj mi, że pójdziesz od razu do domu i będziesz wychodził tylko kiedy będzie to bardzo konieczne. Aż do ustalenia co się dokładnie dzieje w twojej głowie.

– Dobrze.

– Skontaktuję się wieczorem ze znajomym ordynatorem. Może okazać się, że może być potrzebna czternastodniowa obserwacja szpitalna.

– Dwa tygodnie? – rzucił z wyrzutem.

– Tak. Zrozum, że to dla twojego dobra. Ale jeszcze wszystko ustalimy. Powoli.

– Nie mam wyjścia.

– Zadzwoń do twojej matki i powiem jej kiedy masz się stawić. Jak już wszystko ustalę.

Łukasz wstał i skierował się ku drzwiom. Wszystko działo się zbyt szybko. Z każdym krokiem coraz bardziej do niego docierało w jakich tarapatach się znalazł. Coraz bardziej też rozumiał, że psychiatra i jacykolwiek inni lekarze nie będą mu w stanie pomóc w tej kwestii.

Mogą nafaszerować prochami, udzielać psychoterapii, izolować, jednak tylko pogorszą sytuację. Otepią, ogłupią, zatuszują problem lekami, które śmiało można nazwać narkotykiem. Co z tego, że omamy znikną, skoro człowiek będzie zachowywał się jak zombie? Trzeba będzie rozwiązać ten problem samemu.

– Tylko nic jej na razie nie mów. Wiesz jaka jest – usłyszał tuż przed zamknięciem za sobą drzwi.

Tak, wie. To ona powinna właśnie kończyć wizytę u psychiatry.

I ci, co go pobili też.

I ta kretynka ze sklepu.

I wiele, wiele innych ludzi...

„A jeśli to nie są omamy?”

ROZDZIAŁ 18

Przechadzając się drogą powrotną analizował swoją sytuację. Uznał, że powolny spacer zamiast przebieżki autobusem dobrze mu zrobi. Włożywszy ręce w kieszenie przybrał nieco zgarbioną pozę wiecznego nieudacznika i wgapił się w chodnik. Chwilę później zaczęła go dziewczyna ze zbyt ostrym makijażem, jednak o sympatycznym i urokliwym spojrzeniu.

– Hej, kolego. Chyba mam coś, czego ci potrzeba – odezwała się dźwięcznym głosem, nieco przesadzając z akcentowaniem ostatnich sylab w wyrazach. Może dlatego, że żuła gumę bez zamykania ust.

– Dostatnie życie? – Nie miał ochoty na rozmowę.

– Nie, ale połykam.

Zręcznie ją wyminął.

Czym jest normalność? Tym, że on, całkowicie stabilny w każdym aspekcie, miewa czasem utraty świadomości? Czy właśnie tak się definiuje wariatów? Nie potrafił tego kontrolować, jednak, co najważniejsze, nie wyrządzał nikomu tym krzywdy. Mógł szkodzić jedynie samemu sobie, co było i tak wątpliwe oraz ciężkie do udowodnienia. I za to, za te tymczasowe odchyły, był uważany (a przynajmniej tak sądził) za dziwaka, świra i osobę, od której lepiej trzymać się z daleka. Tylko czekał, aż ktoś ze znajomych przypadkiem się dowie

o jego odwiedzinach u psychiatry, by jakiegokolwiek jego dalsze interakcje z ludźmi z otoczenia wypełniły się szyderstwem, pokpiwaniem i wytkniętymi palcami.

A co z tymi, którzy piorą słabszych dla własnej uciechy lub demolują własność publiczną lub jakąkolwiek nie-swoją? A co z idiotami, którzy wsiadają za kierownicę pod wpływem? Co z alkoholikami, którzy terroryzują własną rodzinę z chorą satysfakcją? Co z nastolatkami, którzy jako jedyny cel w życiu obierają lansowanie się i szpan? Co ze starymi babkami, które odbijanie piłki o blok albo skakanie po kałużach uznają jako akt czystego demonizmu i degeneracji najmłodszych pokoleń? Co z tymi wszystkimi ludźmi, którzy ś w i a d o m i e ukazują swoje odchyły, pamiętając je i uznając za całkowicie w porządku? Czy oni są normalni? Czy to jest mniej pojebane? Tak łatwo to zignorować i wysłać do psychiatry osobę, która wydaje się być najnormalniejsza z ich wszystkich? Dlaczego taki jeden mały defekt ma definiować człowieka, podczas gdy inni całe życie siedzą w psychicznym gównie?

Ogrom pytań bez odpowiedzi wywoływał coraz to większą bezradność. Chciało mu się krzyczeć. Chciało mu się płakać. Chciał się zabić i żyć pełnią życia jednocześnie. Całe zatrzęsienie emocji, które do tej pory potrafił zinterpretować, w tym momencie zlewało się w jedną zimną papkę. Łukasz próbował ogarnąć ten cały moloch, jednak stopniowo zatracał się i grzązał w żalu. Do świata. Do siebie. Do tych pierdolonych narkotyków. Do czegokolwiek co podejrzewał, że wtrąciło go w tę mizerną sytuację życiową.

Powoli mijali kolejnych ludzi, na których tym razem zupełnie nie zwracał uwagi. Szedł prosto przed siebie, nie schodząc nikomu z drogi. Jednych trącał lekko ramieniem, drugich prawie taranował, lecz usuwali się w ostatnim momencie. Zapewne spodziewali się, że to on powinien odsunąć się i ustąpić toru. Pech chciał, że nie przejmował się również cwaniakowatymi pyskami, które chodziły pewnie i zawsze prosto, nie schodząc nikomu z drogi. Choćby na ich trasie stało zasrane drzewo, to i tak mieliby opory z usunięciem się w bok. Czy to oznaka jakiegoś chorego honoru, prestiżu czy może próba udowodnienia czegoś – nie wiedział. Wiedział natomiast, że wpakował się wprost na takiego oprycha właśnie teraz, zaledwie kilka ulic od domu.

Łukasz odbił się od nabitej mięśniami klaty i spojrzał w górę na rosłego i tęgiego byczka. Tępy ryj i unikatowo puste spojrzenie wyrażały jedynie cwaniactwo i monumentalną pewność siebie. Z reguły taki osobnik zadawała się pizganiem z bara, czym zapewne udowadnia swoją wyższość, jednak tym razem zaspokajał się bezpośrednim starciem. Przez chwilę Łukasz ironicznie zastanawiał się z jakim gatunkiem małpy ma do czynienia.

– Jak kurwa chodzisz pajacu? Wyjechać ci? – ochryply głos wydarł się na niego i osilek rozłożył szeroko ręce oraz lekko się zgarbił.

Była to typowa postawa skretyniałego agresora. Przerabiał to setki razy. Znał ten typ człowieka od podszewki. Kolejny niewydolny umysłowo.

Zapomnieli jak kochać i zaspakajają już tylko swoje popędy seksualne. Zacołani i prości. Męskie gówna z domieszką koksu i dragów. W sam raz dla równie inteligentnych, pokrytych bejcą panien, które ślinią się i piszczą na widok mięśni wyhodowanych na paszy dla świń (oby tylko). Na dyskotekach takich pełno i po krótkiej obserwacji nie trudno dojść do wniosku, że ich mózg jest usytuowany w główce od penisa, który kurczy się stopniowo z każdą kolejną wizytą na siłowni. Ale i na to jest sposób. Sportowe samochody, gnębienie słabszych i wszelkie inne sposoby okazywania swojej wyższości, niestety tylko materialnej i siłowej. Jest czym podjechać po kobietkę, jest czym przywalić w mordę... czego od życia chcesz więcej?

Agresja jest najbardziej prymitywną formą zablęśnięcia u rówieśników i płci przeciwnej. I co najdziwniejsze, działa najlepiej. Jednak małpie instynkty, gdy samicę dostaje najsilniejszy w stadzie są nadal aktualne. Niestety, suma ich inteligencji pomnożona dodatkowo przez dwa, nie przewyższa tej, jaką posiada byle kwiatek na parapecie.

Zastanawiająca jest jednak ich przyszłość. Czy będą kraść całe życie, czy wyklądać towar w supermarkecie? Niektórym się może powiedzie i zostaną kimś, kim marzyli być od dzieciństwa. Zostaną o c h r o n i a r z a m i. Oto wymarzona robota każdego takiego jełopa. To oni będą decydować czy wejdiesz na imprezę, to na ich widok laseczki będą robić maślane oczy, to oni będą mieli władzę. Raj na ziemi. No i będzie można komuś wpierdolić za darmo w imię wyższych wartości...

„Niektórzy ludzie nie mają sobą absolutnie nic do zaoferowania.”

– Nic już mnie dzisiaj nie zaskoczy – rzucił Łukasz w eter i próbował iść dalej w swoją stronę. Starał się zignorować problem, jednak problem go złapał za kołnierz i przyciągnął do siebie. Poczł mordercze spojrzenie wybałuszonych oczu łysej pały, ale bał się unieść głowę by to zobaczyć.

– Masz jakiś problem kolego?

– Nie, nie mam. Idę tylko w swoją stronę – chciał z tego jakkolwiek wybrnąć bez potrzeby przeproszenia tego nadętego błazna.

– Przepróś.

– Co? Za co?

– Przepróż, kurwa, powiedziałem.

Łukasz szarpnięty przecuciem rozejrzał się dookoła. Na murku siedziało dwóch innych łysych marginesów, którzy z piwkiem w dłoniach przyglądali się z szyderczym uśmiechem całemu teatrykowi. Nie mylił się – jełop się po prostu popisował. Zapewne również sam stanął na drodze, by Łukasz, wgapiony we własne myśli i chodnik, mógł wpaść na niego.

Wziął głęboki oddech i podziękował sobie w głębi ducha, że nie jest seryjnym mordercą, chociaż w kilku sytuacjach życiowych niewiele brakowało, by stać się jednym. Ta sytuacja była jedną z tych. Wiedziony swoim honorem nie miał zamiaru upodlać się jeszcze bardziej, niż życie go do tego zmusza i starał się jak najszybciej wynaleźć dyplomatyczne wyjście z tej żałosnej scenki.

– Słuchaj, człowieku, miałem naprawdę ciężki dzień. Wczorajszy, przedwczorajszy, dzisiejszy i, kurwa, pewnie jutrzejszy też. Po prostu daj mi iść w moją stronę.

Byczek zrobił jeszcze bardziej tępą minę. Łukasz daremnie się łudził, że ten zrozumie cokolwiek, zwłaszcza, iż próbuje się popisać przed kumplami. I dziewczyną. Usłyszał właśnie dziki kwik śmiechu. Gdy zlokalizował źródło, dostrzegł panienkę wracającą z ustronnego miejsca w pobliskich krzaczorach. Zapewne by się odlać, choć wcale by się nie zdziwił, gdyby zobaczył jeszcze jednego łysola wychodzącego za nią i zapinającego rozporek z obleśnym uśmiechem na pysku.

A teatryk trwał w dalej.

– Gównu mnie to obchodzi. Przepróż, albo będziesz to zaraz robił na kolanach. – Trep wyglądał na zadowolonego ze swojego tekstu, który miał na celu jeszcze bardziej poniżyć i upodlić.

– Przepróż go i masz spokój, koleś. Se pójdziesz – dołączyła się panienka.

Łukasz rozejrzał się i nie dostrzegł nikogo, kto ewentualnie mógłby się za nim wstawić. Był na jeszcze bardziej przegranej pozycji.

– Przepraszam, że musiałeś szukać zaczepki u mniejszego i słabszego tylko po to, żeby się popisać. Albo poprawić swoją pozycję w stadzie, czy udowodnić sobie swoją wartość. Wszystko jedno.

– O kurwa, taki cwaniaczek z ciebie? – Ironią losu było to, że Łukasz był w jego oczach cwaniaczkiem. – To może się spróbujesz, co?

Łysy odepchnął Łukasza i przybrał gardę. Widownia na murku widocznie się rozjątrzyła. W końcu czekało ją widowisko. Rejewicz skurczył się ze strachu i przełknął ślinę.

Praktycznie na niczym mu już nie zależało, więc równie dobrze mógł rzucić się z dzikim okrzykiem na napastnika. Lecz był pewien że tamten nie poczuje nawet najsilniejszego ciosu. A jako, że władał intelektem lepiej, niż łysy siłą, to postanowił próbować dalej walczyć swoją bronią. Rozmowa była jedynym możliwym wyjściem z tej opresji. Ewentualnie i ucieczka wchodziła w grę, jednak nią zhańbi się dopiero w ostateczności.

– No co ty, stary? Przecież widzisz, że nie mam szans.

– Widzę, to na chuj cwaniakujesz?

Zazwyczaj dla utrzymania bezkonfliktowości związków międzyludzkich wołał zachowywać te bardziej negatywne przemyślenia dla siebie. Jednak był zbyt znerwicowany, by przestrzegać rutyny.

– Bo nie widzę powodu żeby cię przeproszać. Nie wydaje ci się to logiczne? To absurdalne, że zachodzisz mi drogę i czekasz aż na ciebie wpadnę, a potem każesz się przeproszać. No kurwa, zrozumże. Postaw się w mojej sytuacji. Czemu świat musi być taki popierdolony? Czy szukanie zaczepki to szczyt życiowych ambicji? Pełnia życia? To właśnie chcesz robić? To chore, by czerpać z tego radochę. To chore, by się temu przyglądać z podnieceniem i obserwować upokarzanie drugiego człowieka. Co w tym jest takiego zajebistego, co? – W pełni strachu rzucał jedynie pojedyncze zdania. Szybkie i krótkie myśli, które na bieżąco przychodziły mu do głowy. Był bliski płaczu. Nie dlatego, że mógł oberwać, tylko że ludzkość może być tak gównianie zaprogramowana.

– O czym ty do mnie gadasz, człowieku?

– Jeżol, zostaw go. To jakiś świr. Zaraz się posra – zapiszczała panienska.

– Wypad stąd, młody. Wracaj na swoją planetę.

I poszedł. Wkurwiony, przybity, zdołowany i rozdygotany jeszcze bardziej.

„Samokontrola powinna być przedmiotem w szkole.”

ROZDZIAŁ 19

Zapewne każdy człowiek ma w sobie mordercę. A przynajmniej Łukasz miał. Często zastanawiał się, czy zrobiłby to bez wahania gdyby nie konsekwencje zabicia człowieka. Idąc myślami dalej – czy zrobiłby to z czystej przyjemności i z uśmiechem na ustach. Dresy, cwaniaki, kibole, gnoje i inne mentalne gówna umierałyby długo i w ogromnym bólu pokutując skradzione komórki, pobicia dla zabawy, zgwałcone 16-latki, skatowane żony.

Światu coraz bardziej brakuje prawdziwego zbawiciela. Nie wysłannika boga, nie ludzi wpłacających na instytucje charytatywne, nie starszego małżeństwa adoptujące sieroty. Blask ich wszystkich przyćmiony jest przez zło bijące z ciemnych zakamarków ulic, szczególnie po zmroku. "Zło dobrem zwalczaj" niestety nie działa. Brzmi pięknie i poetycko, jednak w rzeczywistości się nie sprawdza. Tutaj ewolucja nawaliła. Nie wprowadziła jednego wysoce rozwiniętego genu odpowiedzialnego za samobójstwo w przypadku nieprzydatności lub czynienia szkody dla społeczeństwa. Może jednak ów gen rozwinię się wystarczająco w ciągu kilku tysięcy lat, by z powodzeniem kierować i kontrolować liczbę umysłowych impotentów, których jak na stan dzisiejszy jest za dużo.

Ochłonął dopiero późnym popołudniem. Cały blok powrócił do życia. Ludzie popowracali z pracy, przywożąc swoje dzieciaki odebrane późno z przedszkoli i szkół podstawowych. Starsza młodzież puszczała głośno muzykę, stare babcie waliły w rury, dzieciarnia biegała po mieszkaniach z donośnym tupaniem, a rodziciele krzyczeli by w końcu usiadły do obiadu, którego zapach, dochodzący niemal z każdego mieszkania, stwarzał capiącą mieszkankę zatruwającą klatki schodowe. Zgiełk i smrodek tłumiony przez ściany wytwarzał w Łukaszowym pokoju lekki szum oraz niespokojną atmosferę rodzinnego grona. I ciepła, które zapewne gdzieś istniało w niektórych kondygnacjach, a jemu pozostało jedynie zaspakajanie się wspomnieniami, które przypominały, że i u niego kiedyś było sielsko i nieznośnie przyjemnie. Burze myśli raz po raz przerywały mu lekturę jakiejś taniej powieści fantastycznonaukowej, której tytułu nawet nie pamiętał bez zaglądania na okładkę. Przerwał i zakrył twarz dłońmi, by ogarnąć umysł i powrócić jak najszybciej do otaczającej szarości.

Chwilę później był już na dole i siedł w kierunku bliżej nieokreślonym, który miał go ostatecznie doprowadzić na plac zabaw kilka osiedli dalej. Nie bez powodu wybrał właśnie ten. Wieki temu, gdy mieszkali jeszcze w tej okolicy, mały Łukaszek właśnie na tym placu rozładowywał radość, nieświadom górien w jakie przyjdzie mu wdeptywać w doroślejszym życiu.

Pełen piasku i chwastów, otoczony niewielkim szczerbatym płotkiem, pomiędzy blokowiskami, rysował się rajski plac zabaw. Niegdyś świeżo wybudowany, dziś pordzewiała i nieco zdewastowany przez naturę i anonimowych gnojników. Jednakże wciąż przywołujący miłe i ciepłe echa z okresu beztróski i zabawy. Z delikatnym uśmiechem wywołanych wspomnień usiadł na drewnianej ławeczce pozbawionej kilku belek i wpatrywał się w pociechy bawiące się w resztkach jego młodości. Skrzypiące huśtawki, powyginana zjeżdżalnia, ostatki drabinek i resztki piaskownicy wciąż miały swój niegasnący urok azylu. Dzieci piszczały radośnie, ganiały się po całym terenie, i potykały o cały asortyment łopatek,

wywrotek i rowerków. Każde roześmiane, nieświadome świata i piękne w swojej niewinności.

Pośród całej gromadki zauważył dziwnie zachowującą się, na oko sześciolletnią, dziewczynkę. Była ubrana w starą suknię, nieco ubabraną w piachu, co dodawało jej pocieszenie niezdarne go wyglądu. Czarne, rozpuszczone włosy powiewały na lekkim wietrze, jednak wydawały się być bardziej czarną pajęczą nicią niż prawowitymi kosmykami, które tak łatwo się podmuchom nie opierają. Cała jej postać przerażająco mizerna i blada, przypominała raczej psotnego duszka, niż pełnokrwistą osobkę. Zachowaniem również wydawała się nie pasować do reszty maluchów. Dopiero po chwili przypatrywania zdał sobie sprawę, że tak ubierano dziewczynki ładne sto lat temu. Koronkowa poźółkła suknia do ziemi odsłaniała, raz za razem, małe bezkształtne czarne buciki zapinane na guziczek. Zupełnie jakby była wyjęta ze starej poźółkłej fotografii.

Zabawą dziewczynki było podrzucanie do góry dmuchanej piłki, a potem krążenie dookoła by ją znowu znaleźć. Odseparowana od reszty często obracała się w kółko i macała powietrze z nieśmiałym uśmiechem. Jej wzrok zdawał się kierować do nikąd.

Była niewidoma.

Gdy udało jej się złapać kolejny raz piłeczkę, podrzuciła ją z impetem do góry z taką siłą, że aż upadła na tyłek. Piłka wleciała aż nad huśtawki i zdmuchnięta chwilowym podmuchem dotoczyła się tuż pod nogi Łukasza. Chwycił ją i chwilę czekał, aż dziewczynka odnajdzie drogę i odbierze piłkę. Dla podpowiedzi lekko obracał ją w dłoniach, wywołując charakterystyczny dźwięk, na który miała na pewno zwrócić uwagę. Ze wzruszeniem obserwował jak powoli dochodzi do niego i po omacku klepie najpierw jego kolano, a później piłkę.

– Przepraszam pana, pan chyba znalazł moją piłkę – powiedziała uroczym i przepięknie czystym dziecięcym głosem.

– Tak. Oto twoja piłka, przyleciała do mnie aż tutaj.

– Dziękuję bardzo. Pan jest tatą któregoś z tych dzieci?

– Nie, nie. Przyszedłem tylko posiedzieć i odetchnąć świeżym powietrzem. Chętnie bym się też pobawił, ale jestem chyba już na to za stary. Jak myślisz? – Uśmiechnął się ze smutkiem, wiedząc iż dziewczynka tego uśmiechu nie zauważy.

– Sądzę, że nigdy nie jest się za starym jeśli ma się na coś ochotę. Bo jeśli się z czegoś wyrasta, to przecież nie ma się już na to ochoty.

– Masz rację, ale to by głupio wyglądało. No wiesz, taki staruch. Jeszcze by mnie uznali za wariata – zaśmiał się, a dziewczynka odpowiedziała nieśmiałym chichotem.

– Dla mnie by głupio nie wyglądało, bo ja nic nie widzę.

Poczuł cholernie mocny uścisk w sercu. Łzy wzruszenia same zaszkliły oczy i tylko czekały, by pocieknąć po policzku.

– Nie martw się tym. Przynajmniej nie widzisz złych rzeczy, których jest dużo. Gdzie twoi rodzice? Pozwalają ci tak ganiać samej za piłką?

– Siedzą na ławce przy piaskownicy. – Łukasz spojrział w tamtym kierunku, jednak nie dostrzegł nikogo. – A wie pan co znalazłam?

Mała pokazała szklaną kuleczkę, którą cały czas trzymała w swoich drobniutkich dłoniach. Wewnątrz kulki był wtopiony czarno-zielony kawałek kolorowego szkła lub plastiku, który tworzył kształt przypominający źrenicę. Łukasz w jej wieku zbierał kiedyś takie kulki i grał z kolegami na chodniku.

– O, kuleczka.

– Pewnie jest piękna, co?

– Śliczna. Potrafisz odnajdować prawdziwe skarby!

– Myślałam na początku, że to zwykły kamień, ale kamienie nie są tak ładnie okrągłe całe. Więc to pewnie kulka taka do zabawy, jaką chłopacy grają.

– Masz rację. Też takimi kiedyś się bawiłem. Ale takiej pięknej jeszcze nie widziałem!

Dziewczynka radośnie zachichotała i wyciągnęła zaciśniętą piastkę w jego kierunku.

– Proszę, dam ją panu w prezencie. Ja i tak bym ją zaraz zgubiła i nawet nie widzę jaka jest ładna. Jest pan dla mnie taki miły, bo inne dzieci się tylko śmieją, że jestem ślepa i wyzywają. Niech pan ją nosi na szczęście.

Płakał. Łzy bez jego pozwolenia ściekły po twarzy i lekko pociągnął nosem, by powstrzymać kolejne.

– Dziękuję bardzo. Będę ją nosił cały czas przy sobie.

– Ma pan katar?

– Nie... po prostu... Dziękuję ci za cudowny prezent. Obiecuję, że nigdy jej nie zgubię. Nigdy. – W tym momencie kuleczka stała się najwartościowszym przedmiotem jaki dostał w życiu. Wzruszenie blokowało mu mowę. Czuł się dziwnie. Jak kretyn. – Jak masz na imię, dziewczynko?

– Natalka. Miło było z panem porozmawiać. Ze mną nikt nie chce rozmawiać, wszyscy się chyba brzydzą. Myślę, że przez to, że mogę być brzydka, ale nie wiem bo siebie nie widzę. Ja bym nigdy nikogo nie oceniała po wyglądzie. Ale może po prostu ludzie się boją. Są tacy dziwni, że straszy ich rozmawianie z niepełnosprawnymi. Pewno się boją tego, że to może ich też spotkać.

– Masz rację. Ludzie są dziwni. Ale brzydka nie jesteś, jeszcze będziesz się odganiać od chłopaków, zobaczysz.

– Muszę już iść, bo pewnie zaraz mama przyjdzie i będzie krzyżeć, że przeszkadzam.

– Nie przeszkadzasz, obronię cię – powiedział takim tonem, by zasignalizować uśmiech.

– Nie trzeba. I tak już niedługo mnie tu nie będzie. Muszę wyjechać. Do usłyszenia!

Nie zdążył nawet odpowiedzieć, a ona capnęła piłkę i pomknęła z powrotem na swoje miejsce do podrzucania.

Mały anioł, pozbawiony możliwości zobaczenia zła na świecie. Ułaskawiona.

ROZDZIAŁ 20

Chciałby chociaż raz jeszcze znaleźć ukojenie w domowym zaciszu, jednak od długiego czasu przebywanie w domu tylko pogarszało nastrój. Gdy ojciec żył, strasznie było jak jedna rzecz potrafiła zepsuć całą rodzinną atmosferę, a na następny dzień każdy udawał, że nic się nie stało. U Łukasza, i w naprawdę wielu rodzinach, udawanie normalności na pokaz przygnębia wrażliwsze osoby zadające sobie pytanie "czemu tak wspaniale nie jest u mnie?".

Zakochane małżeństwo i dwójka roześmianych dzieci na pewno potrafi wywołać u niejednej wrażliwszej osoby myśli samobójcze. Zważywszy na to, co się dzieje w ich własnych domach. I argumenty, że zawsze mogło być gorzej nic nie pomogą. Zawsze jednak może być gorzej, nigdy lepiej, bo prawdziwych uczuć i wspomnień nie zastąpi żadna suma pieniędzy, a przeszłość pozostanie w głowie do końca życia.

Kogo nie nauczyli kochać w rodzinie, ten nigdy nie będzie potrafił prawdziwie kochać do końca życia. To jedno z tych uczuć, które musi być wyuczone w rodzinnym gronie, pomimo że – zdawałoby się – jest wrodzone. Brak tej miłości wywołuje obojętność, lub nawet gorzej – nienawiść. Nienawiść do tego co piękne i dobre, ponieważ dla niekochanego osobnika tak odmienne i obce. Wręcz niezrozumiałe. I nawet jeśli by chciał to zrozumieć, próbować ze wszystkich sił, to i tak niezbyt miłe wspomnienia uświadamiają, że to nie dla niego. To dla ludzi, którzy obcowali z pięknem, dobrem i miłością od samego początku i potrafią się tym posługiwać, dzielić, dawać innym. A on może jedynie popatrzeć, jak dziecko na zabawki za szybą na witrynie sklepowej. Ze smakiem, z zazdrością, z żalem.

Kilka dni po pogrzebie Łukasz leżał na łóżku wgapiając się w sufit. Sadystycznie odtwarzał w myślach scenę, gdy trumna powoli opuszcza się w niedbale wykopany dół. Lawirował pomiędzy próbą wymazania z pamięci tego traumatycznego dnia, a ciągłym jego przypominaniu. Był rozdarty jak zeszytowa kartka, którą można rozerwać na dwie idealnie równe części. Może to dobrze, że ojciec odszedł? Wraz ze swoją śmiercią pogrzebał setki małych problemów, które spędzały mu sen z powiek i podnosiły ciśnienie. Skończyły się kłótnie między niegdyś kochającymi się małżonkami, skończyły się wybuchy alkoholowej złości i hektolitry cierpienia przesywające niewinną duszę Łukasza.

Często zdawało mu się, że to on najbardziej cierpiał, pomimo że awantury rzadko dotyczyły jego osoby. Gdy był młodszy siedział w pokoju i zza zamkniętych drzwi chłonał jak gąbka każde przekleństwo i wyzwiska. Szarpaniny i ciosy druzgotały jego umysł i ciało ze zdwojoną siłą, choć niemal nigdy nie były skierowane do niego. Zaczął reagować dopiero gdy patologia stworzyła w nim jałową pustkę. Tylko wtedy potrafił wyjść, uspokoić pijanego i zapłakaną matkę, która także trzeźwością nie grzeszyła podczas najgorszych awantur. A gdy wracał po wszystkim do siebie, gdy serce waliło mu jak młotem i przyjmowało kolejne ciosy, płakał i trząsał się na przemian. Chodził po pokoju, zaciskał pięści, chował głowę pod poduszki, gryzł wargi do krwi. Każdorazowo próbował wynaleźć inny sposób zbitcia nerwów i osiągnięcia chociaż chwilowego spokoju. To był jeden z powodów, dla którego sięgnął po narkotyki i przystanął na jednym, dającym najlepsze poczucie wolności, swobody i świętego spokoju.

Wiedział, że każdorazowa interakcja między rodzicami wywoływała kłótnie. To było najgorsze. Potrafił niemal z matematyczną dokładnością wszystko przewidzieć. Dwójka prostych i często pijanych ludzi do analizy była wręcz zadaniem banalnym. Podejrzewał, że nawet szczury laboratoryjne mają bardziej złożone zestawy zachowań.

Jednak z drugiej strony po głowie krążyły mu chwile pełne radości i szczęścia, z czasów gdy jeszcze wszystko się układało. Może właśnie to go bolało najbardziej – że były czasy kiedy było lepiej. Bolało, gdy miał do czego wracać wspomnieniami. Gdyby całe jego życie dryfowało w patologicznym łajnie, mógłby uznawać to za normalność. Oto kolejna zasrana ironia życia.

Płynął z prądem własnych myśli. Jedyne pocieszającym faktem, był brak jakichkolwiek przedziwnych przygód w ostatnich dniach, które wiodły go na skraj szaleństwa. Chciał, by jego umysł już się naprawił. A z żółtymi papierami w życiu skończy gorzej, niż mógł w najczarniejszych przewidywaniach.

ROZDZIAŁ 21

– Mamo, sąsiadka z dołu powiedziała, że dozorca będzie rozdawał nowe klucze do piwnicy. Wiesz, po tym ostatnim włamaniu, jak wyłamali zamek. Mówiła, żeby przyjść do niego między siedemnastą a dziewiętnastą. Będziesz musiała pójść, bo mam wizytę w tym czasie i mogę się nie wyrobić. – Tłumaczył, powoli i spokojnie jak dziecku, niemniej jednak domyślał się dalszego przebiegu rozmowy.

– Bój się boga, wszystko teraz będę musiała sama robić. Pójdę, jak mi nerwów wystarczy! Gdybyś nie ćpał to byś nie musiał biegać po psychiatrach i przynosić wstydu matce. I byś miał czas.

– Wystarczy, że zejdziesz, zapukasz i poprosisz o klucz.

– Zejdę, zejdę, a co mam zrobić?! A jakby on sam nie mógł mi tego klucza przynieść.

– Mamo, nie rób problemu.

– Poradzę sobie. Zawsze sobie sama radziłam, takie już cholerne życie. Za grosz pomocy. A jeszcze ty będziesz taki jak twój ojciec. Tego by brakowało. Zakupy ci przyniesie to wielka mordęga, cholera jasna. Tylko byś narzekał. I co ja z tobą mam?

Łukasz nigdy w życiu nie pokręcił nosem, gdy miał zrobić zakupy. Traktował to jako standardowy obowiązek „rodzinny”. Już się w nim gotowało. Chciał się bronić, wręcz kurewsko go korciło. Niestety, wiedział jak ta próba obrony się skończy. Przystanął na tym, że zniósł niesłuszną krytykę i porównanie do ojca. Znosił także ojcowskie porównania do matki – wszak była to najgorsza pośrednia obelga jaką mogli go obrzucić. Typowa zagrywka. Nigdy nie chciał być taki jak oni, nigdy nie był, i nigdy nie będzie. Rodzice powinni stanowić autorytet, on jednak dzięki rodzicom wiedział jaki ma n i e b y ć w przyszłości. Chyba jedynie to im zawdzięcza.

„Czasem wolałbym, by mi powiedziała, że jestem adoptowany. Wtedy cieszyłbym się, że nie mam takich zjebanych genów.”

Matka i ojciec potrafili w zasadzie tylko krytykować i narzekać. Przyzwyczaił się, jednak nigdy nie mógł tego zaakceptować. Czasem jak im odbiło, to zdołali nawet kilka nienacechowanych zdań między sobą wymienić. Ale to z zasady odświętnie, w fantastycznym humorze i nierzadko pod publiczność. Gównu na gównie gównem pogania.

Łukasz setki milionów razy miał ochotę złapać któregoś z nich, dać w mordę by się otrząsnęli i pokazać w jaki sposób się zachowują. Wyrwać ich umysł z ciała i postawić obok, by mogli na siebie popatrzeć. Na swoje kretyńskie, irracjonalne i chore zachowanie, które w ich głębokim mniemaniu było normalne i słuszne.

Nawroty halucynacji i odplywów minęły na jakiś czas, a przynajmniej tak uważał. Gdy jeszcze brał Can-D, potrafił wszystko rozróżnić i rozpoznać, jednak teraz fatamorganą mogło być wszystko co go otacza, a on nie miałby o tym bladego pojęcia. Zaczynało się od zmiennobarwnych zakrzywień powierzchni, potem pojawiały się uciekające kropki, nienaturalne cienie i przedmioty widziane jedynie kątem oka. Kolejny etap mógł trwać teraz, gdy wszystkie jego omamy zwały się z rzeczywistością, a jego uśpiona czujność nie wychwytywała już tego spośród codzienności. Pech chciał, że zdawał sobie z tego całkowicie sprawę co jeszcze bardziej spychało go w obłąd, a każda niecodzienna przygoda kończyła się coraz większym mętlikiem w głowie.

Gdy już nieco ostygł po zderzeniu z charakterkiem matki, mógł wreszcie skupić się na swoim planie dwutygodniowych wakacji od rzeczywistości.

ROZDZIAŁ 22

– Jesteś pewien, że chcesz już teraz to zrobić? – psychiatra patrzył na niego z niedowierzaniem.

– Tak, chcę udać się na dwutygodniowe dobrowolne leczenie.

– Możesz mi podać powody swojej szybkiej decyzji? Matka cię prosiła?

– Po prostu sądzę, że to mi może pomóc.

– No cóż, muszę przyznać, że mnie zaskoczyłeś. Co prawda rozpatrywałem możliwość wysłania cię do szpitala psychiatrycznego, ale potrzebowałem jeszcze kilku wizyt by mieć stuprocentową pewność i spróbować cię nakłonić. Nie chciałem, żebyś traktował leczenie jako karę czy wielką ujmę. Ale widzę, że sam dotarłeś do właściwych wniosków.

– Kiedy bym tam trafił?

– Kiedy tylko dopełnimy wszystkich formalności i zorganizujemy ci miejsce. Jeżeli chcesz, to może być to nawet w tym tygodniu. Nie jesteś żadnym ekstremalnym przypadkiem, więc w zasadzie możesz po prostu powiedzieć kiedy ci pasuje.

– Nie mam nic przeciwko, żeby to było jak najszybciej.

– Dobrze, powiadomię cię telefonicznie. Teraz jednak możemy dalej porozmawiać, skoro mamy jeszcze czas dla siebie.

„Porozmawiać”. Ciekawy eufemizm dla serii głupich pytań w pseudoprzyjacielskiej atmosferze, które mają na celu skategoryzować wypaczenie umysłowe Łukasza.

ROZDZIAŁ 23

Szpital wyglądał wyjątkowo obskurnie. Gdyby nie kilka zaparkowanych samochodów, można by odnieść wrażenie, że miejsce jest opuszczone od lat. Złuszczony tynk, który z białego koloru przybrał żółty, kilka niedbale załatanych dziur w elewacji i cały kunszt architektoniczny oparty na bazie klocka przypominały zamierzchłe czasy PRLu, w których szpital był zapewne w kwiecie wieku. Oprócz wymiany okien i ewentualnego malowania, wewnątrz nie zmieniło się od tamtego czasu absolutnie nic.

Łukasz stał przy wejściu, obracał w ręku szklaną kulkę i kontemlował nad możliwymi przyszłymi skutkami swojej decyzji. Im bardziej o tym myślał, tym głępszym pomysłem wydawało mu się dobrowolne spędzenie dwóch tygodni w zamknięciu żrąc jakieś gówniane tabletki. Z jednej strony chciał to już mieć za sobą, wrócić do szamba w którym mieszka i napawać się udanym „leczeniem”, by móc uchodzić w końcu za normalnego. Jednak z drugiej strony wyczuwał zagrożenie wiszące nad jego zdrowiem psychicznym i pomimo że bał się samemu sobie tego przyznać, to jednak szukał specjalistycznej pomocy. A Taszczykowski oprócz pierdolenia i wypisania tabletek na uspokojenie, nie mógł mu nic więcej zaoferować.

Przedziwna presja i ciągłe napięcie w oczekiwaniu na kolejne zaniki pamięci, omdlenia i halucynacje, które teraz niby uśpione, czekały zapewne na dobry moment by zaatakować. Samodzielne próby pomocy nie przynosiły oczekiwanych rezultatów, więc trzeba było dać sobie pomoc. I chociaż Łukasz miał od dawna wyrobioną opinię o psychiatrach i takich miejscach, to jednak miał cień nadziei, że wizyta w psychiatryku będzie owocna.

Otoczony przemyśleniami ocknął się na szpitalnym łóżku. Zapewne swoim. Przed nim stał dziadkowaty lekarz w białym kitlu i prawil jakieś kazanie. Łukasz powoli złapał ostrość i poczuł nagły atak wściekłości, który stopniowo zwiększał częstotliwość drgania dłoni i ich potliwość. Zaciśnięcie pięści i zębów wydawało się być dobrym posunięciem i miał wrażenie,

że tylko dzięki temu udało mu się nie wybuchnąć furią, której powodu sam do końca jeszcze nie rozumiał.

To stało się znowu.

Gdy próbował wrócić do właściwej dla jego ciała czasoprzestrzeni, jednym uchem wylapywał co mu prawi lekarz, a drugim wypuszczał ten bełkot zupełnie jakby był w obcym języku.

– Panie Łukaszu? Rozumiem, że to znowu się stało? – krzywo zaczesana siwizna lekarza pochyliła się w jego kierunku. Resztę głowy spostrzegł dopiero po złapaniu całkowitej ostrości.

– C-co? Co znowu się stało?

– Hmm, pana omdlałość, jeżeli tak to mogę nazwać. Zamroczenie.

– Tak. Skąd pan wie?

– Pana źrenice powróciły do normalnej wielkości. Poza tym wydawał się pan zupełnie nieobecny. Niestety opinia doktora Taszczykowskiego wydaje mi się na pierwszy rzut oka zupełnie błędna. Myślę, że mamy u pana do czynienia z czymś zupełnie nietuzinkowym. Nie wykluczam uszkodzenie mózgu. Z tego co mi wiadomo, to jest pan uzależniony od narkotyków?

– Nie uzależniony. Brałem hobbystycznie, ale zapewne to pana nie przekonuje. Moment, jak długo już tu jestem?

– Hmm, rozumiem, rozumiem. A co to był za narkotyk?

– Can-D. Podobno to mieszanka LSD i DMT, plus jakieś dodatki. Sporo dodatków.

– Dobrze. Więcej szczegółów będę od pana wyciągał podczas terapii. A jeżeli nie ja, to zapewne któryś z lekarzy się panem zajmie. Tak w ogóle, jestem ordynatorem tego oddziału.

– Może mi pan powiedzieć jak długo już tu jestem?

– Gdybym powiedział panu, że trzy dni to by pan mi uwierzył?

– Słucham? To niemożliwe. Moje utraty kontaktu trwają co najwyżej kilka godzin.

– Rozumiem, rozumiem. Jest pan tu od trzydziestu minut.

– Dlaczego w takim razie wspominał pan o trzech dniach?

– Element analityczny. Niemniej jednak, będę chyba musiał powtórzyć to, co mówiłem. Jak pan zapewne wie, jest pan tutaj na dwa tygodnie, jednak w razie komplikacji czy dodatkowych problemów, wizytowanie może ulec przedłużeniu. Stopniowo będzie się pan zapoznawał ze wszystkimi zasadami panującymi w naszym szpitalu. Nie stanowi pan zagrożenia, więc wolno panu chodzić po całym terenie budynku przeznaczonym dla

pacjentów. Świetlica i biblioteczka są na końcu korytarza. Łazienkę ma pan tutaj za tymi drzwiami. W razie pytań proszę śmiało pytać kręcący się tu personel. Obchód jest codziennie o godzinie dziewiątej. Reszty sam pan się dowie z czasem. Teraz muszę lecieć, bo mnie czas goni. Aha, i jeszcze jedno. Do każdego pacjenta mówimy po imieniu dla lepszego kontaktu. Tak więc, Łukaszu, do widzenia.

Wyszedł. Odgłosy jego szybkich kroków powoli cichły i Łukasz poczuł, usłyszał i dotknął wszechogarniającej ciszy. Ciszę sygnalizującą nadchodzące zło. Kraty na oknach, łóżko przypominające rozłożony leżak i dwie odrapane szafki wieńczyły maksimum szarości. Szarości, która rekord intensywności zdawała się pobić właśnie tutaj.

„Przynajmniej klamka jest.”

Coraz częściej zauważał, że czarny humor z maksymalną ilością sarkazmu i ironii poprawiał mu nastrój. Niczym szalenciec, który w momencie przerastającego go stresu zaczyna się śmiać. A raczej właśnie w tym momencie dopiero staje się szaleńcem.

W tej chwili nie pozostawało mu nic innego jak pozwiedzać to osobliwe sanatorium. Dopiero wstając z namiastki łóżka spostrzegł, że jest już całkowicie przebrany w kostium wariata. Wyblakłe dwuczęściowe kimono wisiało na nim jak na gwoździu. Kolorem przypominało jasną spraną zieleń. Bardzo, bardzo spraną zieleń. Jak gdyby ktoś do białego roztworu dodał trzy maleńkie krople seledynowego. Na nogach dla odmiany leżały jak ułaf czarne bambosze, żałośnie przypominające czasy przedszkola.

Gdy wychylił głowę z pokoju od razu dopadł go lekki szum. Ciche, jak gdyby ukrywane rozmowy, niosły się delikatnym echem na niemalże pustym korytarzu. Myśl, że takie miejsce potęguje jeszcze zaburzenia psychiczne napełniła jego przełyk goryczą. Świrom, które słyszą głosy, zapewne odpierdala jeszcze bardziej pośród szeptów wydostających się jak gdyby z nicości. Rozejrzał się w obie strony jak gdyby chciał przechodzić przez jezdnię i w końcu pewnie, aczkolwiek trochę nieśmiało, postawił pierwszy krok i ruszył w stronę świetlicy. Jak mniemał, było to centrum tutejszego wariatkowego życia. W drodze do ostatnich drzwi mijał kolejne pokoje z numerkami i dużym zasuwany wizerem. Między pomieszczeniem 119 a 120 zauważył na ścianie wyryte czymś ostrym literki. Przy odrobinie masochizmu mogły to zrobić nawet paznokcie:

GEŚ

- oliwka z oliwek

- skórki jabłka do środka

- musztarda franc. - tyle ile waży tyle piecz
- czosnek - 180°
- majeranek
- zioła prowansalskie
- sól

Zamiast wyskrobanego liścia marihuany, penisa, czy klasycznego „jebać policję”, znajdował się przepis kucharski na sporządzenie gęsi. Gorzka ironia uświadomiła mu, że przy nagryzmołonym koślawym członku czułby się bardziej swojsko. Przepis jednakże stanowił dla niego świetną metaforę tego miejsca. Tu przebywają ludzie, którzy nie pasują do rzeczywistości. Z szacunku dla autora przejechał opuszkami palców po wgłębieniach tworzących litery i zalały go delikatne, strachliwe dreszcze. Nie miał pojęcia czego się dalej spodziewać.

W pewnym momencie dotarł do skrzyżowania z innym korytarzem i momentalnie ogarnęło go poczucie zagubienia. Czuł się niemalże tak samo jak wtedy, gdy zginął na pół godziny w lesie podczas ostatniej wspólnej rodzinnej wyprawy na grzyby. Sposób postrzegania podeszczowego lasu, gdy miał 9 lat, kwalifikowałby go do tego wariatkowa. Drzewa przypominały mu olbrzymie potwory, które używają gałęzi jako kończyn. Wielkie oko było dziuplą, oznaczające drzewo wyższe rangą, rozkazujące innym i mówiące gdzie szukać. Każdy większy kamień zdawał się być wychylającą głową gotową by go pożreć. Każdy trzask gałęzi wywołany jego krokiem był zdradzieckim sygnałem dla czegoś, co miało go dopaść.

Podczas projekcji tego uczucia skrzyżowanie korytarzy rozciągnęło się tak nieproporcjonalnie, że każdy z czterech końców zdawał się być co najmniej sto metrów dalej. Wszystko poszarzało jeszcze bardziej, mimo iż wydawało się to niemożliwe, a ściany nieco wybrzuszyły się i skurczyły do środka. Szum ustąpił miejsca całkowitej ciszy, która swoją intensywnością wywoływała pischzenie w uszach. Był gotów się rozplakać, jednak brutalnie zdławił tę chęć z tego samego powodu dla którego bał się krzyczeć będąc zagubionym w lesie. Nie chciał zdradzić swojej pozycji czemuś. Czemuś całkowicie nieokreślonemu, jednak dającym się wyczuć, niemalże przyłapać. Działał ten sam zmysł, który wykrywa u dzieci potwory pod łóżkiem i mordercę w szafie. Garbił się coraz bardziej, jakby obawiając się nacisku wybałuszonych ścian. Skulił ręce i podkurczył nogi, tak że przypominał postawą starego chudego dziadka, który ledwo potrafi stać i prawdopodobnie robi to ostatni raz w życiu.

Wzdrygnął się natychmiast gdy poczuł uścisk na ramieniu.

– Wszystko w porządku? – zapytało dobrotliwym kobiecym głosem i natychmiast świat odzyskał swoje codzienne właściwości.

– Tak... tak. Idę do świetlicy sobie – wyrzucił z siebie drżącym głosem, jednak pełnym wdzięczności, że wszystko wróciło do normy.

– Dobrze, w razie czego wołaj.

Siostra oddziałowa odwróciła się i pognąła w drugą stronę tak szybko, że nawet nie zanotował w pamięci jej twarzy. W tej samej chwili zdał sobie sprawę jak bardzo żałośnie musiało to wszystko wyglądać z perspektywy trzeciej osoby, która nie doświadczała tego samego co on. Zaraz po tym dotarło do niego, że jednak trafił tu całkowicie słusznie...

Tuż przy drzwiach świetlicowych usłyszał szept.

– Nie zrobię tego, nie zrobię tego, nie zrobię tego, nie zrobię tego... – Łukasz gwałtownie odwrócił i spostrzegł jednego z pacjentów, który zdawał się wyrosnąć tuż za jego plecami.

Mężczyzna ze zniszczoną zmęczeniem twarzą i lekkim garbem zapewne wynikającym z faktu, że jego ulubioną pozycją jest bycie skulonym, patrzył się w pustkę z przestraszonymi, wylupiastymi oczami i zdawał się całkowicie ignorować otoczenie.

– Czego nie zrobisz?

Z prędkością światła nowy współtowarzysz odwrócił głowę w jego stronę i skupił swoje spojrzenie na spojrzeniu Łukasza. Poczuł jak wielkie wybałuszone oczy świdrują go na wylot. Rejewicz natychmiast opuścił wzrok.

– Dlaczego to mnie musiało się przytrafić, dlaczego mnie wybrali?

– Nie rozumiem o co ci chodzi. Zapewne nikogo nie da się tu zrozumieć.

– Nie masz racji. Oni dali mi sygnał, przyszli do mnie. Byłem normalny, teraz mnie wkurwiają. To przez nich tu jestem! – Oblęd w jego już obląkanych oczach rysował się coraz bardziej.

– Kto taki? – Łukasz zadał to pytanie zdając sobie sprawę, że rozpoczynanie rozmowy w ogóle nie ma sensu.

– Ludzie z innej planety. Kosmici, obcy, ufoki, kurwa mać. W pewnym momencie zaczęli sobie do mnie gadać!

– Podobno pierwszym krokiem do wyleczenia jest zdanie sobie sprawy ze swojego problemu i...

– Kurwa, nie o to chodzi! Oni są naprawdę! Byłem normalnym człowiekiem, nigdy by mi tak nie odjechało! To niedorzeczne!

– To każ im cię zostawić w spokoju.

– Próbowałem, nie chcą słuchać. Wiesz co mi powiedzieli na samym początku? Jak jeszcze wydawało mi się to śmieszne? – Tu nieco ucichł, a jego głos przybrał stonowany i flegmatyczny tembr. – Powiedzieli w mojej głowie: „Przepraszamy, że tak długo. Musieliśmy odkryć w jaki sposób działają wasze fale mózgowy, więc niektóre nasze próby mogły skutkować niepożądanymi halucynacjami i omamami. Wszak wasz umysł wszelkie zakłócenia i odchyły próbuje znormalizować w jedną całość, co skutkuje często absurdalnymi wizjami.” A potem mi kazali zbierać informacje. A gdy nie chciałem, to stawali się coraz bardziej nieznośni. – Pomimo względnego uspokojenia się, oczy mężczyzny przeszklily łzy.

– Też mam halucynacje, ale przynajmniej wiem, że mi w mózgu się coś... spierdoliło. Przed chwilą miałem jedną i prawie się zesrałem. Ale po pewnym czasie dociera do człowieka, że to tylko wizja i udaje się wrócić do rzeczywistości. To tak jak we śnie. By go kontrolować, musisz zdać sobie sprawę że śnisz. W najgorszym przypadku się obudzisz.

– Gówno prawda. To nie to samo. Oni są prawdziwi i ja to wiem. Ale nikt mi nie wierzy!

– To może spróbuj się ich zapytać... – nie dokończył. Na horyzoncie pojawił się pielęgniarz.

– Oj Mariusz, Mariusz – cmoknął z dezaprobatą. – Kiedy ty przestaniesz męczyć ludzi o tych obcych? Musisz rozmawiać z panem doktorem to ci pomoże. Przecież już ostatnio już było lepiej, co? – Głos miał nieco zniekształcony piskliwością, jakby zwracał się do dziecka. Brakowało jedynie zdrabniania i seplenienia.

Pielęgniarz chwycił go pod rękę i delikatnie dał znać szarpnięciem, żeby poszedł za nim. Mariusz zachwiał się i odzyskał swoje puste spojrzenie wgapione w nicość. W miarę jak się oddalał, prowadzony przez opiekuna, jego głowa odchylała się coraz bardziej sygnalizując całkowite odpłynięcie od rzeczywistości.

– To zapewne teraz do niego gadają – powiedział do siebie Łukasz i w końcu poczuł spełnienie, że może bez dodatkowych przeszkód wejść do świetlicy.

„Może właśnie dostaje opierdół za to, że się wygadał.”

Świetlica przypominała nieco przedszkole. Na dużym dywanie, odseparowanym od stolików i krzeseł, siedziało kilku pacjentów, których stan wskazywał na dalekie wyizolowanie od teraźniejszości. Wszyscy niezwykle wychudzeni, jakby sprowadzeni prosto z obozu koncentracyjnego. Zapewne karmieni przez panie oddziałowe czymś co przypomina skrzyżowanie szlamu, błota, kleiku i kaszki. I smakuje jak stare osrane gacie. Nie ma się co dziwić, że na takiej diecie wzbogacanej garścią tabletek ludzie wyglądają jak worek kości. Smutnego wyglądu dodawały im ogromne sine wory pod oczami i puste, pozbawione wyrazu spojrzenia. Zupełnie jakby byli ciągle zagapieni w przestrzeń. Pod oknem stał stary kineskopowy telewizor, a przed nim siedziało grzecznie na krzeselkach kilkoro pacjentów. Chłonęli przekaz.

Na widok pielęgniarki chodzącej z łyżeczką i talerzykiem za pacjentem Łukasz poczuł jedynie przygnębiającą gorycz. Jego wyobrażenie o psychiatrykach niewiele różniło się od stanu faktycznego. A tego uczucia nie lubił najbardziej, zwłaszcza że był urodzonym pesymistą.

Jeden z pacjentów rysował, inny układał drewniane klocki, jakaś starsza kobieta z rozwichrzonymi siwymi włosami siedziała przy ścianie i rytmicznie bujała się do przodu i do tyłu. A ten cały cyrk odbywał się pod baczny nadzorem pielęgniarzy, którzy najprawdopodobniej spełniali funkcję ochrony.

Na wszelki wypadek, gdyby komuś jeszcze bardziej odbiło.

Łukasz dopiero po chwili zauważył, że jedno duże pomieszczenie, w którym się znajdował, jest przedzielone ścianą działową. Zapewne to z dywanikiem to „świetlica”, a to drugie to „biblioteczka”. Przeszedł przez futrynę bez drzwi, zostawiając za sobą przykry widok ludzkich umysłowych dramatów, i zaczął przeczesywać półki z książkami w poszukiwaniu jedynej godziwej rozrywki w tym miejscu. Pod baczny wzrokiem jednego z opiekunów stanął na krześle, by sięgnąć na najwyższą półkę, i wyciągnął jedyne co mogło nie być miłąkimi bełkotem bezpiecznym dla pacjentów. Tomiki poezji gościły na najwyższym regale. Zamyślając się przez chwilę uznał, że najlepszym miejscem dla wierszy jest właśnie dom wariatów. Wszak poezja jest formą dogadania się z życiem.

Wyciągnął losowo jeden wolumin i już miał zasiadać do lektury, gdy kątem oka spostrzegł młodą dziewczynę siedzącą przy stoliku obok. Czarne proste włosy zasłaniały jej twarz, a uniform wariata uniemożliwiał ocenienie figury. Pomimo tego czuł, a może nawet wiedział, że jest co najmniej ładna. Być może było to wywołane zbyt długim oglądaniem anorektycznych wariatów obok i teraz każdy prosiak wygrywałby konkursy piękności, jednak wiedziony przecuciem rozsiadł się i kątem oka obserwował żeńskie czytające zjawisko.

Wszak mało kto w tych czasach czyta książki w normalnym świecie, a co dopiero w psychiatryku. A szczególnie mało kto czyta książki w psychiatryku i okazuje się być potencjalnie ładną dziewczyną w zbliżonym do Łukasza wieku. To wystarczyło by skupiał uwagę bardziej na niej, niż na literkach przed oczami. Czuł azył normalności otaczający ten mały książkowy kącik, do którego zaglądają zapewne nieliczni.

Jego dotychczasowe podboje miłosne ograniczały się do coraz większych zawodów i rozczarowań. Jedyna dziewczyna, z którą był razem, musiała się wyprowadzić w ostatniej klasie liceum, a pozostałe otaczające go damy były zbitkiem ignorancji i głupoty. Z żalem i zazdrością przyglądał się na uboczu kolejnym udanym podrywom w wykonaniu bardziej pewnych siebie i przystojniejszych kolegów. Żaden zbyt długo w jednym związku miejsca nie zagrażał, ale niewątpliwie każdy z nich mógł pochwalić się całą gamą chorób wenerycznych. A przynajmniej tak się Łukasz pocieszał. Tak kazała mu podnosić się na duchu jego zazdrość, która tłumaczyła wszystko na swój specyficzny sposób. Okres dojrzewania i kiepskie relacje z innymi wywoływały u niego szczególne poczucie skrzywdzenia przez los. Poczucie zapewne odczuwalne przez sporo depresyjnie dorastających nastolatków, jednak dla każdego wywołane osobnym czynnikiem, który nawet będąc wytworem młodej wyobraźni, potrafi zniszczyć i zdołować psychicznie. Dopiero później, gdy burza hormonów powoli opadała zdał sobie sprawę, że jest po prostu wybrednym idealistą czekającym na perfekcję.

Delikatne ukłucie na sercu spowodowane dużą dawką niesprawiedliwości życia i niezrozumienia ludzkiej obojętności. Ała. I tak codziennie, za każdym razem, tylko często z innego powodu. Niczym nieuzasadniona tortura wyższych uczuć wywołana przez ewolucję, która usilnie wpaja miliardom ludzi, że uczucia są niepotrzebne, bo będą boleć. I chociaż radość i pełnia życia drugiej osoby powinna automatycznie uruchamiać procesy altruistyczne, tym samym powodując poprawę naszego samopoczucia, to jednak czasami zazdrość i poczucie pokrzywdzenia nie pozwala na szczerą odwzajemnienie zadowolenia z cudzego powodzenia lub sukcesu.

Bo to właśnie poczucie pokrzywdzenia wbija szpilki w ludzkie serca. Spotykając znajomego od razu przychodzi myśl jaki to z niego szczęśliwy człowiek. Ma wszystko czego o n tak bardzo pragnie. Ale natura ludzka nigdy nie miała odwagi wydusić z siebie wprost powiadomienia o swoich najgłębszych uczuciach, powodujących ukłucia w sercu, z powodu strachu przed jeszcze większym odrzuceniem i odseparowaniem. I nawet pocieszenia o ludziach którzy co dzień żyją na granicy śmierci i ubóstwa nic nie pomagają. Nasza piramida potrzeb tego nie rozumie i nie akceptuje jako dobrego powodu do radości.

I mimo że warto pomyśleć czasami o cierpieniu, którego ludzie wolą nie widzieć, to jednak egoizm charakterystyczny dla każdego organizmu i ciągle ukłucia na sercu powodują skupienie się jedynie na tym co człowieka boli i dotyczy...

Łukasz Rejewicz, społeczna ofierma, życiowy nieudacznik. Twierdził, że tymi cechami powinien się przedstawiać, prócz imienia i nazwiska, ponieważ były mu równie bliskie.

„Mnie los nie skrzywdził. To ja go skrzywdziłem.”

Dawał mu szanse, których nie potrafił wykorzystać. Podkładał pod nos możliwości o jakich wielu marzy, a on je miał w dupie. Miał w dupie, tylko po to, by pluć sobie potem w brodę, gdy czekał aż podstawi mu pod nos bliżej. A wymarzone rzeczy były w zasięgu ręki, i mimo to, nie chciało mu się jej wyciągać. Wędrowały do kogoś innego, kto nie marudził i nie wybrzydzał... i chociaż próbował. Do kogoś, kto próbował żyć lepiej zamiast czekać na samoistną zmianę. Bo tak naprawdę trzeba samemu pchać życie do przodu i urobić się po łokcie, by ujrzeć jakikolwiek rezultat. Czekanie będąc roztopionym w otoczeniu całkowicie nic nie daje, a wręcz nawet przynosi negatywne efekty – żal, zazdrość, niemoc.

Żal pokroju: „czemu oni, a nie ja?”. I wtem, spośród chmur powinien wyłonić się wielki grożący paluch i z nieukrywaną wyższością powiedzieć „bo mnie się tak podoba, żaloszny egoisto!”. I chociaż wiadomo, że darmo nikt nic nie da, a los nierówno rozdaje, to i tak bezczynność człowieka wypala. Większość nie robi nic, ale nadal myśli sobie co by było, gdyby wszystko ułożyło się inaczej.

A to nie przez siłę wyższą ludzie cierpią, tylko z powodu własnej głupoty. Poprzez robienie sobie na złość i znęcanie się nad sobą psychicznie. Snując wyidealizowane marzenia, na drodze do których dają dupy z powodu ich niezliczonych wad. Wad, z którymi nie są w stanie sobie poradzić. Nadrabiają to egoizmem z lekką domieszką schizofrenii, by pozbyć się brudów tego świata, zasłaniając się pokrzywdzeniem i depresją.

Łukasz pogubiony we własnych myślach powrócił szybko na ziemię.

– Nowy jesteś? – zapytała z wyraźnym, niemal dziecięcym zaciekawieniem.

– Tak, świeżynka.

– Tak myślałam. Ja już tutaj trochę siedzę. Jestem była narkomanką. Obecnie mianowana schizofreniczką rezydualną, mam również różne manie, natręctwa, nerwice i częste historie.

– Czyli?

– Czyli radzę uważać na mnie.

– Mówisz jakbyś się tym szczyciła.

– Słuchaj, im dłużej z tymi pajacami tu siedzę, tym bardziej kurwica mnie bierze. Błąkam się po szpitalach od czternastego roku życia i, uwierz mi, tyle lat przebywania z psychologami sprawia, że odpierdala mi jeszcze bardziej. A ta czytelnia to jedynie miejsce gdzie zjawi się od czasu do czasu ktoś, z kim można normalnie pogadać. Ty wydajesz się jednym z nich, więc możesz być spokojny.

– O co?

– Że mi nie odjebie tak nagle. Ale wystarczy, że zobaczą jakiegoś starego uślinionego, skomlącego, opóźnionego w rozwoju świra... to nie na moje nerwy.

– Powinien być podział. Na tych komunikatywnych i na tych, ekhm, bardziej zagubionych w przestrzeni. Mnie też przerażają te widoki, a dopiero widziałem kilka osób. Przeraża mnie to, że skoro jestem w tym miejscu, to bliżej mi do nich niż do normalnych ludzi.

– No to myślimy podobnie. Mnie na początku też przerażało. Teraz mnie to po prostu wkurwia. Wkurwia mnie to, że nie mogę nic na to poradzić, wkurwia mnie to, że mój łeb robi zupełnie niechciane przeze mnie rzeczy... I takie tam sranie w banie. Wybacz, że tak trejkoczę, ale kobieta musi się czasem wygadać, a jak przez długi czas nie ma komu, to wiesz jak jest. A co do podziału, to podobno jakiś tu jest, ale nikt się go nie trzyma. Jeden korytarz jest dla tych łagodniejszych, drugi dla stałych bywalców. Jeżeli masz klamkę to jesteś w tym lepszym. Kiedyś to nawet podobno był męski i żeński, ale to chyba za czasów gdy ktoś się przejmował tym kurwidołkiem. A tobie co jest tak w ogóle?

Salę przeszył głośny skowyt. W połączeniu z przeciągłym echem przypominał zawodzenie zarzynanego zwierzęcia w ogromnej rzeźni. Łukasz odruchowo napiął wszystkie mięśnie, czemu towarzyszył delikatny podskok na krześle. Po chwili ciszy, tuż zza ściany, usłyszał wyciszone wycie połączone z płaczem, tak jak gdyby ktoś krzyczał i ręką zasłaniał usta. Dziewczyna przy stoliku pochyliła bezradnie głowę i zakryła rękoma uszy.

– Ja tego nie wytrzymam w końcu... Znowu ta stara suka Baśka drze ryja, bo sobie przypomniała jak zarznęła własne dziecko. Podobno miało w sobie szatana. Głośna sprawa. A zaraz będzie wydzierać się jeszcze głośniejsze jak uświadomi sobie, że trafi do 112-stki.

– Co? Co to jest 112-stka?

– Pomieszczenie, w którym nie chciałbyś się znaleźć.

– I co tam takiego jest?

– Może kiedyś się przekonasz... – rzuciła na Łukasza złowrogie spojrzenie i przez chwilę zastygła w bezruchu. Jedyne kąciki jej ust zaczęły subtelnie unosić się w górę. Wybuchła jazgotycznym śmiechem. – Żartuję, kurwa! To nie żaden zasrany film, w którym bohater sam musi się przekonać, by się czegokolwiek dowiedzieć! Nazwijmy to pieszczotliwie izolatką, w której jest cała masa przyrządów, ponoć specjalistycznych, które mają na celu uspokojenie pacjenta. Ale definicję zapodałam!

Rejewicz analitycznie obserwował swoją współtowarzyszkę i raz po raz wykrywał w jej zachowaniu, mowie i odruchach mocne objawy psychicznego odchyłu. Ze słodkiej istotki którą wcześniej ukradkiem podglądał, przemieniła się w rozczochną jędzę, która w każdej chwili może się rzucić na niego i wydrapać oczy. Coraz bardziej niespokojny ton jej wypowiedzi i zdeorientowane oczy zasugerowały mu, że warto usunąć się z jej pierwszego planu.

– Dobra. – Błądził oczami po pomieszczeniu w poszukiwaniu wymówki. – Zobaczę, co ciekawego jest tu do poczytania. – Nie czekając na odezw wbił wzrok w litery i próbował się skupić.

– Boisz się mnie? Czemu, do cholery, wszyscy faceci się mnie boją? Przecież nie wyglądam jakoś szkaradnie, nie jestem gruba, da się ze mną pogadać, kuźwa. Może i nie mam jak się umalować i wypachnić w tym pierdolonym szambie, ale to nie powód żeby się mnie bać albo ignorować! – Czuł jej wzrok wbity w swoją postać. Wydawało mu się, że cały blaknie z każdym kolejnym fotonem odbijanym od ciała i wpadającym do jej źrenic.

Przez chwilę oboje siedzieli cicho, jednak Łukasz czuł, że każdy niepotrzebny ruch lub szmer mógł być prowokacją do niechcianej rozmowy, lub co gorsza monologu. Był na to przygotowany, w końcu przechodził to setki razy, gdy któreś z jego rodziców było pijane i szukało pretekstu do awantury. Był na to przygotowany również, gdyż każdy niewłaściwy gest lub ruch mógł być przyczyną dostania po ryju od bandy małp na osiedlu. Sztukę kamuflażu miał opanowaną do perfekcji tak bardzo, że mógłby wyklądać taki przedmiot na uniwersytecie.

Momentalnie wtopił się w otoczenie. Każda istota nieznająca rasy ludzkiej mogłaby przysiąc, że Łukasz jest zwykłym meblem, gdyby nie okrągła głowa niepasująca do reszty. Jedyne powiewająca firanka od otwartego okna i mucha walcząca o życie gdzieś na odległym parapecie sygnalizowały, że czas nie stanął w miejscu. Rejewicz dotarł do końca pierwszej strony świeżo zdobytej poezji i wtedy zadziałał jego bezwarunkowy odruch. Odruch, który działa u każdego myślącego człowieka mającego umysł w pełnym skupieniu – przewrócił kartkę.

Szelest jaki wydały poślótkie strony przypominał przesuwanie papieru ściernego po starym drewnie.

– Nawet, kurwa, nie zapytałeś jak mam na imię!!!

Litery przysłoniła mu kobieca pięść, cała pokryta małymi rankami i zadrapaniami, która była właśnie w połowie drogi by złapać go za ubranie. Dziewczyna, a raczej wariatka w skórze ładnej dziewczyny, szarpnęła do siebie jego koszulę w okolicy mostka, tak że ciało mimowolnie przybliżyło się do jej twarzy. Poczłł smród apteki i starego szpitala, który mógłby również przypominać wytwórnę leków. Gdy jego oczy złapały rzeczywistość po wyrwaniu z wyobraźni, ujrzał pełne wściekłości wory pod oczami.

– Co ja ci zrobiłam, co?!

– Nic! Po prostu czytam książkę. Czego ty ode mnie chcesz?

– Widziałam jak się podśmiewujesz ze mnie. Widziałam ten twój kretyński uśmieszek. Pewno sobie myślisz, że jestem jakąś zwykłą jebaną wariatką. Zwykłym śmieciem – cedziła przez mocno zaciśnięte zęby. – Wcale nie czytałeś tej zaszanej książki, tylko miałeś niezły ubaw.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę, co ty właśnie mówisz? Powiem ci coś, siedzisz tutaj bo masz zasranie skrzywione postrzeganie rzeczywistości. Masz pieprzone urojenia, a to jest jedno z nich. Nie potrafisz z tym walczyć? Nie potrafisz zauważyć, że zachowujesz się dziwnie?! Ogarnij się trochę! – starał się mówić spokojnie, jednak jego zdenerwowanie ujawniało walące serce znajdujące się zdradziecko blisko jej chwytu.

– Jesteś bezczelny!

– Jeżeli mówienie prawdy jest bezczelnością, to ja całe życie chciałbym spędzić z takimi ludźmi!

W jej oczach widział zawziętą walkę. Próbowwała odnaleźć się we własnym świecie interpretując fakty, które przez wściekłość docierały z opóźnieniem. Rozluźniła zaciśniętą pięść i jego sylwetka delikatnie opadła z powrotem na oparcie.

– Marta... – wyartykułowała bardzo wyraźnie i spokojnie, spuszczaając wzrok w dół.

Twarz Marty złagodniała, a napięte mięśnie policzkowe i zmarszczone czoło zastąpił otępiony i obojętny wyraz twarzy lekko wskazujący na zdziwienie.

– A teraz siadaj na swoje miejsce i przestań się drzeć, bo trafisz razem z tamtą babą do 112-stki.

Łukasz poczuł się pewnie, dzięki wzorowo opanowanej sytuacji. Nie wiedział jednak, czy była to zasługa szczęścia, czy jego osoby. Spojrzał oceniająco na kurczącą się z niewiedzy współtowarzyszkę i strach przed jej psychozą zastąpił żal. Taki sam jaki można

czuć do dziecka zagubionego w wielkim centrum handlowym. Niejednokrotnie czuł się tak jak ona – niepewny tego, czy dobrze interpretuje otaczającą go anomalię w postaci cywilizacji. Czy to, co wydaje się na pierwszy rzut oka pewniakiem, nie okaże się być ostatecznie czymś zupełnie innym, a w najgorszym przypadku odwrotnym. Właściwego odbierania bodźców musiał nauczyć się sam. Zaniedbany pod względem emocjonalnym przez rodziców, sam próbował dopasowywać odpowiednie uczucia do zachowania, a na obserwacji innych uczył się odpowiednich reakcji oraz emocji. Wychował się sam wśród niewłaściwych ludzi i teraz mogło to się na nim mścić. Niestety, żaden człowiek nie ma tej możliwości by wniknąć w umysł innego i porównać, czy odpowiednio dostrzega i analizuje otaczającą go rzeczywistość. Dobrze przynajmniej, że jako jedna z niewielu istot na ziemi, nie bierze za oczywiste tego, co widzi i odczuwa. Wyposażył się w możliwość alternatywnego punktu widzenia, co chętnie by rozdał wszystkim zjadaczom chleba na ziemi.

– Skąd mam w takim razie wiedzieć o co chodzi innym ludziom? – odezwała się nagle siedząc potulnie i grzecznie jak skruszona wzorowa uczennica, która właśnie dostała najniższą ocenę.

– Nikt tego nie jest pewien. Zawsze trzeba się domyślać. Coś, co dla ciebie wydaje się oczywiste, wcale nie musi dla kogoś takie być. Odczytywanie intencji innych, to chyba coś z czym się boryka każde małe dziecko. Uczy się, zapamiętuje, a następnie przenosi podświadomie do przyszłego życia.

– Czyli jeżeli źle się nauczy...

– To ma pecha.

– Myślę, że większość moich problemów wynika z tego złego odczytywania.

– Może być i nawet, że większość problemów na świecie jest przez to wywołane.

– Ja... Ja nie potrafię tego zmienić. Nawet jak się staram i zmuszam myśleć inaczej to i tak potem nie wiem, czy to odmienne myślenie nadal nie jest krzywe. Albo jeszcze bardziej krzywsze od poprzedniego. To, co dla innych jest odruchowe, dla mnie stanowi wyzwanie intelektualne. A jeżeli dam się ponieść własnemu odruchowi, to się kończy tragicznie. Powiedz mi, co ja mam z tym zrobić?!

– Po pierwsze, nie postrzegać wszystkich jako wrogów.

– Tak, słyszałam to na terapii.

– I ja pewnie też usłyszę, bo sam pewnie cierpię na tę przypadłość. Ale chyba nie ma aż takiej ekstremalnej postaci jak twoja. A jeżeli ma, to jej nie uzewnętrzniam. Może o to chodzi? O trzymanie wszystkiego w sobie. O tłumienie własnych odczuć i emocji dla dopasowania się do przyjętych standardów i szarej masy.

Oboje zastygli w rozmyśleniach, każde we własnym świecie, połączeni jedynie miejscem, w którym przebywają ich ciała.

Do głowy Łukasza napływała kolejna projekcja słowna.

Szósty zmysł, zwany przez niektórych empatią pozwala na subtelne wniknięcie w sposób myślenia i postrzegania świata drugiej osoby. Dzięki niemu ludzie mogą doznawać całego spektrum uczuć niezwiązanego z własnym ego. Dzięki niemu istnieje cywilizacja, dzięki niemu trzymamy w ryzach wszelkie destruktywne pokusy mogące zniszczyć społeczeństwo.

Być może to właśnie ten zmysł, dziś jeszcze nieokrzesany i nie do końca rozumiany, wyrośnie w przyszłości na drodze ewolucji w pożądaną już teraz telepatię. Ta zdolność do pośredniego zdobywania cudzych myśli już teraz kwitnie dzięki podświadomej umiejętności odczytywania znaków niewerbalnych i współczucia pozwalającego doświadczyć na własnej skórze cudzej psychiki. Co prawda w stopniu bardzo powierzchownym, jednak często wpływającym na głębszą analizę.

Jakkolwiek bieg świata nie wskazuje na ten fakt, to jednak zagorzali autruiści stoją na wyższym stopniu rozwoju od tych pozbawionych tej bezinteresowności i czystej dobroci wynikającej z posiadania duszy. Jest to kolejny krok w kierunku doskonałości i stworzenia świata pozbawionego zła, które jest tylko i wyłącznie wytworem ludzkiego egoizmu. Możliwe jest, że kiedyś, w dalekiej przyszłości, ludzkość perfekcyjnie odczytująca potrzeby i sposób myślenia bliźniego stworzy całkowicie odmienny gatunek. Pojęcie jednostki zostanie wyparte przez absolut, którego będziemy jedynie częściami składowymi. Powstanie byt perfekcyjny, operujący całą paletą możliwych zachowań, z których każde było do tej pory zarezerwowane dla różnych od siebie ludzi. To, co widział i czuł jeden, nie było dostępne i możliwe w postrzeganiu drugiego ze względu na ograniczenia płynące z ludzkiej psychiki. Jednak, gdy ta będzie połączona splotem telepatycznym gdzieś w eterze, dla bytu będzie możliwe pełne zrozumienie i zjednoczenie. Każda istota, wraz ze swoim wyjątkowym i zarazem spaczonym postrzeganiem, będzie fragmentem większego istnienia, którego może nawet nie być nigdy świadoma. Dusza stanie się prawdziwą duszą. A wraz z nią powstaną zdolności i perspektywy o jakich się nikomu nie śniło. Można będzie zrozumieć podstawy istnienia, doświadczyć na własnej percepcji innych wymiarów, w jednym z których może istnieć już teraz zarodek ludzkiego przyszłego wspólnego tworu. Altruizm będący namiastką telepatii jest jedynie pierwszym krokiem do ostatecznej i perfekcyjnej istoty, która doświadczy nieśmiertelności.

ROZDZIAŁ 25

Gdy jego myśli zaczęły brnąć za daleko, z transu wyrwało go nieśmiałe potrząśnięcie ramienia.

– Żyjesz, do cholery? Co ci jest? – w histerycznym tonie rozpoznał Martę.

Strużka śliny zwisała z jego brody. Wytrzeł ją rękawem, starannie dobierając siłę z jaką musi poruszyć odrętwiałym ramieniem, by wykonać tę czynność. Z początku czuł, że musi własnomyślowo kontrolować wszelkie najmniejsze czynności organizmu. Rozejrzył się pijanym wzrokiem i próbował bicie serca oddać z powrotem naturalnemu rozrusznikowi. Wszelkie docierające do niego bodźce wzrokowe wydawały się być zbitkiem nieznannej informacji, która dociera do nowo zainstalowanego zmysłu w jego ciele. Każdy fragment rzeczywistości musiał oddzielnie i na nowo interpretować oraz trawić własnymi myślami, jak noworodek który pierwszy raz otwiera oczy i gubi się w natłoku nowych nośników doznań.

Całkowity powrót do żywych utrudniało mu upierdliwe szarpanie jego ramienia, którego jeszcze nie potrafił zatrzymać. Przypominało mu to denerwujące poklepywanie po plecach i niepotrzebne rządzanie się jego ciałem w stanie całkowitego upojenia alkoholowego. W takim przypadku jakiś trzeźwy fragment mózgu rejestruje dyskomfort, lecz niestety reszta umysłu nie potrafi z tym nic z robić, gdyż jest uwalona w trzy dupy.

– Przestań mną trząść! – W końcu udało mu się doprowadzić mięśnie i wnętrze głowy do posłuszeństwa.

Uniósł wzrok do góry i zobaczył wielkie ślepie Marty wgapione w niego ze strachem.

– A więc to jest twój problem? – zapytała z wyczuwalną ulgą i zarazem dumą. – Jakbyś mi tu wykorkował, to by było na mnie!

– Jak długo to trwało? Jak to wyglądało? Powiedz mi!

– To nie wiesz? Nikt ci nie powiedział?

– Nie. Muszę zrozumieć. Muszę zobaczyć się z perspektywy.

– Trwało z minutę. Nagle cały zbladłeś. Albo nie. Cały zgasłeś! To wyglądało jakbyś siedział i powoli więdnął. Do cholery, wyglądałeś jak robot, któremu wyczerpały się baterie!

– Już wszystko wróciło do normy.

– Przyznaj się, pewnie miałeś niezłego tripa, co? Odleciałeś w kosmos? Takiej zawiechy, jak ćpam, to nie wiedziałam – wypiszczala z delikatnym rumieńcem na twarzy jakby nagle odkryła coś zbereźnego i przyjemnego zarazem.

– Byłem na chwile w galaktyce obok – próbował zażartować by miło i, co najważniejsze, ostatecznie porzucić temat.

Wymienili się nieśmiałymi uśmiechami.

– Opowiadaj!

– Jakbym to komukolwiek opowiedział, to zapewne spędziłbym tutaj o wiele dłużej niż przewidywałem.

– No przecież się nie wygada!

Marta od czasu jego przebudzenia przeistoczyła się zachowaniem w skaczące niecierpliwie dziecko, które prosi o cukierka. Łukasz dostrzegł, że gdyby odmłodzić w tym momencie jej ciało o piętnaście lat, idealnie pasowałaby behawioralnie do przeciętnego dzieciaka z przedszkola.

– To raczej nie jest wywołane chorobą psychiczną, tylko możliwym uszkodzeniem mózgu. Przez te pierdolone dragi, które łykałem. Chociaż nie wiem jak to możliwe.

– Mlaskałeś żetony na rozluźnienie łydy? – zaśmiała się. – Jak się brało coś nowego z niepewnego źródła, to teraz możesz mieć takie owacje.

– Nie, nie. Dojście było pewne. Mieszanka też po staremu – na jego twarzy pojawił się grymas zwątpienia. – Albo i nie...

– Na twoim miejscu dowiedziałabym się, czy nie zżarłeś czegoś niepewnego. Może miałeś z drugiej albo trzeciej ręki, więc kto wie co za syf łyknąłeś. Znałam kolesia, który wpierdolił jakąś dziwną chemię i przez miesiąc zachowywał się jak upośledzony. Potem się przekręcił...

Łukasz mógłby przysiąc, że w tym momencie, pierwszy raz w jego zasranym życiu, czyjaś rada wydawała mu się słuszna. I co najważniejsze – miał zamiar się do niej zastosować.

– Miałeś już tomografię albo rezonans mózgu robiony?

– Nie.

– No to w tym kraju trochę poczekaś.

Spodziewał się.

– Rejewicz? Jest tutaj Łukasz Rejewicz? – krzyknął w przejściu pielęgniarski.

– Tutaj jestem. Co się stało? – odpowiedział jak najciszej, ponieważ niekoniecznie chciał, by wszyscy dookoła skupili swoją uwagę na nim.

– Telefon.

Pielęgniarski obrócił się na pięcie i nawet nie obejrzał za siebie. By nie stracić go z oczu i dotrzeć bez błędzenia, Łukasz zerwał się jak w wojsku i pognął za zwalistą sylwetką opiekuna. Nie spodziewał się jednak, że kilkanaście kroków dalej pielęgniarski zniknie w

swojej kanciapie, by poplotkować z resztą personelu. A Łukasz nawet nie wiedział gdzie jest telefon.

– Co za buc, nawet mi nie pokazał... – mruknął pod nosem, gdy dostrzegł chuderlawego mężczyznę wyłaniającego się zza winkla. – Przepraszam, gdzie tu jest telefon?

– Oh. Na samym końcu tego korytarza. – Wystraszony nagłym pytaniem mężczyzna machnął ręką w nieokreślonym kierunku.

– Halo? – rzucił do słuchawki lekko zdyszany wyścigiem.

Automat był taki sam jak te, które można spotkać w budkach telefonicznych. Ten jednak wydawał się być pozbawiony aktów wandalizmu i brutalnego używania przez dzieciaki, które po szkole dzwonią na darmowe numery by porobić sobie jaja.

– Tu mama – metaliczny głos w słuchawce zadźwięczał nieznacznie głośniejszym od szeptu. Dzwonił wrak człowieka, który go wydał na świat. Przez przewody telekomunikacyjne brzmiała jeszcze bardziej mizernie i żałośniej niż na żywo. I zdawała się wymagać jeszcze większej opieki psychiatrycznej niż on. Jeżeli miałby wskazać jedną osobę na świecie, która najbardziej nie radzi sobie z życiem, byłaby to jego matka. – Jak się czujesz? Wszystko w porządku? Martwię się... Wszystko się nagle posypało... Najpierw twój tata, a teraz jeszcze to...

– Nic mi nie jest. Przecież dopiero co tu dotarłem. Nawet nie zdążyłem żadnego leku wziąć, ani nic zjeść! – To nagłe zatroskanie o jego osobę wydawało mu się absurdalne.

– Przyjechała do nas ciocia Krysia. Będzie mnie wspierać w tych trudnych chwilach. Chyba zostanie tutaj, aż do twojego powrotu.

– Dobrze. – Chciał mieć tę niepotrzebną i irytującą rozmowę już dawno za sobą.

„Tak mam, znalazłaś sobie kolejną ofiarę, która będzie ci pomagać w jakże cholernie trudnym codziennym życiu. Bo pójdzie do sklepu po żarcie jest tak kurewsko trudne, że potrzeba zwołania kogoś z rodziny. Tak trudne jest siedzenie z dupą przed telewizorem albo gapienie się przez okno, że ktoś musi za rączkę potrzymać i poklepać po pleckach! Oczywiście, jakże by nie było inaczej, przez całe swoje zasrane życie to właśnie ty robiłaś z siebie najbardziej pokrzywdzoną, pomimo że każdy problem dotyczył cię najmniej! Ty tylko sobie egzystowałaś i czasem zapiłaś mordę za pieniądze z zasiłku. Jakbym ci, kurwa, chociaż jeden dzień z mojego życia dał przeżyć, to byś do końca życia siedziała w kącie z traumą i płakała! Dobrze, że nie uczyłem się od ciebie zaradności.”

Krzyczał w zagotowanych myślach. Czuł, że bardziej się spocił z nerwów, od nakręcania się i przeklinania tępoty jedynej pozostałej mu najbliższej osoby, niż od truchtu za barczystym pigulem, który nawet nie raczył mu wskazać telefonu.

Matka dzwoniła pewnie tylko po to, by upewnić się, że ma słuszność w dalszym użalaniu się nad sobą.

– Masz swój pokój? Jest ci tam wygodnie?

– Wszystko jest dobrze.

– Rozmawiałeś już z doktorem? Pomógł ci coś?

– Mamo...

– Ciocia Krysia mówi, żeby mówić doktorowi wszystko i być szczerym, bo tylko wtedy będzie w stanie pomóc. Nie wstydz się.

– ...jestem tu dopiero od paru godzin...

– Cały czas myślę o twoim tacie. Nie rozumiem jak on mógł nam coś takiego zrobić. Teraz mamy przez to tyle problemów. Nie wiem jak my sobie poradzimy...

– Tia.

– Ty musiałaś się bardzo załamać, skoro teraz potrzebna ci jest taka pomoc. Ale nie martw się, to żaden wstyd.

– Tia. – Nie chciało mu się nawet sprostować błędnej opinii.

– Łukaszu, będę dzwonić co kilka dni, trzymaj się tam... I słuchaj pana doktora.

– Tia. Cześć.

Po każdym przepływie nienawistnych myśli o matce, nachodziło go chwilowe ukłucie refleksji. Wszak jedyną jej winą w tym wszystkim było coś, na co nie mogła mieć wpływu. Nigdy jej się nie śniło, że ktokolwiek może ją tak odbierać. Całkowita ignorancja odebrała jej możliwość dostrzeżenia istnienia faktów, które niekoniecznie muszą się zgadzać z jej światopoglądem i tokiem myślenia. Nie potrzeba tego rozumieć czy akceptować. Wystarczy świadomość, że coś takiego może istnieć.

By nie stać jak sierota pod telefonem, porzucił obecne przemyślenia i zaczął poszukiwać sposobu, by zadzwonić do Wióra i zapytać skąd miał towar. Pierwszym problemem mogło być to, że nie zna numeru. Drugim – że nie posiada żadnej karty telefonicznej, ani gotówki, by móc ją wykupić. Nawet jakby automat był na drobne, niczym w starym amerykańskim filmie, to i tak nie posiadał żadnej cholernej monety, nawet na sekundę rozmowy.

Rozejrzał się błagalnie, czekając na cud. Kilka kroków za nim stał podstarzały mężczyzna z długą postrzępioną brodą. Zapewne czekał by zadzwonić.

– Pan już nie korzysta? – starzec zapytał od razu gdy dostrzegł, że został zauważony.

– Niestety nie mam za co – Łukasz odpowiedział z uśmiechem, jednak zorientował się, że brzmiało to jak zażalenie.

Mężczyzna wyminął go i zajął jego miejsce przy automacie. Z kieszeni szpitalnych spodni z namaszczeniem wyciągnął kartę telefoniczną i przetarł ją dłonią z obu stron. Przypominał Łukaszowi bardziej mędrca lub profesora, niż przeciętnego cymbała rzucającego głównem w personel. Był nader wyprostowany jak na swój podeszły wiek. Szpitalne łachy wydawały się wcale nie pozbawiać go godności. Inteligentne spojrzenie dziadka trafiło wprost na niego, jakby przyłapało Łukasza na obserwowaniu.

– Hmm – kąciki ust mężczyzny uniosły się lekko do góry. Nie widział ich, jednak sygnalizowała to siwa broda odkształcająca się w miejscu warg. – Gdy skończę, to dam ci tę kartę, dobrze? Podejrzewam, że zostanie na niej kilka minut. Mam nadzieję, że zaspokoi to twoją potrzebę.

– Bardzo dziękuję, ratuje mi pan dzień – Rejewicz odparł z wdzięcznością.

– Dopiero pierwszy dzień tutaj, a już potrzebujesz ratunku. Oj, niedobrze, niedobrze.

– Dzięki temu telefonowi być może lepiej zrozumieć co mi jest. – Nie chciał zagłębiać się w szczegóły. – Skąd pan wie, że pierwszy dzień, jeśli można zapytać?

– Stacjonuję naprzeciwko twojego pokoju. Widziałem jak tu dotarłeś. – Podrapał się po brodzie z zamyśleniem i przyjrzał się bacznie Łukaszowi. – A nawet jeśli bym nie widział, to i tak to po tobie widać. Bardziej wyprostowana sylwetka, rumiejsze lico, bystre spojrzenie. I jakaś taka większa energia... od tych zombie – potrząsnął głową w dziwnym niezrozumiałym geście.

– Mam nadzieję, że nie będę ich przypominał za kilka dni.

– Oby nie. A teraz pan pozwoli...

Łukasz odsunął się o parę metrów, by zezwolić starcowi na trochę intymności i oparł się o ścianę. Czekał. Czekał i odliczał chwile dzielące go od odpowiedzi.

Ręce wepchnął głęboko do kieszeni i ku swojemu zniesmaczeniu, zamiast szklanej kuleczki, znalazł tam jakieś wilgotne paprochy i trochę piasku. Znajdował się niemal na samym końcu korytarza. Kilka metrów dalej znajdowało się wyjście tylko dla upoważnionych, a przynajmniej tak głosił napis. Z tej perspektywy korytarz wydawał się o wiele dłuższy niż w rzeczywistości. Ściany pomalowane do połowy kolorem jasnoblękitnym

przechodzącym w pożółkłą biel jednoznacznie sugerowały PRLowski ośrodek. Nikt już teraz nie maluje w tak bezgustny sposób miejsc, chyba że jest to klatka schodowa lub jakiś stary zapyziały szpital z właścicielem komuchem. Długie świetlówki oblegały w regularnych odstępach sufit, a przykrywający je plastikowy klosz zawierał niezliczone złoża białka w postaci zdechłych much i innych robali. Czerń ich zwłok leżących na dnie blokował dużą ilość światła, tworząc ponury i obleśny klimat.

Po przeciwnej stronie korytarza Łukasz zauważył znajomą postać Mariusza idącą w jego stronę i rozglądającą się ze strachem na boki. Ten co jakiś czas, zapewne w nerwowym tiku, unosił prawe ramię do góry i zbliżał ku niemu swoje ucho. Paranoiczny krok Mariusza zaszedł długi, patyczkowaty, łysy osobnik, który wyłonił się bez uprzedzenia z jednego z pokoi. Mariusz zatrzymał się i panicznie obiegł wzrokiem wysoką postać. Trwał w bezruchu, dopóki patyk, komicznie małymi kroczkami nie poszedł w stronę rozwidlenia korytarzy. Dopiero, gdy zniknął z pola widzenia, Mariusz drgnął i ruszył niemal truchtem w stronę telefonu i Łukasza. Całe zajście przypominało scenkę z kabaretu, w którym aktorzy dziwnymi minami i ruchami próbują rozśmieszyć widza.

– Masz chwilę? – wyłupiaste oczyska nadzieły się na Rejewicza. Mariusz przybliżył się perwersyjnie blisko, jakby przekazywał jakąś ogromną tajemnicę.

– No mam, znowu coś z tymi kosmitami? – zapytał z lekkim znużeniem, jednak intonacja miała w sobie coś z dociekliwości. Lecz nie chciał pokazywać, że ciekawi go zawartość głowy Mariusza.

– Wiesz po co oni tu są? – pochylił się i wychrapał.

– Kto? Kosmici?

– Tak, tak. W mojej głowie. Wiesz po co?

– No, dawaj.

– Chcą sprawdzić, czy jesteśmy gotowi. Gotowi na ich oficjalną wizytę. No wiesz, czy nie chwycimy za karabiny i nie zaczniemy wszystkiego rozpierdalać. To znaczy, ich.

– No ale co to ma do tego, że są w twojej głowie?

– Wybrali kilka tysięcy osób i do nich nadają. Ja jestem jedną z nich. Z tych osób. Nie do wszystkich da się przemówić. U większości kończy się na zajobie. Sprawdzają mnie. Lustrują. Obserwują nas z moją pomocą. No wiesz, patrzą moimi oczami i takie tam. Mam zbierać informacje.

– Jakie informacje?

– Fizyka. Prawie głównie sama fizyka. Muszą sprawdzić na jakim etapie rozwoju jesteśmy. Wiesz, lepiej im najpierw sprawdzić, gadając ze mną przez jakieś impulsy, niż

lecieć samemu i się grubo zdziwić. Mówią, że jest jakieś stowarzyszenie istot i rozważają naszą kandydaturę. Podobno to bardzo daleko, ale dadzą nam odpowiednią technologię, żeby się porozumiewać. Na razie porozumiewać, potem przemieszczać.

– I co, jesteśmy gotowi?

– A głównie tam! Twierdzą, że prędzej wybijemy się nawzajem technologią atomową niż za jej pomocą coś wartościowego stworzymy. Nie my pierwsi, nie my ostatni. Dla nich jesteśmy prymitywami, którzy dostali wybuchowe zabawki. Pewnie dokończą zbieranie informacji i spadają z tego kurwidołka do innej, bardziej obiecującej cywilizacji.

– I wtedy zostawią cię w spokoju?

– Taak, tak. W końcu tak. Wrócą znowu za kilka pokoleń i zastaną albo pogorzelisko, albo w końcu kogoś z kim można pogadać.

– I kiedy zamierzają z ciebie wyjść?

– Niedługo, niedługo. Mam nadzieję, że niedługo!

Mariusz przykucnął i złapał się za głowę, po czym natychmiast wstał i wyszczerzył oczy jeszcze bardziej. Teraz te dwie kule zdawały się lewitować poza twarzą.

– Wiedzą. Nie mogę nikomu mówić. Miała być tajemnica. Teraz będzie mnie boleć głowa – poklepał się wewnętrzną częścią ręki po skroni.

– A ty co tu robisz? – Drzwi „dla upoważnionych” za nimi uchyliły się i wypłuły na zewnątrz otulą głowę pielęgniary z wyblakłymi włosami, które zapewne w domyśle powinny być rude. – Podobno nie powinieneś się ruszać z pokoju do wieczora. Nie pamiętasz już? – Spojrzała na nich z wymuszonym pseudoaktorskim zatroskaniem. Łukasz przez chwilę zastanawiał się do którego z nich tak naprawdę mówi.

– Tak, tak. Już wracam. Idę. Tylko proszę nie mówić doktorowi. – Zaczął szurać papciami w stronę swojej klitki. – Ty jedyny mnie, kolego, rozumiesz. Widzę to w twoich oczach. To już i tak niedługo się skończy.

Mariusz co chwila oglądał się, czy siostra aby na pewno widzi jak wraca do siebie. Rejewicz również spoglądał na niego i był niemal pewien, że tamten powtarza swoją mantrę:

– Nie zrobię tego, nie zrobię tego, nie zrobię tego. To się niedługo skończy.

ROZDZIAŁ 26

– Proszę, oto karta – dwie dłonie trzymające razem kartę przysunęły się do niego, gdy Łukasz odprowadzał wzrokiem Mariusza. Profesorowaty dziadek podał mu magiczny

kawałek plastiku, który zdawał się być teraz najważniejszym przedmiotem Łukaszowego życia. – Tamten facet, Mariusz. Niezły paranoik z niego.

– Albo raczej schizofrenik.

– Uznajmy, że schizofrenik paranoidalny. – Broda wykrzywiła się w porozumiewawczym uśmiechu. – Jestem doktor Janusz Wilner, miło mi poznać.

– Łukasz Rejewicz, nawet nie magister. – Przyjął mocny oraz pewny uścisk ręki i uśmiechnął się nieśmiało.

– Wszystko przed tobą, młody człowieku. Ale takich jak tamten powinieneś unikać, przez nich dostaniesz na głowę jeszcze bardziej. Pacjenci tutaj szaleją bardziej przez swoich współtowarzyszy, niż przez własne choroby.

– Doświadczyłem już tego na pierwszej poznanej osobie. A w zasadzie drugiej.

– Wielu tutaj trafia do 112stki, bo nie wytrzymują szajby innych – kontynuował. – Taka Marta trafia tam częściej niż ktokolwiek inny. Rzuca się na pacjentów. W sumie to dzięki temu wszyscy nauczyli się jej omijać. I ma spokój. Trochę jej zazdroścę.

– Tak, poznałem ją... – Łukasz zawiesił głos. Nie chciał opowiadać o jej ataku. – A pan co tu robi? To chyba nieodpowiednie miejsce dla doktora?

– Ukrywam się – odparł ze stoickim spokojem. – Nie mogę ci powiedzieć przed kim.

– Ścigają pana? – pytanie samo wypadło z ust, lecz nie wiedział czy aby na pewno chce drążyć temat.

– Jestem w posiadaniu bardzo ważnych informacji. Z oczywistych względów nie mogę ci zdradzić jakich. Dla własnego bezpieczeństwa i twojego. Niemniej, ktoś na górze nie wierzy na słowo, że będę trzymał język za zębami. Chcą mnie dopaść. Profilaktycznie. I wysłać w miejsce, z którego już nie wrócę.

– Rozumiem.

– Pewnie myślisz, że jestem chory jak cała reszta?

– Ciężko mi wydawać osąd po tak krótkim czasie.

– Już cię lubię, młody. – Klepnął go w ramię. – Większość ludzi pcha się do wydawania osądów, ot tak. – Pstryknął w powietrzu palcami.

– Niestety. Że też im nie wstyd.

Oboje porozumiewawczo westchnęli.

– Siema Maciek. Podaj mi numer do Wióra. Nie mam czasu na wyjaśnienia. – Rejewicz zadzwonił pod jedyny domowy numer, który siedział mu w pamięci. Pamiętał go z

czasów, gdy ludzie jeszcze nie posiadali listy kontaktów w telefonach komórkowych i numery najzwyczajniej w świecie się zapamiętywało.

– O, stary. Szmat czasu cię nie słyszałem. Co się z tobą dzieje?

– Obiecuję, że się odezwę jak trochę sobie w życiu ogarnę. Na razie nie mogę gadać.

Masz ten numer?

– Sprawdzę w komórce. Poczekaj.

– Błagam, streszczaj się. Zaraz mi karta telefoniczna zdechnie.

– Ale masakra. W jakie bagno wdepnąłeś, że dzwonisz z automatu?

Pytanie zawisło w powietrzu i powoli pozostawało bez odpowiedzi. Coraz bardziej i bardziej.

Tyk... tyk...

– 555189297. Zapisaleś?

– W pamięci.

– Zapamiętasz?

– Muszę. Masz u mnie piwo.

Ciężar słuchawki w końcu spoczął na widelkach.

Przez chwilę czekał i rozmyślał, czy aby na pewno chce to zrobić. Odpowiedź studenta farmaceutyki, którego życiową pasją były psychodeliki i inne substancje chemiczne orające świadomość, mogła dać mu rozwiązanie jego problemu na talerzu lub też zatrzaskać je na trzy spusty. Trzecią możliwością, której się najbardziej spodziewał, było to, że gówno się dowie. Wszak dziwne byłoby, gdyby nagle doznał olśnienia po informacji co wżarł i od kogo. Niestety podwyższone bicie serca, które uznał za objaw skrywanego przecucia, mogło mieć w tym przypadku rację.

Z namaszczeniem wybrał numer, wsłuchując się uważnie w tony wybrzmiewające w słuchawce, i czekał na magiczny sygnał połączenia.

– Halo...? – Wiór swoim gardłowym przydługawym głosem oznajmił, że jest na haju.

– Tomek? Tu Łukasz, mam cholernie pilną sprawę i muszę się streszczać. Pamiętasz jak ostatnio brałem od ciebie Can-D? Wcześniej wspominałeś, że to była jakaś nowa partia z dodatkami...

– Siemaaaa, pamiętam, pamiętam. Ale nie ma mnie teraz w domu – przerwał mu w połowie zdania tym dziwnym i nie mającym związku z niczym oznajmieniem.

– Możesz gadać? Gdzie jesteś?

– W Warszawie.

- Co tam robisz?
- Siedzę w samochodzie.
- Jedziesz gdzieś?
- Tak.
- Gdzie?
- Do domu, z powrotem.
- To nie mogłeś mi, kurwa, od razu powiedzieć, że wracasz do domu?
- Odpowiadałem na twoje pytania.
- Dobra! Nieważne, do cholery! – Łukasz otwartą dłonią przejechał po twarzy, by ogarnąć się myślowo i wymazać zażenowanie. – Skąd miałeś tamten towar? Co w nim było?
- A co? Skopał ci czoło? – świński śmiech poleciał po kablu.
- Tak... tak! Mów!
- Aleś ty nerwowy... tamten produkt był eksperymentalny. Sam go miałem spróbować, ale dałem ci całość, bo byłeś w potrzebie. Wiesz, ty byś mnie poratował to i ja ciebie...
- Błagam, mów szybciej! – Rejewicz poczuł, że jest cały zlany potem.
- Ale co chcesz wiedzieć?
- Skąd, do kurwy nędzy, miałeś ćpanie!
- Jezu, spokojnie, stary. Drzesz się jak czubek jakiś. Draga miałem od Anonima. Stary chemik z osiedla Piłsudskiego. Kojarzysz? Zgarnęli go jakiś czas temu, odjechało mu i trafił do psychicznych. Myślę, że to...

Karta telefoniczna z niezmałym spokojem, jak gdyby nigdy nic, wysunęła się z automatu. Łukasz przez chwilę z niedowierzaniem patrzył na podajnik i czekał – zupełnie jakby karta nagle miała cofnąć się z powrotem, by mógł dokończyć rozmowę.

– Kurwa – zaklął cicho, zacisnął mocno oczy i przetarł czoło z potu. – Przecież mogłem mu podać numer tutaj, żeby zadzwonił. Zrozumiałby... Ja pierdolę.

Niczego się nie dowiedział. Jedyna wskazówka, a raczej jedyne słowa klucze, „Anonim” oraz „chemik” nie prowadziły jego myśli w żadnym zgodnym kierunku. Stał tak przez parę minut, wyprany z uczuć i jakichkolwiek emocji. Starał się racjonalnie rozważyć wszystkie możliwości, jednak im dalej brnął w temat, tym bardziej wariował. Świat, który nauczył go logicznego myślenia, nagle wypiął się tyłkiem i kazał się soczyście pocałować. Wszystkie wartości, wszystkie rozrachunki i całe jego analityczne myślenie zdawało się być w tej chwili nic nie warte. Łukasz natknął się na barierę, której jego rozumowanie przebić nie mogło.

Czy tak właśnie wygląda defekt mózgu?

Chodził nerwowo po korytarzu w tę i z powrotem, jakby ruch miał napędzać bardziej jego myśli. Układał wszystko do kupy, szukał interpretacji i jakiegokolwiek rozumnego wyjaśnienia. Do wszystkiego co zaszło od łyknięcia ostatniej dawki Can-D. Dreptał po płytkach podłogowych i starał się nieświadomie, w zamyśleniu, omijać spojenia. Gdy przyłapał się na parodiowaniu tej zabawy z dzieciństwa, nieznacznie się uspokoił i uśmiechnął pod nosem. Problem wciąż został nierozwiązany, jednak jego umysł starał się łapać czegokolwiek, by tylko nie odlecieć za bardzo od rzeczywistości. Miał dziwne przeczucie, że im bardziej on ucieka myślami gdzieś daleko, tym bardziej zmienia się wszystko, co go otacza. Typowe myślenie wariata.

Zawrócił na pięcie i omal nie wpadł na jednego z mieszkańców szpitala, który wyrósł spod ziemi. Niczym jakiś telepatyczny żartowniś, który odczytał jego paranoje i postanowił sobie z nich zadrwić, by pogrążyć jego neurony w jeszcze większym nieładzie. Łukasz mógłby przysiąc, że nikt go nie mijał, nikt nie wychodził z pomieszczeń. Także nie słyszał, by ktokolwiek się zbliżał. Jeszcze sekundę temu było wszędzie pusto.

Postać o ponadprzeciętnym wzroście stała jak figura woskowa i uważnie mu się przyglądała z kamiennym wyrazem twarzy. Błady, łysy, z ogromnymi sińcami pod oczami koloru granatowego. Niespodziewany gość był tym samym typem, który przeciął drogę Mariuszowi i poszedł dalej. Spośród kilkudziesięciu pacjentów, Łukasz nieświadomie zapamiętał właśnie jego. Ten fakt przepelnił jego wnętrzości nieznaczną dozą grozy, która skumulowała się i pomnożyła dopiero jak przypomniał sobie również reakcję Mariusza i jego wystraszone oczy, gdy bezwłosy patyczak szedł tylko w znanym sobie kierunku. Jak na złość lampa nad nimi delikatnie zabuczała i mrugnęła parę razy, jak w tanim horrorze. Po tym skojarzeniu postać przed nim wydała mu się łudząco podobna do wampira Nosferatu ze starego niemego filmu.

– Ty też to czujesz? – zabuczał, jakby jego głos wydawały wewnętrzne organy, a nie struny głosowe.

– A powinienem? O co chodzi? – Rejewicz nie unosił głowy, by uniknąć kontaktu wzrokowego. Przed sobą miał kredowo-błądą szyję i całkowicie nieruchome jabłko Adama.

– Czuję jak mi flaki powoli gniją. Nie odczuwasz tego smrodu?

– Nic nie czuję – skłamał. Jego receptory węchowe powoli zabijał zapach przepoconej stęchłej pizamy. – Jak mogą ci flaki gnici?

– Jestem martwy od kilku tygodni. Skoro jesteś w stanie mnie widzieć, to ty też. Wszyscy są. Doktorzy, pacjenci, pielęgniarze. Wszyscy czekamy na wyrok.

– Jakoś nie czuję żebym się rozkładał. Ani po sobie nie widzę. Nie wydaje ci się to dziwne, że umarłeś, stoisz tu i gadasz? I na dodatek jesteś w psychiatriku?

– Skoro tak właśnie jest po śmierci, to trzeba się z tym pogodzić.

– Bredzisz.

– Gadasz tak samo jak oni wszyscy. Zobaczymy. – Nosferatu odwrócił się i poszedł mamrocząc coś pod nosem. Wyglądało to zarazem przerażająco jak i komicznie. Obrął, wydawało by się, całkowicie dowolny kierunek. Szedł ukosem w stronę przeciwległej ściany, otarł się o nią ramieniem i niezmiernie powędrował przed siebie.

– Prawdziwy okaz – Łukasz usłyszał głos jednego z pacjentów, tuż nad swoim lewym ramieniem. Lekko wzdrygnął się ze strachu. – Zespół Cotarda.

– Jezu! Skąd wy się wszyscy wyłaniacie?!

– Właśnie wyszedłem ze swojej sali.

– Nieważne – westchnął. – Jaki okaz?

– Z tamtego – pokazał brodą na oddalającego się chodzącego trupa. – Lekarze z połowy kraju przyjeżdżają, żeby móc go sobie przebadać. Taka rzadka choroba.

ROZDZIAŁ 27

Dni w psychiatriku mijały równie wolno jak tygodnie na wolności. Wszelkie prace i zajęcia grupowe zdawały się tylko pomnażać sekundy pobytu zamiast je zabijać. Żadne grabienie liści czy siedzenie w kółeczku i wysłuchiwanie zbroczeń innych nie spełniało swej roli terapeutycznej, a nawet wręcz przeciwnie – wypełniało Łukasza pustką od środka. Pustką, która zazwyczaj napływa od zewnątrz, by móc zatrzymać się w przytulnym truchle uczuciowym. Tym razem załazek powstawał w nim, rósł i pęczniał jak pielęgnowane ziarno grochu.

Justyna, 29 lat. Ukończyła studia prawnicze i była w trakcie pisania doktoratu. Jej mama zawsze chciała, by została prawnikiem. Justyna nie chcąc zawieść mamy uczyła się całymi dniami i nocami, kuła definicje, ustawy i kodeksy na pamięć. Niestety, wraz z przybywającą wiedzą ubywało jej młodości, urody, znajomych. Wiedza była ważniejsza niż kontakty towarzyskie. Na pierwszej rozmowie o pracę była tak zestresowana, że nie potrafiła sklecić jakiegokolwiek zdania. Na drugiej jąkała się i nie potrafiła spojrzeć w oczy

potencjalnemu szefowi. Siedziała tylko skulona i wgapiona w podłogę trzymając jedynie pokaźne i godne pozazdrosczenia CV. Jej umysł nie dał rady.

Maciek, 32 lata. Informatyk i spec od wszystkich elektronicznych urządzeń. Spędził pół życia w kompilatorze C++ i drugie tyle grzebiąc przy tranzystorach. Uwielbiał udzielać się na forach o elektronice i sprzęcie komputerowym. Pomagał także początkującym programistom. Byli to jedyni jego przyjaciele, a monitor jedynym oknem na świat. Niestety, do tej pory imię jego jedynej dziewczyny kończyło się na „.jpg”. Z bólem obserwował jak jego otoczenie stopniowo spychało go na margines. Nikt nie chciał rozmawiać o skryptach i funkcjach. Jego umysł nie dał rady.

Piotr, 19 lat. Dusza towarzystwa, stały bywalec klubów i dyskotek. Koledzy zazdrościli mu dziewczyny, własnego samochodu i pozycji w liceum. Był lubiany przez nauczycieli i rówieśników. Zawsze życzliwy i uczynny. Nikt by się po nim nie spodziewał, że podczas sobotnich wypadów lubi wciągnąć kreskę i zjeść kilka kolorowych tabletek. Za każdym razem ciut więcej, bo organizm powoli się przyzwyczajał i zwykła dawka nie oferowała takiego kopa jak na początku. Jego umysł nie dał rady.

Bożena, 48 lat. Przez 25 lat żyła we wspólnym związku. Urodziła piękną córkę, którą chciała wychować na własne podobieństwo. Niestety, 24 lata starań nie przyniosły żadnego pozytywnego rezultatu. Nie potrafiła uznać indywidualności swojego dziecka, ani faktu, że czyjeś odmienne zdanie nie musi od razu być błędne. Nie mogła pogodzić się z jej psychiczną utratą, gdy córka wyszła za mąż. Odrzuciła od siebie cały świat. Jej umysł nie dał rady.

Sławek, 52 lata. Zbudował dom, spłodził syna i zasadził drzewo. Stabilność finansowa pozwoliła wysłać swoje dziecko na wymarzone studia, a samemu sobie, wraz z żoną, zafundować zasłużoną i spokojną emeryturę. Gdy w końcu miał trochę czasu zaczął odgrzebywać stare znajomości i spotykać się z daleką rodziną. Na nowo poznani koledzy wspominając stare czasy polewali jednego kieliszka za drugim, a kilkanaście lat nieodwiedzana ciotka częstowała dobrym winem i koniakiem. Sławek, człowiek prosty i oddany przyjaźniom, nie potrafił odmówić napitku i wracał z knajpy do domu chwiejnym krokiem przytrzymując się drzew. Coraz częściej i częściej. Nie zauważył jak pojawiły się wnuki, jak umarła jego żona. Jego umysł nie dał rady.

Słuchając ich wywodów, Łukasz rozbijał ich psychikę i życiorysy na części pierwsze. Wychwytywał każdy najmniejszy odruch i zachowanie, z których składał się cały charakter i nakładał na to problemy życia codziennego. O ile zaledwie niektórzy wychodzili poza kanon

szarości, to już znaczna większość była przytłaczająco logiczna, schematyczna i przewidywalna. Po kilku sesjach czuł, że może z łatwością przewidzieć co powiedzą, jak się zachowają i co zrobiliby w danej sytuacji. Zaplanowani na każdą okoliczność, powielający gotowe schematy i jedynie modyfikujący je nieznacznie adekwatnie do sytuacji. I co najsmutniejsze, dotyczyło się to również jednostek ponadprzeciętnie inteligentnych, w tym niestety i jego samego. Oto populacja dwudziestego pierwszego wieku.

Większość ludzkości wydawała się być dla niego robotami pozbawionymi spontaniczności. Wiedział to na podstawie swojego beznadziejnego przypadku i wieloletnich obserwacji. Nikt nie chce wypranego ze zwierzęcych zachowań, wiecznie się mądrującego i mającego na wszystko gotową odpowiedź jajogłowego intelektualisty. I był pewien, że wiele osób tak właśnie go postrzegało, jednak nie mógł nic na to poradzić. Pomimo że inteligencja się ceni, to jednak w znacznym stopniu odstrasza. Paradoksalnie wiedział, że to właśnie chwile spontaniczne są najpiękniejszymi wspomnieniami w życiu. I chociaż nie wszystkie bywają udane, to jednak zawsze byłoby co wspominać. Wiedział także, że podświadomość i intuicja działa lepiej w wielu przypadkach niż świadomość i intelekt.

Oprócz Marty, Mariusza i doktora Wilnera cały asortyment niedoszłych psycholi stanowił jedną wielką szarą masę. Te same wychudzone sylwetki szurały łaćkami po korytarzach. Każda wydawała się być klonem poprzedniej. Widok trupich twarzy, ogołoconych z myśli dzięki wspaniałym psychotropom wciskanym do kolacji, znacznie poszarzyły już i tak szare życie Rejewicza. Banda alkoholików po przejściach i niedoszłych samobójców nie była wcale bardziej stuknięta od przeciętnego przechodnia na ulicy. Po szpitalu szurały też i ciekawsze postacie, które swoimi odchyłami odznaczyli się nieco mocniej. Był stary górnik, który twierdził, że ziemia została skolonizowana. Była kobieta widmo, która, gdy tylko usłyszała skrzypienie klamki zaczynała krzyczeć i uspokajał ją tylko zastrzyk i przywiązanie do łóżka. Był także młody współwłaściciel agencji marketingowej, który przez większość swojego życia bał się zasnąć z obawy, że jego świadomość może uciec z ciała i nie wrócić. Niestety, brakowało natomiast jasnowidzów i wróżbitów, którzy mają się dobrze na wolności, a z pewnością szkodzą bardziej społeczeństwu niż biedny paranoik, który boi się swojego odbicia w lustrze.

Najgorsi i najbardziej denerwujący byli histerycy, hipochondrycy oraz różnego rodzaju panikarze, którzy nie potrafili zatrzymać swojej choroby we własnej czaszce i suszyli głowy o byle gównu każdemu napotkanemu towarzyszowi. Wiecznie niezadowoleni i wiecznie starający się zwrócić na siebie uwagę. Narzekający, marudzący, gderający,

zrządzający i robiący wszystko by przelać swoje negatywne uczucia na innych. Pieprzeni egoiści. Ich nastroje udzielały się innym. Człowiek, jako z reguły istota dosyć empatyczna, przejmuje się emocjami i absorbuje zachowania innych, szczególnie bliskich i pobliskich osób. Nie jest więc tajemnicą, że jak ktoś uzala się nad sobą publicznie zaraża tym sposobem innych swoimi humorkami. Swoją skrzywioną rzeczywistość nakłada na świat codzienny. A lamentsy na żalosne tematy świadczą tylko o próżności i głupocie. I, pomimo że nauczono większość populacji, że nie bagatelizuje się cudzych problemów, to nikt już nie uczy, że własnych się nie wyolbrzymia.

ROZDZIAŁ 28

„Całe szczęście, że podawane leki umożliwiają odróżnienie gości od pensjonariuszy”.

Jednak nawet jego główna życiowa rozrywka – dostrzeganie zabawnych absurdów rzeczywistości nie poprawiało mu tak humoru jak dawniej. Być może był to efekt prochów, które miały na celu upodobnić go do zombie. I chyba częściowo się im udało. Jedyne chwile wzmożonej aktywności emocjonalnej przeżywał podczas poniekąd intymnych rozmów i zwierzeń z Martą oraz inteligentnych wymian refleksji z doktorem Wilnerem. Mariusz niestety zniknął po kilku dniach, a pielęgniarka zapytana o przyczynę odpowiedziała, że z dnia na dzień całkowicie wydobrzał i wszystkie objawy zniknęły. Ordynator będzie się zarzekał, że terapia odniosła sukces, Łukasz jednak wolał myśleć, że kosmici po prostu uznali Ziemię za gówniane miejsce. I słusznie.

Odpłynięcia zdarzały się coraz rzadziej, i jak Marta zauważyła, mogły zostać łatwo rozwiane kłaśnięciem dłoni tuż przed nosem. Niezbyt przyjemny i wyrafinowany sposób, lecz skuteczny.

– Pobudeczka! – wykrzyczała. – Gdzie żeś był? – wcześniejsze zatroskanie teraz zastępował uśmiech. Jego deficyty w kontakcie z rzeczywistością musiały być dla niej całkiem zabawne.

– Znowu te kolory, szepty. Jakieś dziwne osoby. Trzymałaś mnie za rękę?

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Czuję tak jakby delikatny uścisk na dłoni. – Chwytał ją za rękę i delikatnie ścisnął.

– O, coś takiego.

– Jeżeli to jest twoja bajera, to się kiepsko postarałeś, mój drogi – stwierdziła ironicznie.

– Mówię poważnie. Wcześniej też to mi mogło się zdarzać, ale teraz jestem pewien – zawahał się i dodał. – Cholera, może mi po prostu ścierpła...

– Nie analizuj swojej szajby tyle, bo jeszcze bardziej ci odwali. Chodź, wyjdziemy na podwórko, bo salowa otworzyła wyjście.

– Ale...

– No chyba nie masz zamiaru znowu grać sam ze sobą w szachy?

– Jak to...

Marta nie wypuszczając uścisku dłoni podniosła się i szarpnęła Łukasza w kierunku dworu. Położyli się oboje pod dębem i obserwowali w milczeniu błękitne niebo. Patrząc w chmury podziwiali ich nieregularne, wspaniałe kształty i pewnego rodzaju obcość, która odróżnia je od tego padołu ziemskiego. Łukasz był pewien, że chmury byłyby główną atrakcją turystyczną przybyszów z innej planety. Marta mu zawtórowała głaszcząc pobłażliwie po marzycielskiej głowie.

– A kilka kilometrów niżej trwał wyścig szczurów.

– Masz rację. A my mamy tutaj taki mały azyl – uśmiechnęła się.

– Wszyscy w pogoni za sławą i kasą, z zawężonym polem widzenia, stawiając sobie przed oczami tylko upragniony cel. Nawet nie zdają sobie sprawy ile piękna i miłości przechodzi im pod nosem. Krzywdzą tym sposobem innych ludzi, siebie i na pewno sami zostali już w podobny sposób skrzywdzeni. A gdy już rozpychając się łokciami łapczywie dorwą swój wymarzony cel, pora się rozejrzeć. Zostają sami. Kolejni przegrani zwycięzcy na drodze do samospełnienia. Podstawą życia jest nauczyć się czerpać szczęście z rzeczy szarych i codziennych, a kolejne egoistyczne zachcianki z wyścigu szczurów oddalają tylko od tego. Zostawiają za sobą to, co jest tak naprawdę ważne.

Może i na szczycie jest niewiele miejsca, ale Łukasz na pewno nie chciałby reszty życia spędzić w bezwzględności i ciasnocie narażając się na upadek z bardzo wysoka. I nie złapałby się niczego po drodze, bo nikt nie wyciągnie do niego pomocnej dłoni.

Spadłby na sam dół.

– A tak w ogóle, to co się dzieje w twojej łepetynie jak odlatujesz? – zapytała Marta przechylając z ciekawości głowę jak kot.

– Masz na myśli zamroczenia?

– Jak zwał, tak zwał.

– Ciężko to jednoznacznie określić – zawiesił głos. – Za każdym razem dzieje się coś innego. Powtórzyły mi się w zasadzie tylko dziwne spotkania z jakąś babcią na przystanku. No i czasem pomieszczenia zmieniają kształty w podobny sposób, ale raz negatywnie, raz pozytywnie. Nie mam pojęcia od czego to zależy.

– Dobrze, że jeszcze potrafisz odróżnić halucynację od rzeczywistości.

– No właśnie nie potrafię. Mogę jedynie się domyślać. Skoro na co dzień pokoje nie pulsują i nie wirują, ściany im się nie odginają, a ich struktura nie staje się płynna, to wtedy wiem, że to złudzenie. Ale skąd mam mieć pewność, że osoby które spotykam nie są tylko projekcją mojej głowy?

Marta zamyśliła się i delikatnie uśmiechnęła, jakby podjęła jakieś ciekawe filozoficzne wyzwanie. W jej oczach było widać układające się teorie. Otworzyła usta, by wypowiedzieć najciekawszą z nich, jednak po chwili ze zrezygnowaniem je zacisnęła.

– Nie wiem – odparła zrezygnowana. – A ty masz jakieś pomysły?

– Nie. Niestety nie mogę tego w żaden sposób przetestować. Przystanek widziałem, siedziałem na nim, chociaż go nigdy tam nie było. To jedyne co mogłem sprawdzić. Ale inne osobliwości, które spotykam mogą istnieć w rzeczywistości, a ja mieszam sobie w głowie myśląc, że to zwidy. Cholera, nawet ty możesz być wymaginowana. I jak to mogę sprawdzić? Wcale!

– Zapytać kogoś innego! – ledwo powstrzymała się od śmiechu na myśl, że może być wymyślona.

– Ten ktoś też może być wymaginowany. Stworzony przez mój umysł!

– No teraz to wariujesz.

– Celowo przesadzam, byś mogła zrozumieć moje rozumowanie. Chodzi o to... – Łukasz zniżył głos. – Chodzi o to, że mam wrażenie jakby na ten świat nakładała się jakaś inna rzeczywistość, którą tylko ja jestem w stanie odczuć i zobaczyć. Czasem próbuje się przedostać, jednak nie zawsze jej to wychodzi. Skoro znalazłem się na tamtym przystanku, czy w innych nieistniejących miejscach, to może oznaczać, że jakoś przeskoczyłem w ten inny...

– Jak dla mnie to jesteś po prostu pierdolnięty – zachichotała. – Nie martw się, każdy świr próbuje swoje jazdy jakoś pokrętnie uzasadnić.

– Dzięki – odparł z ironią w głosie.

– Nie ma co owijać w bawełnę. Masz zbyt poetyckie podejście w tym całym bajzlu. Masz jakieś marzenia?

– To podchwytliwe pytanie? Nie wiem czy mam... a ty?

– Nie. Gdy trafiłam pierwszy raz do szpitala, musiałam wypierdolić wszystkie marzenia do śmieci.

– Ja chyba także to zrobiłem, ale jeszcze tam. – Machnął ręką próbując coś pokazać. – W prawdziwym świecie.

Rozmowę przerwała pora obiadowa.

– Dokończymy – rzucił Łukasz próbując przekrzyczeć powstały zgiełk ludzi pchających się w stronę mdłego zapachu żarcia ze stołówki.

ROZDZIAŁ 29

Marta była jedną z tych osób, których poza murami szpitala wolałby unikać. Niezrównowazona, histeryczna i nieobliczalna osóbką wpisująca się w kanon osoby aspołecznej, mogąca, jakby się wydawało, w każdej chwili wbić widelec w plecy i wykrzyczeć mantrę po łacinie. Jednakże do tej pory żaden demon władający jej ciałem, ani żadna siła wyższa wrzucająca jej do głowy nieproszone myśli, nie sprowokowała jej do czegoś gorszego niż rzucenia żarciem w sanitariusza za stanie zbyt blisko. Łukasz często przyglądał jej się na uboczu i uważnie wychwytywał wszelkie anomalie w zachowaniu, które odbiegały od normalności. Była chyba najbardziej specyficzną osobą na całym oddziale i miała zarazem największą moc przyciągania. Oprócz tego, że była całkiem atrakcyjna to jeszcze wydawała się wybijać poza szarą masę anonimowych czubków, którzy snuli się między nogami i jedynie od czasu do czasu kontaktowali z szarością, w której się znajdowali. Marta natomiast swoimi stanami chorobowymi potrafiła zwrócić na siebie uwagę całego personelu, którzy tylko czekali by dać jej kolejną nauczkę za bycie chorym i nafaszerować ogromną ilością leków.

Definicji piękna można by ułożyć tysiące. Dla każdego z osobna piękno jest czym innym, jednak uczucie i związki chemiczne jemu towarzyszące pozostają te same. Również dla każdej epoki, a nawet każdego dziesięciolecia, ideały mężczyzny i kobiety były diametralnie różne. Nikt nie był do tej pory w stanie przewidzieć, co będzie wyznacznikiem piękna za dwadzieścia lat. Łatwo jednak stwierdzić, że im dalej w przyszłość, tym bardziej w kanonie piękna góruje sztuczność, szczególnie wśród kobiet. Sztuczne paznokcie, sztuczne rzęsy, makijaż, sztuczna opalenizna, laserowa depilacja, farbowanie włosów, czy wreszcie operacje plastyczne. Da się tym sposobem ukryć swoje prawdziwe oblicze, a facet zakochuje się tym sposobem w umiejętnościach kosmetyczki i chirurga.

Kiedyś nie było żadnych upiększaczy i programów graficznych. Piękno było prawdziwym pięknem. Ludzie naturalni się bardziej kochali. Teraz mamy sztuczne gęby, a co za tym idzie – sztuczną miłość. Łukasz twierdził, że urodę kobiety należy oceniać tuż po jej wyjściu spod prysznic. Tylko i wyłącznie. W przypadku Marty nie było z tym problemu, ponieważ najbliższe kosmetyki, które faktycznie mogły coś zmienić w wyglądzie, były daleko za murami szpitala. Zdawała się być cholernie ładna jak na panujące warunki, które nie pozwalają się prezentować w całej kobiecej okazałości. Być może na jego ocenę rzutowało towarzystwo wątpliwej jakości estetycznej, jednakże od samego początku podejrzewał się o potajemne miłosne zadurzenie. Nie była jego ideałem z najskrytszych marzeń, ale właśnie pewnie dlatego tak bardzo wpadła mu w oko. No i całkiem przyjemnie się z nią rozmawiało. Z czasem czuł, że coraz bardziej mu ufa i wręcz normalnieje w oczach.

– Jedyne, co ci może przynieść szczęście w życiu to twoje własne myśli – powiedziała przeciągając się manierycznie, jakby sama ta czynność była ważniejsza od tego co mówi.

– To dlaczego tak nie postępujesz?

– Aaa, bo to się tak nie da.

– Dlaczego? – ciągnął Łukasz.

– Bo głowa często sama podrzuca niechciane rzeczy. U mnie dzieje się tak praktycznie cały czas.

– Uwierz mi, że podobnie ma większość ludzi.

– A skąd wiesz? Siedzisz w ich głowie? Przecież nie wiesz co myślą – riposta wywołała kilkusekundową pauzę.

– Nie wiem, ale to widać. Łatwo się domyślić.

– A czy domysły nie są właśnie podrzucane przez twój umysł? Wbrew twojej woli?

– Może i masz rację. Domyśl wszak nie jest nawet załączkiem prawdy. Jest tylko interpretacją rzeczywistości.

– No właśnie, więc może my siedzimy w psychiatryku, bo nasze głowy podsuwają nam myśli, które nie zależą od nas.

– Mówił ci ktoś już, że jesteś bardzo inteligentną kobietą?

– Mówili mi już praktycznie wszystko, byleby się tylko ze mną przespać.

– Skąd ta myśl? Może właśnie twoja głowa ci to podrzuciła bez twojej zgody?

– Sprawdziłam kilka razy. Wierzysz w miłość?

– Wierzę, że prawdziwa miłość zdarza się tylko raz na całe życie. To tak, jakby twoje serce miało tylko jedno miejsce na ukochaną osobę, a gdy ona się tam pojawi, to będzie już tam do końca życia.

– Nawet po rozstaniu albo śmierci?

– Nawet. Potem się jedynie skacze w poszukiwaniu tego utraconego, co się czuło z miłością. Kolejne związki są tylko i wyłącznie partnerskie. Pozbawione tej burzy i namiętności.

– Chyba jesteś bardzo doświadczony, skoro mówisz o tych sprawach.

– Niekoniecznie. Po prostu mam takie wyidealizowane filmowe i romantyczne wyobrażenie. No i cały czas tęsknię myślami za tą jedyną, która kiedyś napadła moje serce.

Marta zaśmiała się szczerze. Ze świecącymi z radości oczami kontynuowała rozmowę.

– Romeo z ciebie. Ja nie wierzę w miłość. A jeżeli bym wierzyła, to głowa podpowiada mi, że każda następna byłaby lepsza od poprzedniej, ponieważ nie popełnialibyśmy tych samych błędów i dopasowywali się lepiej. Ale to tylko domysły, podrzucane przez umysł – jej szeroki uśmiech wpadł wprost do źrenic Łukasza.

– Takie podejście przyniesie ci na pewno więcej szczęścia niż mnie. Bo u mnie już wszystko przepadło.

– Tak to już jest z tym moim szczęściem. Zawsze wydaje się być na wyciągnięcie ręki, jednak po nie nigdy nie sięgam.

– Dlaczego?

– Bo gdy sięgam, to okazuje się, że to była iluzja i to prawdziwe szczęście jest trochę dalej. I też znowu na wyciągnięcie ręki. Tak w nieskończoność. Czyli twoja definicja jest lepsza... – zamyśliła się zastygając jak manekin. – A tak w ogóle to psychiatra cię pyta o sny? Bo mnie tak. Moje są takie popierdolone, że czasami boje się o nich opowiadać. Jeszcze uznają, że stanowią poważne zagrożenie dla innych pacjentów i trafię pod klucz. Wczoraj mi się śniło, że cała rzeczywistość to tylko tekturowa dekoracja. Zwykła iluzja, na odbiór której zaprogramowane są nasze zmysły. Ja jednak widziałam ponad to wszystko. Różnokolorowe migoczące barwy, które niosły jakieś przesłanie, ja jednak nie wiedziałam jakie. Starłam się to zinterpretować, jednak czułam się ograniczona przez moje człowieczeństwo. Ale wiedziałam, że to jest prawda absolutna. Te światła, błyski i barwy transmitują nam rzeczywistość, którą widzimy... słuchasz mnie w ogóle?

Jeden z największych kobiecych talentów – możliwość skakania po tematach z ogromnym wdziękiem, wrażeniem synchroniczności, celowości i płynności – był u Marty opanowany do perfekcji. Łukasz czuł się zaangażowany w te szybkie i krótkie wymiany myśli, które w ostatecznym rozrachunku okazywały się mieć niesamowitą głębię i przesłanie. Nigdy by jednak nie przypuszczał, że zrozumienie przychodzi tak nagle i bez konieczności tłumaczenia, podczas gdy w realnym życiu potrzebował mozolnych starań, by choćby w

małym ułamku przekazać swoje myśli. A i tak ostatecznie lądowały mocno zniekształcone w percepcji rozmówcy.

– Tak, oczywiście, że słucham – nie skłamał, pomimo że jest to najczęstszy blef padający z męskich ust. – Nie sądzisz, że to wszystko jest wytworem twojego umysłu, nad którym nie do końca panujesz, a co za tym idzie, nie jesteś w stanie poprawnie zinterpretować tego, co ci podrzuca? Tym bardziej jeżeli chodzi o sny.

– A widzisz, wziąłeś się jednego wytłumaczenia na wszystko. Przestań. To nie jest tak – wzięła głęboki oddech jak gdyby natłok jej myśli był męczący. A może tylko miała upierdliwego polemistę. – Popatrz. Postacie we śnie... ich osobowości, pomysły i idee dochodzą do nas jakby z zewnątrz. Osoba śniąca ma wrażenie, że ich nie wymyśla.

– Zgadza się – przerwał. – Ale nie wydaje ci się to zbyt abstrakcyjne? Co to niby by miało oznaczać? Że dostajemy sygnały z zewnątrz od kogoś lub, nie wiem, czegoś?

– Sama nie wiem. Może faktycznie to brzmi ładnie, ale zbyt poetycko. Albo to trzeba po prostu dopracować!

Marta zerwała się na równe nogi i odeszła bez słowa. Łukasz został sam, zagubiony i zdezorientowany. Kobiety nigdy nie przestaną go zadziwiać. Chorzy psychicznie też.

Popołudniowe rozmowy z doktorem Wilnerem, często przy partyjce szachów wyglądały jak prywatne uniwersyteckie wykłady. Doktor zachwycał go elokwencją, erudycją i przede wszystkim trzeźwym spojrzeniem na otaczającą rzeczywistość, której większości ludzi brakowało. Szczególnie tutaj. Pomiędzy posunięciami pionków opowiadał z pasją i błyskiem w oku o tematach, które szybowyły gdzieś pomiędzy psychologią, a filozofią.

– Wiesz... – Łukasz zaczął przesuwając pierwszy pionek. – Od dłuższego czasu odnoszę wrażenie, że starsi ludzie nie są w stanie wnieść nic nowego do mojego życia. I wydaje mi się, że w większości przypadków młodzi ludzie przewyższają ich wiedzą i doświadczeniem. Taki urok życia w dwudziestym pierwszym wieku. A pan jest chyba jedyną osobą, która mówi mądrze i z sensem, bez prawienia frazesów i komunałów z ubiegłego stulecia, które wtedy może i się spisywały, ale teraz skazane są na wyśmianie.

– Hmm. To prawda. – Doktor zmarszczył czoło w zastanowieniu nad odpowiedzią. – Niestety, większość z nich zatrzymała się technologicznie i mentalnie na swojej młodości i z uporem wykazuje zaledwie minimalne możliwości nauczenia się nowych rzeczy. Ale czyż ciebie nie czeka to samo? Czy nie będziesz rzucał następnym generacjom przedpotopowe rady, które nikomu się nie przydadzą? Czy nie będziesz wykazywać się kompletną ignorancją w stosunku do rzeczy nowych? Myślisz, że będziesz potrafił obsłużyć odpowiednik

dzisiejszego komputera za kilkadziesiąt lat? I pomimo że większość młodych stwierdzi, iż takie zagubienie w życiu ich nie dotyczy, to jednak już teraz wystarczy pół roku odcięcia od świata, by powrócić do niego całkowicie zdezorientowanym i zagubionym. Myślisz, że nigdy nie dasz sobie takiego urlopu dla umysłu, by zregenerować siły i obudzić się nie pasując do pędzącej reszty? Choćby w tym miejscu. A może już teraz słuchasz wyłącznie starych nagrań swoich ulubionych zespołów, bo stwierdzasz, że staczają się lub idą na komercję? Że poprzednie płyty były lepsze, a te nowe zespoły do pięt tamtym nie dorastają?

Łukasz nieśmiało przytaknął.

– No widzisz, zaczęło się. – Doktor Wilner przesunął gońca i ustawił go w pozycji atakującej króla. – Już zapewne niedługo dojdiesz do wniosku, że gry komputerowe kiedyś były lepsze, a teraz wydają jedynie taśmowy kicz. W radiu techno-syf, w telewizji pierdoły dla ludzi rozgarniętych jak liście w parku na jesień. Tak to jest. Narzekasz na młodych? Ty byłeś grzeczniejszy, mniej rozpieszczony, nie piłeś, nie ćpałeś w tak młodym wieku. Przystajesz rozumieć świat, świat przestaje rozumieć ciebie. Powoli się odłączasz, zaczynasz orientować się jedynie w swojej profesji i małym wąskim hobby. Narzekasz, marudzisz, nie jesteś w stanie się dostosować. Ignorujesz powoli niektóre newsy z kręgu twoich zainteresowań. Za dużo tego, cała masa odmian się porobiła, producenci mydlą oczy, przebajerowywują. Po co ci wszystko w jednym? Jeśli coś jest do wszystkiego, to jest do niczego. Jeszcze bardziej nie rozumiesz, dokąd to wszystko zmierza. Kiedyś to było łatwiejsze do ogarnięcia. Koniec ciekawości - to już jest starość.

– Od zarania dziejów ten sam schemat.

– Dokładnie. – Dama ruszyła przez szachownicę blokując ucieczkę królowi. – Szach mat. Wygrałem.

– Jak zwykle – Łukasz uśmiechnął się z szacunkiem.

– Lepiej z lepszym przegrać, niż z głupszym wygrać. Swojego czasu byłem jednym z najlepszych. Jeździłem do Rosji na turnieje!

ROZDZIAŁ 30

Rozebrał się do majtek i dygocząc z zimna położył się na stoliku, który za chwile miał się wsunąć do wielkiego tunelu, którym był rezonans magnetyczny. Jego głowę okalała cewka gradientowa, przypominająca nieco maskę hokeisty.

– Rozluźnij się, odpręż i staraj się nie myśleć o niczym – poinstruował go młody elektroradiolog obsługujący maszynę.

Przez chwilę chciał podważyć kwestię nie myślenia o niczym, jako że w jego przypadku było to niemożliwe, jednak ugryzł się w język. Nie pamiętał ani jednej chwili w swoim życiu, w której nie myślał o niczym. Przetarł oczy, jakby ruch ręki miał zatrzymać chwilowo wszystkie neurony w jego głowie i wgapił się w sufit. Lampa tuż nad nim dawała przytłumione światło, które pozwalało patrzeć na nie wprost, bez oślepienia.

„Dzięki służbo zdrowia. To bardzo miłe z twojej strony, że w ten sposób zadbałaś o pacjenta.”

Uśmiechnął się pod nosem.

Stolik ruszył z lekkim mechanicznym zgrzytaniem i sylwetka Łukasza powoli zaczęła znikać w urządzeniu.

„Jak w krematorium.”

Pomyślał z przekorą i po chwili ugryzł się w umysłowy język. Miał myśleć o niczym. A raczej o niczym nie myśleć.

Przez samo staranie się żeby nie myśleć, myśli się o tym żeby nie myśleć. Z trudem obserwował wnętrze rezonansu magnetycznego, starając się nie analizować ani nie kontemplować tego co widzi i słyszy. Musiał przez chwilę odbierać zmysłami rzeczywistość niczym jakiś mikroorganizm, który przyjmuje wszystko za pewniak i nigdy nie podważa sensu ani celu własnego istnienia w danej chwili. Odrywał spojrzenie od jednego plastikowego refleksu na płaskiej powierzchni i przerzucał się na drugi, gdy tylko padł cień podejrzenia, że za chwilę w jego głowie urodzi się jakaś myśl. Obserwował przez chwilę ledwo widoczne spojenie dwóch półokrągłych fragmentów kremowego plastiku, po to by już po chwili łapać ostrość na męcie ciała szklistego swojego oka. Ale pod żadnym pozorem nie wolno mu było pomyśleć skąd się nagle wziął.

Uśmiechnął się sam do siebie w duchu i uznał to za dobrą zabawę. Mógł przecież dumać na temat zagadnień chemii stosowanej oraz tego, co psychoaktywnego można wyekstrahować z Domestosa i proszku do prania. I nikt nie miał prawa ani boskiej mocy by stwierdzić, że coś w tej chwili chodzi mu po głowie. Chyba...

„Ciekawe, czy jak trafi tu schizofrenik w ciężkim stanie, to czy też poproszą wszystkie jego osobowości o to, żeby przestały myśleć. I wszystkie głosy, żeby ucichły.”

Dźwięk pracy rezonansu przypominał ciągnik z włączonym silnikiem na jałowym biegu. Ktoś przygłuchy mógłby uznać, że strzelają z karabinów, rozkoszując się każdą kulą,

bardziej niż łupiąc całą serią ślepo przed siebie. Ktoś przygłupi mógłby stwierdzić, że w urzędzeniu pękła jakaś śrubka, a nienaturalne trzaski sugerują, że całość rezonansu zaraz się rozleci i zrobi niemałą krzywdę pacjentowi. Łukasz wolał jednak myśleć o trzaskaniu jako dźwięku ciągnika, który delikatnie łechtał jego ośrodek wspomnień związanych z wakacjami u dziadka na gospodarstwie rolnym.

Gdy już teraz tak radośnie sobie przeskakiwał z myśli na myśl, rezonans przestał trzaskać i powróciło zgrzytanie. Powoli wyłaniał się z krematorium do, tym razem, oślepiającego światła. Blask lampy, który jeszcze niedawno wydawał się być łagodny i przemiły, teraz nieomal nie wypalił mu spojówek z powodu przyzwyczajenia się oczu do półmroku.

– Po krzyku. Wyniki dostarczę twojemu panu doktorowi – elektroradiolog zwrócił się tonem jak do dzieciaka.

– Dziękuję. – Łukasz zatrząsł się z zimna.

– Nie myślałeś o niczym? – spojrzał przenikliwie z lekkim uśmiechem. Był bardzo młodym i szczupłym mężczyzną w modnych okularkach w grubej oprawie. Zadbane cera i schludnie ułożone włosy dodawały mu nieco pedałowatości.

– Staralem się. A coś źle wyszło?

– Nie, nie. Wszysciutko w porządeczku. – Teraz Łukasz był niemal pewien, że rozmawia z gejem. – Mogłeś myśleć o czym chcesz, to nic nie przeszkadza. Taki mały żarcik.

– Zabawne – westchnął i przewrócił oczami.

– Owszem. Szczególnie jak się to mówi paranoikom i innym urojeniowcom.

– O czymś podobnym pomyślałem w środku.

– Fajne jest być w środku, ciekawe wrażenia – elektroradiolog zachichotał. – Jesteś w porządku, chłopie! Możesz się ubrać.

Łukasz założył z powrotem szpitalne ciuchy i oddalił się po cichu, nieświadomie zaciskając zwieracze. Bał się pomyśleć, czy rozbieranie się do gaci było konieczne.

– Zaraz, zaraz, chwilunia. A elektroencefalografia? – zapiszczał tuż za jego plecami.

– Elfen-co?

– Hehe, dobry jesteś. – Klepnął Łukasza w ramię na znak, że ma zawrócić. – Taki dobry spręcik tutaj mamy, a ty już chcesz uciekać.

– A to będzie konieczne?

– No mam tu wyraźnie zapisane, że potrzeba ci także badania EEG. En... ce... fa... lo... gra... fem – elektropedałek przesyłabował wyraz jak do dziecka, któremu ciężko się nauczyć nowego słowa.

Łukasz westchnął w duchu i ucieszył się, że nie jest psychopata. Już miałby kolejne zwłoki do utylizacji. Nie chciał spuszczać wzroku ze swojego adoratora, jednakże uznał, że ciągle gapienie się może być niepotrzebną prowokacją. Wybrał rozwiązanie obserwacji kątem oka.

– Chodź za mną – rzucił do Łukasza i podreptali razem do pokoju obok.

Elektroradiolog podszedł do szafy, otworzył górną półkę i wyciągnął dziwną czapkę z elektrodami.

ROZDZIAŁ 31

Prywatne psychoterapie, z ponoć kompetentnym doktorem, sprowadzały się do ciągłego opowiadania o swoim dzieciństwie i dzielenia się swoimi przeżyciami. Szczególnie tymi podczas omamów. O ile Łukasz chętnie opowiadał o przeszłości, zwłaszcza przez to, że miał okazję na głos powspominać zmarłego ojca, to już przeżycia ze starszą kobietą i zapewne też niewidomą dziewczynką pozostawił dla siebie. Przekornie, jak gdyby wciąż wierząc, że było to wszystko częścią ogólnodostępnej rzeczywistości. Jedyne co zdradził, to te przedziwne wzory rysujące się przed oczami oraz zmiennokształtne pomieszczenia i czasem również ciche szepty. Zdawał sobie sprawę, że opowiadając o postaciach i rozmowach mógł tu zawitać na o wiele dłużej niż przypuszczał.

– Według ciebie, dlaczego tu jesteś?

– Ponieważ ktoś teoretycznie mądrzejszy ode mnie uznał, że może mi to pomóc.

– I pomaga?

– Tego się dowiem przy okazji zderzenia z codzienną rzeczywistością. Poza tymi murami.

– Tak bardzo chcesz wyjść?

– Nie to miałem na myśli – westchnął głęboko. – Po prostu nie jestem w stanie teraz stwierdzić czy pozbyłem się czegoś, co nie ode mnie zależy.

– Masz na myśli twoje zamroczenia? Okresowe halucynacje?

– Tak, jeżeli tak chce to pan nazywać.

– Myślisz, że są one spowodowane uszkodzeniem mózgu, czy raczej ich przyczyna siedzi w twojej świadomości?

– To raczej pan powinien mi to powiedzieć. Nie mam zdania na ten temat.

– Czy twój ojciec szanował twoje zainteresowania?

– Rzadko. Nie, chyba jednak nigdy. – Zatopiony wygodnie w kanapie podziwiał poźółkły sufit i opisywał swoje życie.

– W jaki sposób to okazywał?

– Kpił sobie. I zdrabniał. Te zdrobnienia były najgorsze, bo czułem, że nie traktuje poważnie tego, co ja uwielbiałem. Nigdy nie powiedział „kapsle”, gdy je kolekcjonowałem w podstawówce. Mówił „kapseleczki”. O komiksach, które potrafią być naprawdę głębokie, inteligentne i ciekawe, mówił „komiksiki”. Mimo, że kiedyś sam mi czasem je przynosił. Czułem w tych słowach wyszydzanie i brak szacunku.

– O co twoja matka miała do ciebie najczęściej pretensje?

– Praktycznie o wszystko. Nawet jak nie było o co, to potrafiła znaleźć dobry dla siebie powód. Myślę, że to jest jej sposób na rozładowanie emocjonalne. Próba zrzucenia odpowiedzialności za swoje niepowodzenia na kogoś innego. Zawsze padało na mnie, bo nie potrafiłem się twardo obronić. Ojciec potrafił, nawet pięściami.

– A próbowałaś spojrzeć na to w ten sposób, że faktycznie miała powody do narzekań?

– Tak, ale są ludzie, którzy mają gorzej niż ona i nie narzekają tyle. Wręcz przeciwnie. Potrafią ze swojego nędznego życia wyciągnąć i pozytywne aspekty. Matka nie pomyśli o głodujących dzieciach, o bezdomnych czy niepełnosprawnych. Powinna się cieszyć, że ma dom, jedzenie, obie ręce i nogi i wie co to telewizja. Należy do tych kilku procent całej szczęśliwej populacji. Może życie ją tak rozpieściło, że traktuje małe potknięcia jako wielki problem. Poza tym zawsze czułem, że szuka problemu na siłę. Rozlane mleko to nie jest powód, żeby o tym gderać przez następne kilka dni. Zwłaszcza, że jest sprzątnięte w minutę, a kolejne przyniesione ze sklepu. Ale ona woli roztrząsać, brnąć i się czepiać. I tak przez całe życie. Niedługo jak zapalę zapałkę to się będzie drzeć, że pożar.

– Nie przepadasz za swoją rodziną?

– Dla mnie to jest mizerna imitacja rodziny. W zasadzie już teraz nawet gorzej, bo zmarł ojciec, a zachowanie matki na pewno się nie poprawi. Jednak ich kocham, kochałem. I oni mnie zapewne też. Tylko to straszne gów... – powstrzymał się przed brzydkim wyrazem.

– Ten straszny chaos, który mają w głowie może sugerować inaczej. Chaos, plus oczywiście alkohol. Ja już wiedziałem, że jest kiepsko, gdy ojciec był na tym etapie, gdy już zwała się winę na wszystko, tylko nie na alkohol.

– Kiedy ostatni raz byłeś szczęśliwy?

– Nie pamiętam. Zawsze jak brałem to miałem tymczasową namiastkę szczęścia. Sztuczny przypływ dopaminy, czy czegoś w tym rodzaju. A tak naturalnie, sam z siebie... –

podrapał się po brodzie. – Pierwsze co mi przychodzi na myśl to ostatnia rozmowa z Martą. Ale to raczej chwila zapomnienia była, a nie prawdziwe szczęście. Ostatni raz szczęśliwy byłem zapewne w dzieciństwie.

– Ty i Marta... ciągnie was ku sobie? – świrolog zmrużył oczy, tak jakby mu to było nie na rękę.

– Ciężko stwierdzić jakie ona ma w stosunku do mnie odczucia, ale ja ją lubię.

– No dobrze, dobrze. Przejmujesz się przyszłością?

– Żeby przejmować się przyszłością trzeba mieć zadbane dzisiaj.

– A przeszłością?

– Tak, przejmuje się. Niepotrzebnie, wiem.

Doktor, pomimo długopisu w ręce i kartki przed sobą, nic nie notował. Patrzył jedynie znad okularów i starał się prześwidrować wzrokiem Łukasza na wylot. Choć spojrzenie wydawało się przyjacielskie i łagodne, Rejewicz wyczuwał w nim pewną naukową zaciętość i nieznaczące uprzedmiotowianie pacjenta.

– Wierzysz w boga? – brwi psychiatry się uniosły, zupełnie jakby pytanie miało być podchwytliwe.

– Gdyby bóg istniał to dawno spaliłby się ze wstydu.

– Co masz na myśli?

– Widząc swoje dzieło. Ludzie są kiepsko zaprojektowani.

– Wolałbym jednak mniej ironiczną odpowiedź.

– Nie wierzę. We wszechświecie są miliardy galaktyk, każda ma miliardy gwiazd, każda gwiazda ma potencjalnie miliardy planet, na których może istnieć życie. Dlaczego akurat tak ogromna siła miałaby się skupić na naszej planetce i bawić się w wysyłanie synów czy innych zbawicieli? To się nie trzyma kupy. A oprócz zeznań wątpliwej wiarygodności dwunastu apostołów, praktycznie nie ma innych dowodów.

– To może wierzysz w innego boga, niż chrześcijańskiego?

– Być może istnieje jakaś energia, byt lub absolut, który nadał wszechświatowi taki, a nie inny obraz. Ale z pewnością nie ma nic wspólnego z Ziemią. Nasze ludzkie pojmowanie jest zbyt małe, by w ogóle o tym dywagować.

– Gdybyś mógł jedną rzecz na świecie zmienić, co by to było?

– Jedynym problemem tego świata jest to, że ludzie nie płacą za swoją głupotę tyle, ile powinni.

– Wiele by to zmieniło?

– Wszystko. Pewnie pan myśli, że jestem strasznie rozbawiony ideologicznie.

– Niekoniecznie. Ostatnie pytanie. Czy uważasz, że twoje postrzeganie rzeczywistości jest tym prawdziwym? Czy satysfakcjonuje cię ta rzeczywistość?

– Nikt nie jest w stanie określić tej jedynej, obiektywnej rzeczywistości – zawahał się przez chwilę i próbował dobrać odpowiednie słowa. – Jestem w stanie rozporządzać jedynie spostrzeżeniami zmysłowymi, które wydają się rzeczywiste. I posiadam wiele myślowych dowodów, by przypuszczać, że to wszystko dookoła, pomimo że jest fizyczne, nie jest realne. Moja rzeczywistość nie jest filtrowana. – Ugryzł się w język. – Być może.

– Skąd to przypuszczenie? Rozwiń myśl.

– To co widzę, może być inną rzeczywistością niedostępną dla kogokolwiek innego. Mogłem w nią wpaść jakoś przypadkiem... – urwał. – Mówiąc takie rzeczy, pewnie się tylko jeszcze pograżam.

Świrolog zaczął bazgrać po swojej kartce przybierając przy tym minę rysującego dziecka, które bardzo stara się nie wyjechać za linie. Zgiął swój prywatny kawałek papieru na pół i położył koło siebie.

– Spójrzmy może teraz na wyniki twojego rezonansu magnetycznego i EEG, dobrze? – odparł sięgając po szarą kopertę. – Podejrzewaliśmy uszkodzenie lub guza mózgu ze względu na okresowe halucynacje. A ponieważ z twoją głową wszystko w porządku, nie wykryliśmy też żadnej anomalii wskazującej na ewentualną przyczynę choroby psychicznej, a w organizmie nie znaleźliśmy żadnych szkodliwych toksyn... to niestety tutaj kończą się możliwości naszego szpitala. Można jeszcze spróbować pozytronowej tomografii emisyjnej. Ale to drogie badania i nie widzę potrzeby gdziekolwiek cię wysłać.

– Czyli co teraz?

– Teraz pozostaje tylko czekać i obserwować. Powiedz mi, leki ci służą?

– Nie rozumiem?

– Pytałem, czy leki, które ci podajemy, nie sprawiają ci kłopotów. Nie masz problemów z koncentracją? Biegunki, nudności, wysypki?

– Jedyne czuję się otępiony. Jakbym ciągle chodził niewyspany, a wszystko dzieje się tak jakby obok mnie. Za szybko, bez mojego udziału.

– Z tym akurat nic nie da się zrobić. Powinieneś pozostać wyciszony. W takim razie nie zmieniamy leków. Lorafen, Solian i Lamotrix – powtarzając na głos naskrobał w karcie.

„Teraz chyba wszystko zaczynam rozumieć.”

Czaił się na dobry moment, nie wiedział jednak czy tylko się nie wygłupi. Myślotok w tej sprawie drażnił go od paru dni. W końcu jednak zebrał morale i podszedł do Wilnera tuż po obiedzie, gdy wszyscy zdychali od niestrawności i nikt nie mógł wejść im w drogę.

– Doktorze, musimy porozmawiać – powiedział stanowczo Łukasz, zaciskając z determinacją dłoń.

– Oczywiście, nie ma sprawy. Co ci chodzi po głowie? – Janusz Wilner otarł czoło jakby zmiatał dotychczasowe myśli, by móc skupić się na Łukaszu.

– Chodzi o to... – dobierał słowa, mimo że wszystko miał już wcześniej ułożone w głowie. – Czy jest pan doktorem chemii?

– Tak – Wilner zmarszczył czoło. – Czy coś się stało?

– Długo zwlekałem z tym pytaniem, chociaż podejrzenia miałem już wcześniej. Wie pan, taki dziwny traf nie zdarza się zbyt często...

– Jaki dziwny traf? – przerwał mu. Łukasz czuł wyężony wzrok Wilnera na sobie.

– Już, już mówię. Chwileczkę. Mówi coś panu nazwa Can-D? – dokładnie wyartykułował, by uniknąć jakichkolwiek pomyłek.

– Matko boska! – krzyknął Wilner i złapał się za głowę. – Brałeś? Trafiłeś tu przez to?

– Tak... chyba tak. Widzi pan, to jest ten dziwny traf. Dzwoniłem do znajomego, od którego miałem Can-D, by spróbować dociec co mi jest. Powiedział, że dostał ten towar od chemika zwanego Anonimem. To zapewne pan...

Janusz Wilner przetarł oczy z niedowierzenia. Na jego pomarszczonym czole wyskoczyły wszystkie możliwe żyły, a twarz przybrała groteskowy wyraz.

– I zapewne pan przez Can-D tu także trafił – kontynuował Łukasz. – To właśnie ten dziwny traf.

– Mówiłeś coś komuś o tym? To bardzo ważne, powiedz mi prawdę! – doktor chwycił go za ramiona i mocno ścisnął.

– Nie. Ale zacznijmy od nowa. Na spokojnie.

– To chodź.

Wilner rozejrzał się podejrzliwie czy nikt ich nie obserwuje, obrócił na pięcie i poszedł w sobie znanym kierunku. Łukasz podreptał tuż za nim i po chwili siedzieli już w kąciku książkowym, w którym poznał Martę. Było to jedyne miejsce, gdzie mogli być chwilę sami, tak by żaden świrus nie mógłby przypadkiem podsłuchać ich rozmowy. Janusz Wilner usiadł na krzeselku ustawionym przodem do wyjścia i bacznie obserwował, czy nikt nie wchodzi. Łukasz usadowił tyłek naprzeciwko i otarł o kolana spocone od stresu ręce.

Oboje przez chwilę zbierali myśli.

– Wybacz, nie wiedziałem, że do tego dojdzie. Can-D poszło w eter zanim zdążyłem je do końca przetestować – zaczął doktor i rozpostarł przepaszczając ręce. – Nie było możliwości, żeby je potem wycofać gdy trafiło na rynek.

– Czyli możemy się spodziewać, że więcej osób trafi tutaj z tego powodu?

– Mam nadzieję, że nie. Jedyne partie leciały tylko do twojego znajomego. Trzeba mu powiedzieć, żeby nikomu nie sprzedawał. Chciałem to zrobić. Naprawdę, próbowałem. Ale trafiłem tutaj, nie miałem żadnego telefonu, żadnego kontaktu. To on zawsze do mnie dzwonił po towar. Pamiętasz jego numer?

– Nie. Ale mogę go zdobyć. Nie powinno być z tym większego problemu.

– Dzięki bogu. – Janusz Wilner odetchnął z ulgą i uniósł wzrok w górę tak, jakby naprawdę w niego wierzył. Ale równie dobrze mógł to być przypadkowy odruch.

– Panie doktorze, co to jest? Czym to jest? Z czego? I co robi ludziom w głowach?

– To łagodny psychodelik na bazie dietyloamidu kwasu lizergowego. Bardzo niewielka dawka LSD, jednak wzmocniłem ją paroma dodatkami. – Doktor otarł czoło, próbując sobie przypomnieć nazwy. – Głównie dimetylotryptamina, w sensie DMT z Ayahuascy, troszeczkę atomoksetyny, kilka innych enteogenów, których składu nawet już nie pamiętam. Wywaliłem przepis w cholerę. Jakaś pochodna fenetylaminy też była.

– Brzmi jak zabójcza dawka – odpowiedział Łukasz z wytrzeszczonymi oczami. – A nie jak łagodny psychodelik.

– No, szyszynka ma kupę roboty – rzekł Wilner rozkładając ręce.

– No tak, szyszynka... – Łukasz pochwycił myśl o szyszynce i zapisał ją głęboko w pamięci, na późniejsze przemyślenie.

– Uwierz mi, tworzyłem gorsze. Eksperymentowałem, próbowałem, poszło z Can-D dobrze. Całkiem fajne tripy, odczucia. Gorzej potem... – Wilner zawiesił wzrok na blacie stołu. – Czy ja wspominałem, że w tym była także odrobina Jazgrza Williamsa?

– Pejotl?

– Tak, tak. Meskalina – jego wzrok robił się coraz bardziej rozbiegany. Łukasz poczuł, że napięta atmosfera i powracające wspomnienia o Can-D mogą obudzić u Wilnera coś, czego efektów wolał się nawet nie domyślać. Nadeszła pora, by rozluźnić rozmowę.

– To już wiem dlaczego to świństwo było takie drogie – zażartował.

– I tak leciałem po kosztach, mój drogi. Reklamacji bez paragonu nie uwzględnia się.

Spojrzenie Janusza Wilnera powróciło do normalnego stanu, a źrenice znów skupiły się na wejściu do kącika.

– Z taką cukierkową nazwą ciężko się było nie skusić. – Łukasz wymusił uśmiech. – Ale wracając...

– Ile tego wzięłeś?

Rozmowa zastygła. W wejściu pojawiła się rozczochna siwa kobieta. Zatrzymała się u progu i spojrzała w dwa przeciwległe rogi pomieszczenia, jakby czegoś szukając. Wymamrotała kilka niewyraźnych sylab, złożyła ręce jak do modlitwy i odeszła szurając kapciami, w zapewne nawet sobie niewiadomym kierunku. Łukasz spojrzał w oczy Wilnerowi, a ten kiwnął głową na znak kontynuowania rozmowy.

– Około czterech dawek. Wziąłem już ze dwie wcześniej, zanim mi diler powiedział, że to coś nowego.

– Cholera, teraz i ciebie mam na sumieniu – westchnął boleśnie. – Nawroty?

– Przez nie tu trafiłem. Jak to „i mnie na sumieniu”? To był ktoś jeszcze?

– Nie chce o tym rozmawiać.

– Mam chyba prawo wiedzieć! – wyrzeszczał szeptem Łukasz.

Janusz Wilner opuścił głowę i ścisnął dwoma palcami nasadę nosa.

– Nie pamiętam nawet jego nazwiska. Wziął za dużo za jednym zamachem. Skończył jako katatonik...

– Co się dokładnie z nim stało?

– Nie wrócił z podróży. Podobno zastygł w wykręconej pozie i stracił całkowicie kontakt ze światem. Leżał całymi tygodniami z otwartymi oczami, jak martwy. Karmili go przez kroplówkę i zakrapiali oczy, by nie dostał zwyrodnienia rogówki. Nie wydawał żadnych dźwięków, cały sztywny. Trup z zewnątrz. Kłoda. – Wilner zastygł, przytłoczony wspomnieniami. – Nie wiem co się później z nim stało.

Zamiast wściekłości i strachu Łukasz poczuł smutek i żal. W jego głowie krążyło tyle myśli, że nie był w stanie zinterpretować swoich emocji. Uznał, że teraz niech sobie będą, a później się nimi osobiście zajmie.

– Jak miał na imię? – Łukasz poczuł uczucie więzi. Wszak i jego taki los mógł spotkać.

– Chyba Łukasz, tak jak ty.

Rejewicz zacisnął mocno oczy, tak jakby zaboląła go jakaś myśl.

– Woląłem jednak nie wiedzieć – odparł ze zrezygnowaniem.

– Dlaczego? Nie sądzisz chyba, że--

– Po prostu nie chcę niepotrzebnie komplikować sobie myśli – przerwał mu.

– Wierzysz w boga? Reinkarnację? Alternatywne światy, czy coś w tym stylu? – zapytał doktor Wilner.

Rejewicz drgnął. Zastanawiał się co odpowiedzieć.

– Inaczej się zapytam. Czy przez Can-D zacząłeś podejrzewać, że obecna obserwowalna rzeczywistość to nie wszystko?

– Kurwa, ja pierdolę. Czy to nie były tylko zwykłe halucynacje? Ma pan na to jakieś naukowe dowody? Co to niby, jakiś portal, klucz do czegoś? Panie doktorze, bez przesady. Trzeba spojrzeć na to wszystko logicznie, racjonalnie. Nie dajmy się jeszcze bardziej zwariować.

Łukasz poczuł, że odniesienie się do zdrowego umysłu, i to na głos, jest jedynym ratunkiem przed pogrążeniem się w jeszcze większym chaosie. Bał się paranormalnego wytłumaczenia tak bardzo, że sam musiał je z siebie siłą wypierać. Mimo że umysł podrzucał mu taką możliwość, był w stanie zrobić i uwierzyć we wszystko pod warunkiem, że trzymało się aktualnej rzeczywistości, obecnego świata i nie wtrącało do tego wszystkiego koncepcji boga. To było zbyt wiele jak na jego wystraszoną świadomość. Jego mózg robiący mu na złość, poprzez podrzucanie takiej możliwości, był jeszcze do przyjęcia, jednakże fizyczna osoba z zewnątrz wychodząca z taką sugestią wywoływała panikę. Zwłaszcza, że doktor Janusz Wilner był pewnego rodzaju autorytetem.

– Słuchaj, Łukasz. Coś ci pokażę. – Zaczął gmerać w kieszeni. – Wiem, że zabrzmiało niedorzecznie, ale... – Położył na stole lekko przybrudzonego ziemią małego, zielonego żołnierzyka, chłopięcą zabawkę. Postać, zlaną z plastikową podstawką przedstawiała, wojaka z karabinem, który oparty na jednym kolanie przymierzał się do oddania strzału. Lufa broni była lekko wygięta od trzymania w kieszeni, jednakże Wilner zauważając defekt, szybko ją naprostował, by żołnierz prezentował się jak najlepiej. – To najprawdopodobniej pochodzi z innego miejsca.

– Jakiego innego miejsca? – Łukasz patrzył z niedowierzaniem i od razu przypomniał sobie swoją szklaną kulkę, którą również traktował jak amulet.

– Innej rzeczywistości może. Nie z tego świata. No nie wiem jak to nazwać. Po prostu dostałem to od chłopca, którego poznałem po Can-D. Był całkowicie fikcyjny, był halucynacją, jednak to... – postukał zielonym żołnierzykiem o blat. –...jednak to się zachowało.

– Skąd pan wie, że był fikcyjny? Przecież równie dobrze mógł pan uznać prawdziwego chłopaka za halucynację.

– Miał hełm żołnierza i nie miał połowy twarzy.

Nastąpiła krępująca cisza. Rejewicz nie miał żadnych wątpliwości, co oznaczała. Coś musiało być na rzeczy.

– I co o tym sądzisz? – wznowił rozmowę doktor Wilner.

Na stole zastukała szklana kulka i potoczyła się nieśmiało w zagłębienie na blacie.

– A ja takie coś mam.

– Szklane oko? – doktor chwycił kulkę między dwa palce i przybliżył do twarzy, by uważniej się przyjrzeć.

– Raczej szklana kuleczka do zabawy.

– Mnie to wygląda na szklane oko. Zobacz. – Przejechał palcem po czarno-zielonym fragmencie wtopionego szkła. – To chyba źrenica, a tu tęczówka. Od kogo dostałeś?

– To by sporo wyjaśniało. – Łukasz schował kulkę, a raczej szklane oko, z powrotem do kieszeni. Z nieukrywanym grymasem obrzydzenia. – Od małej niewidomej dziewczynki.

– Coś niesamowitego. Coś jeszcze masz? – powiedział Wilner z nadzieją.

– Nie.

Janusz Wilner pokazał dodatkowo przemycony kapsel, który dostał od kościstego menela zajeżdżającego trupem. Łukasz natomiast opowiedział całą swoją przygodę ze staruszką na przystanku, pobiciu, śmierci ojca i wszystkich innych przykrych wydarzeniach, jakie go spotkały w ostatnim czasie. Po wyrzuceniu z siebie wszystkiego wypełniła go błoga ulga.

– Mam jeszcze jedno pytanie.

– Wal śmiało, mój drogi – odparł pewnie doktor Wilner.

– To przez Can-D się pan ukrywa? – Łukasz mówił prawie szeptem.

– Tak.

ROZDZIAŁ 33

Dni mijały bez ostrzeżenia. Każdy był identyczny i każdy kończył się końską dawką otepiających tabletek na noc, by pacjenci w nocy nie rozrabiali. Czasem jednak, gdy nie mógł zasnąć, słyszał zduszone krzyki i pojękiwania, co przywodziło mu na myśl nawiedzony przez duchy dom. W takich przypadkach personel na nocnej zmianie szybko reagował i wyciszał upierdliwego świra w skuteczny sposób, którego Łukasz wolał nie znać. Zdarzało się bowiem,

że na chwilę przed ułagodzeniem następował donośny krzyk bólu i rozpaczy, który nie sugerował grzecznych próśb o zachowanie ciszy nocnej. Nieco grzeczniej kończyły się dudnienia w ścianę czy stłumione prośby o papierosa, bowiem po nich następowała najzwyczajniejsza cisza.

Łukasz zasypiał najczęściej bez problemu z powodu zmęczenia wymuszonego prochami. W pewnym sensie cieszyło go to, ponieważ jednym z powodów dla których sięgnął po narkotyki, były problemy ze snem. Po marihuanie czy psychotropach zasypiał jak dziecko. Jego problemy ze snem nie wynikały z dziedzicznej bezsenności, a raczej z poczucia beznadziejności, szarości i natłoku prawdziwych oraz wyimaginowanych problemów, które z łatwością spędzały mu sen z powiek. Niejednokrotnie przewracał się z boku na bok roztrzaskując w głowie bezcelowość swojego istnienia, poczucie osamotnienia i niedopasowanie społeczne. Wiedział jednak, że jest zaledwie jednym z wielu, którzy mają identyczne myśli w jednym tylko budynku. I wszyscy naraz, gapiąc się w sufit, dołowali się szarością bytu. Bytu, który przecież w dawnych marzeniach miał wyglądać zupełnie inaczej. Bytu, który jest obecnie tylko nędzną wegetacją.

Nowe twarze przewijały się przez psychiatryk, jednak przytępiony umysł Łukasza uznawał, że żadna nie jest warta zapamiętania ani poznania. Czuł się jak w więzieniu, mimo że nigdy w nim nie był. Im był bliżej końca dwutygodniowej obserwacji, tym bardziej starał się nie wychylać, wtapiać w tłum, szarzyć jeszcze bardziej. Bywały chwile, że potrafił dumać długo o tym jaki jest dziś dzień i ile zostało mu do odsiadki. Gdy to przerastało jego możliwości, po prostu pytał, przez co czuł się uznawany za wariata.

– Nie martw się – powiedziała któregoś razu Marta. Gdzieś w nieokreślonej przestrzeni w środku tygodnia. – Pacjenci dzielą się na tych, którzy nie mają pojęcia jak długo tu są... i na takich, którzy odliczają dni, godziny i minuty do wyjścia. Widocznie należysz do tych pierwszych.

– Wcale mnie to nie pociesza – odparł ponuro Łukasz. – Straciłem całkowicie poczucie czasu.

– Hej, jeszcze w depresję mi tu popadniesz. Jutro jest sobota i robimy wypad do parku. Zawsze to jakieś pocieszenie.

Łukasz wątpił czy chce łązić po parku z innymi wariatami. W rządku, jak mali harcerze.

„Jeszcze mnie ktoś zobaczy. W końcu nie mieszkam tak daleko...”

Przez moment wspomnienie domu wywołało u niego falę ciepła w okolicach serca. Szybko jednak wyparowało z powodu lawiny przykrych myśli i wspomnień. Piękno słowa „dom” zostało zniszczone dawno temu.

– Powiedz mi... – zaczęła Marta w swoim charakterystycznym stylu, gdy chciała zadać jakieś absolutnie abstrakcyjne pytanie. – Czy jakbyśmy byli ostatnimi ludźmi na Ziemi, to przedłużyłbyś ze mną gatunek? – Jej twarz była zupełnie nijaka, ale błyszczące oczy wyrażały intensywne zainteresowanie.

– Skąd to pytanie? – Zmarszczył czoło. Po chwili jednak zdał sobie sprawę, że Marta była ostatnią osobą, która mogła wyjaśnić co się dzieje w jej głowie.

– No, odpowiedz – ponagliła.

– No tak, pewnie tak. Przecież bylibyśmy ostatni. Może i w byciu ostatnim człowiekiem na Ziemi jest wiele romantyzmu, ale sądzę, że warto by było być proojcem wszystkich kolejnych pokoleń. Jak... jak Adam i Ewa. Poza tym... – urwał i opuścił wzrok. Mówienie komplementów zawsze było dla niego czymś trudnym i abstrakcyjnym. Lecz teraz sytuacja się aż o niego prosiła. – Nie jesteś brzydką dziewczyną, żebym miał nie chcieć.

– Lecisz na wygląd? – zapytała natychmiast.

– Nie, nie o to mi chodziło. – Zmieszał się całkowicie, nie spodziewając się takich pokrętnych wniosków. – Rozgarnięta też jesteś. No i w ogóle.

Łukasz Rejewicz zalał się rumieńcem. Marta w tym czasie zmrużyła oczy i świdrowała go wzrokiem.

– Wiedziałaś, że będziesz patrzył na to przez pryzmat seksu. – Wzruszyła ramionami.

– Ludzie dziwnie na to patrzą. Od razu myślą o samym fakcie odbycia stosunku, a nie o przedłużeniu gatunku. Po cholere przedłużać gatunek w takim wypadku, skoro nasze wnuki miałyby masę wad genetycznych? No wiesz, nasze dzieci musiałyby się rznąć razem, to chore.

Łukasz stał jak wryty i był absolutnie zgaszony. Czuł, że są jak dwa rozstrojone radia, które szukają utraconej wspólnej częstotliwości.

Spacer po parku nadszedł szybciej niż przypuszczał, jakby za pomocą kilku mrugnięć przeniósł się w miejsce pełne zieleni. Lekki dawały o sobie znać, wymazując z pamięci wszystkie nie warte uwagi wydarzenia. Próbował sobie przypomnieć co jadł wczoraj na kolację, jednak wspomnienie było tak niewyraźne, że widział w nim jedynie rozmazany talerz

i kubek z jakimś sokiem. Być może to wspomnienie nie było nawet z wczoraj, a z kilku dni wcześniej.

Szedł w kilkunastoosobowej grupie chorych psychicznie z wbitym w chodnik wzrokiem. Mijały go drzewa, ścieżki skręcały, rozmowy wybuchały intensywnością. A on parł przed siebie nie myśląc o niczym. Trzymał się z tyłu wraz z doktorem Wilnerem, który również spacerował w milczeniu z rękami założonymi do tyłu. Gdzieś z przodu rozpoznawał głos Marty plotkującej z pewną zaprzyjaźnioną anorektyczką. Imienia jej nawet nie pamiętał, podobnie jak większości osób, z którymi na co dzień przebywał. Jego krótkie, urywane myśli brnęły do próby wyjaśnienia swojej sytuacji, lecz otępienie powodowało, że próba rozwinięcia każdej refleksji przywodziła mu na myśl przebijanie się przez sięgający do pasa szlam. Przerywał je dyskretnie, nie szukając zakończenia i tępo rozglądał się dookoła siebie w poszukiwaniu niebezpieczeństwa. Po chwili dziwił się sam sobie, że jego pierwotny instynkt przetrwania działa nawet w takich okolicznościach, a on, jak słyszcząca szmer sarna, natęża zmysły i szuka.

Szukał. Sam nie wiedział czego.

Bał się. Sam nie wiedział czego.

– Co robisz? – zagadnęła zniecierpliwiona Marta. Nie zauważył jak zwolniła krok i zaczęła iść tuż koło niego.

– Idę przecież.

– Pytam się co robisz w swojej głowie. Znowu coś psujesz pewnie. – Uśmiechnęła się życzliwie i przelała na niego odrobinę swojej wesołości. Poczł się lepiej.

– Nic ciekawego. Zamulam. Jakiś taki gówniany ostatnio jestem.

– Musisz pogadać z psychiatrą w takim razie, żeby ci zmienił leki. Też tak kiedyś miałam, ale dzięki bogu zaczęli mnie szprycować czymś innym.

– Ciekaw jestem, w takim razie, jaka jesteś na trzeźwo – powiedział z nieco wymuszonym uśmiechem i skinął do niej porozumiewawczo.

– Na trzeźwo już pewnie dawno wydrapałabym ci oczy.

Miał nadzieję, że żartuje, jednak ciężko było odczytać to z jej twarzy. Jedyne jej śmiejące się oczy sprawiły, że zaraz po dziwnym niepokoju nadeszła ulga.

– Słuchaj no – kontynuowała. – Natalia mówi, że jesteś całkiem słodki. Chcesz ją poznać?

– Jaka Natalia? – zaskrzeczał absolutnie zbity z tropu.

– No tamta. – Wykonała komiczne skinienie skierowane na początek grupki wariatów.

– Ta, co nie jada za dużo.

– Anorektyczka?

– Gratulacje Szerloku. No a kto inny? – Chwyliła go za nadgarstek i zaczęła przeć do przodu. – Chodź, poznacie się.

– Czekał, to nie jest dobry pomysł. – Łukasz starał się przystopować, ale Marta okazała się wyjątkowo silna. – To nic nie da. Nic z tego nie będzie. Tak się nie robi – panikował.

Marta stanęła w miejscu i spojrzała na niego z wyrzutem.

– Dlaczego? – zapytała w swoim dziecięcym ciekawskim tonie.

– Podejrzewam, że ona by tego nie chciała. Na pewno jest bardzo wstydliva i to by był dla niej ogromny dyskomfort. Poza tym nie jest w moim typie.

– Buc z ciebie. Lecisz tylko na wygląd i nawet jej nie dałeś szansy. Faceci to dupki.

– To nie o to chodzi. Wiesz co to przecucie? Powinnaś wiedzieć. Wy, kobiety, lubicie się szczyścić swoją przysłowiową intuicją. Więc przeczuwam, że to tylko byłaby trauma dla nas oboje. – Chciał jej jak najlepiej wytłumaczyć sytuację, jednak stres przed tym, że Marta wybuchnie plątał mu język.

– Męskie przecucia są do dupy. Nie chcesz to nie. Twoja strata. – odfuknęła i zmierzyła go z ogromnym wyrzutem. Podręcznikowy kobiecy foch. Łukasz westchnął bezradnie. Miał wrażenie, że gdyby w pobliżu były jakieś drzwi, to by nimi trzasnęła.

– Możemy wrócić do naszej rozmowy o rzeczywistości? Mieliśmy ją dokończyć kiedyś.

– Obojętnie. Jak sobie chcesz.

Marta wyglądała na obrażoną, jednak nie przestała iść równo z nim. Nawet się też nie odsunęła. Zaśmiał się w duchu z teatralności jej focha.

– Widzę, że masz problem z wyborem do której rzeczywistości chcesz przynależeć – kontynuowała zmieniając ton na coraz bardziej przyjazny i ciekawski.

– Wydaje mi się, że ten narzucony nam świat jest tylko jednym z wielu – zaczął Łukasz, wyraźnie wyciszając głos. – Istnieje jakaś możliwość by łączyć się z innymi. Nie wiem tylko, czy polega to na odblokowywaniu jakiejś części swojego mózgu, który ma tam dostęp, czy przeskakiwaniu pomiędzy rzeczywistościami, porzucając poprzednią.

– Ja jebie, z tobą chyba faktycznie jest coś nie tak – powiedziała Marta z lekkim zniesmaczeniem.

– Ale przecież sama mówiłaś, że ta rzeczywistość to może być tylko dekoracja!

– No dobra, ale to było tylko takie filozoficzne gadanie. Pierdu-pierdu.

Łukasz na ułamek sekundy ją znienawidził.

– Ty wyglądasz, jakbyś naprawdę w to wierzył – kontynuowała. – Dobrze ci radzę, porozmawiaj o tym z psychiatrą i niech ci zmieni leki.

Nie spodziewał się aż takiego braku zrozumienia. Ze strony reszty świata owszem, ale nie od niej. Czy w takim razie to, co obmyślał i analizował przez cały czas było tylko zwykłą ideą dla Marty, która jedynie napomknęła o takiej możliwości, wcale w nią nie wierząc? Czy jego poszukiwanie wniosków było bezcelowe i powinien powrócić swój stan konfuzji? Doszukiwanie prawdy było teraz dla niego trudniejsze niż kiedykolwiek. Lekarz miał rację, to Wilner bredzi – podpowiadała racjonalność. Wilner mówi prawdę, Lekarz tylko wymyśla – podpowiadało coś. Coś, nie będące emocjami czy rozumem. Płynęło jakby skądś wyżej, niejako narzucone. Coś czego nie można ostudzić jakimikolwiek wyjaśnieniami. Przekonanie. I chociaż przekonania opierają się zwykle na emocjach lub faktach, tym razem pochodzenie tegoż przekonania miało inne źródła.

Starał się jeszcze trzymać rzeczywistości, choćby ostatkami sił. Podróże myślowe, które odbywał, dla jednej osoby będące tripem narkotykowym, dla innej – doznaniem mistycznym. Postronna osoba nie nazwałaby tego mistyką, a prędzej wariactwem, jednak dla przeżywającego to napływające uczucie, to przekonanie – jest czymś niepojętym. Dlatego brak jakiegoś mądrego wytłumaczenia, jakie chociażby stanowić mogły badania jego głowy, prowadzi do poszukiwania innej wersji, w którą całkowicie chciałoby się zacząć wierzyć.

Niekontrolowane przecieki z synaps wylewały wyrazy. Łukasz zaczął słabnąć i delikatnie zwolnił kroku. Obraz blaknął i rozmywał się jak widok za oknem podczas deszczu.

Nogi mu się ugięły, a stopy zapadły w popękany szary chodnik, tak jakby ten był betonową poduchą. Unosił kolana coraz wyżej by z wgłębienia nadepnąć, jak na stopień, kilkanaście centymetrów wyżej. A potem znów się zapadał. Brodził jak w bagnie.

Przez przypadek potknął się o mały kamyczek i instynkt utrzymania równowagi rozproszył jego intelektualną rozpustę.

Marta spojrzała na niego jak na bezradne, biedne zwierzątko.

– Już sam nie wiem... – ciągnął jak gdyby nigdy nic, przyzwyczajony do chwilowych zamroczeń.

– Mówiłeś, że wszystko jest wytworem umysłu, który niektóre losowe bodźce próbuje złożyć automatycznie w racjonalną całość.

– Tak, ale nie można wykluczać też tej drugiej opcji.

– Faktycznie istniejącej innej rzeczywistości, czy czegoś tam? Poza obecnym światem?

– Tak. – Kiwnął głową.

– Dlaczego w innej rzeczywistości mieliby być też ludzie, którzy niby ci się objawiają? Jeżeli miałyby być inna rzeczywistość, to na pewno absolutnie odmienna od tej naszej.

– Może tylko mój umysł interpretuje pewne sygnały jako ludzi, ponieważ to jest mu najbliższe i nie obce.

– Teraz to już przesadzasz. Nie komplikuj sobie widzenia świata niepotrzebnie. Zwariujesz jeszcze bardziej. – Marta poklepała go przyjacielsko po ramieniu. – Uwierz mi, wiem co mówię.

Przyśpieszyła i zniknęła z pola widzenia jego opuszczonego wzroku. Przez pewien czas podążał na ślepo, obserwując jedynie parę szurających butów z przodu. Nie wiedział nawet do kogo należą, jednakże ufał im na tyle, że obierał ten sam kierunek. Wierzył, że idą tam gdzie reszta grupy.

Niewiele później poczuł czyjąś obecność. Zgarbiony i wysoki chudzielec szturchnął go ramieniem porozumiewawczo. Podobny gest wykonywali dilerzy, którzy chcieli sprzedać obcemu trochę towaru. Gdy Łukasz podniósł wzrok ujrzał wysuszoną mumię, która mogła mieć zarówno 20 lat, jak i 2000. Chłopak miał podkrążone sine oczy, jakby w życiu nie zaznał snu, zapadnięte policzki i zniszczone zęby. Jego cera składała się z bruzd, zmarszczek i wyprysków. Ludzi w lepszym stanie spotykało się w egipskich grobowcach. Jednak jego oczy, nad wyraz żywe, biegały po otoczeniu, przez co chłopak wyglądał jakby każdy jego dzień był wielką przygodą. Charakterystyczne dla jego wzroku było to, że nie skupiał się na żadnym rzeczywistym obiekcie. Źrenice delikatnie wędrowały po niewidocznej przestrzeni tak, jakby śniącemu unieść nagle powieki.

„Czasem ta poszukiwana głębia w ludziach okazuje się być krainą popierdolenia.”

– Ej, ty – zaczepił Łukasza.

– No?

– Powinniśmy stąd uciekać, stary. – Jego gałki prawie wypadały z oczodołów.

– Jak to? Gdzie ty chcesz zwiewać? Dobrze się czujesz? To nie więzienie.

– Stary, mówię ci – zacisnął mocno zęby i wyglądał, jakby toczył wewnętrzną walkę by z powrotem rozewrzeć szczękę. – Ty też nie wiesz gdzie jesteś. Ale ja wiem. Nie chcę tam wracać.

– Gdzie niby jestem?

– Ten szpital. Wiesz co to za miejsce? Ja ci powiem. To nie prawdziwy szpital, tylko miejsce gdzie wojsko przeprowadza eksperymenty na ludziach. – Chłopak sam sobie pokiwał twierdząco głową. – Jeśli chcesz żyć, to trzeba stąd wiać. Jeśli nie chcesz, to chociaż mi pomóż i zagadaj tego pielęgniarza z tyłu. Odwróć jego uwagę.

– Zaraz, zaraz. Co ty mi tu za bajki wciskasz? Dobrze się czujesz? Jakie znowu eksperymenty na ludziach?

Rosły pielęgniarz przydreptał spokojnie do nich i złapał chłopaka pod ramię.

– Miałeś iść koło mnie – rzekł przyjacielsko, lecz jednocześnie rozkazująco. Było w tym coś z przesadniej sztuczności, byle tylko nie wzbudzić podejrzeń.

– Porozmawiać sobie tylko chciałem.

– To sobie porozmawiacie po powrocie. Wiem, że coś kombinujesz. Idziemy na tyły.

Pielęgniarz szarpnął go lekko, jak szarpie się psa na smyczy, na znak, że pora wracać do pana. Wymienili jeszcze kilka zdań, jednak Łukasz nie zdołał wyłapać treści żadnego z nich. Dziewczyny z przodu wybuchły gromkim, trejkoczącym śmiechem. Pech.

Ciekawiło go co siedziało w paranoicznej głowie chłopaka, lecz z drugiej strony poczuł ulgę, że tamten nie przeleje na niego swoich chorych konkluzji. Rejewicz będzie miał o jedno zmartwienie mniej. Zdawał sobie sprawę, że jego obecny stan przypomina nieco małe dziecko, które nie znając w ogóle otaczającego świata, łyknie każdy wciśnięty mu kit.

Ostatnie pół godziny spaceru Łukasz spędził na przemyśleniach, układaniu faktów, myśli, obrazów. Był pewien, że już nic nowego od nikogo się nie dowie. Wszystko musiało się skonkludować w jego czasce.

Jak tylko wszedł z powrotem do szpitala, na korytarzu zaczepił go Wilner. Wyglądał wyjątkowo blado i ponuro.

– Łukasz, niedługo mnie tu nie będzie. – Ścisnął go za ramię.

– Co się stało?

– Nic. Muszę wyjechać.

– Tak bez powodu? – Łukasz odparł jeszcze bardziej zdziwiony.

– Tak. Właśnie tak. Trzymaj się. Mówię teraz, jakbym cię później nie mógł złapać. – Poklepał go po ściśniętym ramieniu i wymienili uścisk dłoni. – Do zobaczenia.

Pewnego dnia, w pewne popołudnie, które było niemal takim samym popołudniem jak to dzień wcześniej, Łukasz Rejewicz wgramolił się na krzeselko i ściągnął z półki bibliotecznej encyklopedię medyczną, tom czwarty, zaburzenia psychiczne. Pożółkłe i wypadające stronicie wskazywały na podeszły wiek wielkiego tomiska, więc nie zdziwił się, gdy na pierwszej luźnej i zarazem tytułowej stronie zobaczył rocznik – 1983.

Otworzył na chybił trafił gdzieś pośrodku i delikatnie wertując wstecz poszukiwał hasła DMT. Zmrużył oczy, by dostrzec mały druczek.

„Dimetylotryptamina, bla bla, pochodna tryptaminy, bla. W ludzkim organizmie pojawia się w małych ilościach. Najprawdopodobniej produkowana jest w stanach głębokiej medytacji oraz w chwili śmierci. Towarzyszą wtedy człowiekowi wizje, które wydają się być objawieniami duchowymi lub kontaktem z innymi światami. W naturze występuje w wielu gatunkach roślin i ma właściwości psychoaktywne. Używana przez wiele plemion indiańskich w celach leczniczych i mistycznych”.

Zbyt wiele nie myśląc otworzył encyklopedię przy samym końcu. Przewertował parę stron i znalazł. Szyszynka.

„Gruczoł wydzielania wewnętrznego, bla bla, blaszki pokrywy, bla, długość, rozmiary. O jest. Produkuje melatoninę, czyli hormon snu. Podejrzewa się również, że w szyszynce powstaje dimetylotryptamina – organiczny związek chemiczny występujący także w wielu gatunkach roślin”.

Zamknął tom i oparł się na okładce. Starał się wychwytywać poszczególne fakty i łączyć je z wcześniej uknutymi wnioskami. Szukał potwierdzenia poczynając od możliwych scenariuszy. Fakty wysnuwał na podstawie wniosków, a nie odwrotnie. Ten pokrętny sposób zdobywania doświadczenia pozwolił spojrzeć z perspektywy czasu na niedaleką przeszłość i podsumować ją logicznie zdobytymi nieco później konkluzjami.

Podmuchał rozumienia. Wydawało mu się, że dopasował wszystkie elementy układanki poprzez przewrócenie ich na drugą stronę. Jeżeli w jeden sposób coś nie pasowało, oznaczało to, że musi być też drugi sposób. Alternatywa do wcześniejszego rozumowania.

Łukasz podpierał się tak zamyślony, w pozycji siedzącego filozofa, gdy czyjaś ręka musnęła jego ramię. Wzdrygnął się lekko wystraszony i obejrzał za siebie. Marta stała tuż za nim i wgapiła się w niego ze spojrzeniem ciekawskiego kota. Wydawało mu się, że

przeszywa go na wylot swoimi ślepiami, czytając po drodze wszystkie myśli i spijając jego uczucia. Chwilę później była już przygotowana, jak to zawsze bywało, do abstrakcyjnej konwersacji.

– Doksztalczasz się? – miauknęła.

– Tak... tylko – rzucił rozproszony.

Jego łokieć powędrował parę centymetrów w górę by zasłonić tytuł. Sam się sobie zdziwił, że ten dziwny odruch chciał, by się Marta nie dowiedziała co czyta. Tak, jakby jego podświadomość zadeklarowała niepodległość i rządziła się swoimi prawami, robiąc mu nieracjonalne wyrzuty i odruchy. Uznał mimo wszystko, że to tylko jednorazowy wybryk wywołany wytrąceniem go z zamyślenia.

– Właśnie kończyłem – wytłumaczył się, sam nie wiedział z czego. Dopiero teraz zaczynał powoli przedstawiać się na rzeczywistość.

– Znowu miałaś odpływ – stwierdziła. – Ciebie już chyba nie można zostawiać samego, bo możesz odlecieć na zawsze.

– Bardzo śmieszne – rzekł ponuro.

– Twoje wspomnienia są jasne, czy ciemne?

– Co? – Łukasz wykrzywił twarz w niedowierzeniu.

– No chodzi mi o to, czy twoje dalekie wspomnienia, na przykład z dzieciństwa, są przesycone jasnością czy raczej są ciemne i wygaszone.

– To zależy, ale raczej wygaszone.

– A pamiętasz zapach poszczególnych pomieszczeń? W domu? U babci, czy gdzieś tam.

– Pamiętam chociażby zapach mieszkania sąsiada, gdy chodziłem do niego piłkę pompować. Bo miał pompkę.

– Jaki to był zapach?

– Świeżej farby i panierki do kotleta. Przyjemny.

– To zajebicie.

Odwróciła się i poszła.

Poczuł jak w środku mózgu wytworzył mu się wielki krater.

– Aaa, psychiatrę masz za pięć minut. Ogarnij się – rzuciła, wystawiając jedynie głowę za futrynę.

Rejewicz zerwał się chaotycznie, odłożył encyklopedię na miejsce i ruszył na spotkanie. Usiadł na ławeczce przy gabinecie psychiatry i wbił wzrok w posadzkę. Miał jeszcze kilka minut, w najlepszym przypadku. W najgorszym, który jest zarazem

standardowym przypadkiem – miał kilkadziesiąt minut czekania, jako że świrolog spóźniał się notorycznie i bez żadnych oznak wyrzutów sumienia. Na przeciwległej ławce siedziała podstarzała pulchna baba, która sapała głośno z każdym oddechem. Podobne dźwięki wydają ludzie, którzy dopiero co wybiegli kilka pięter po schodach, ona jednak dyszała bez żadnych oznak zmęczenia. Ot, gruba kłoda, które nie rozumie, że już dawno nadeszła pora by przestać się obżerać.

Sięgnęła do kieszeni szpitalnych spodni i wyciągnęła zawiniętego w foliowy papierek cukierka. Długo oglądała ze wszystkich stron, jakby zastanawiając się do czego służy, a następnie ścisnęła odstające końcówki papierka i pociągnęła z obu stron. Cukierek wykonał obrót i był gotów do spożycia. Towarzyszył temu okropnie denerwujący szelest, mimo że dźwięk wydobył się wymiennie cicho. Babsko odwinęło cukierka do końca z miną jakby pogubiła się w całym procesie odpakowywania. Chwyliła lepką i błyszczącą zawartość i wrzuciła go z namaszczeniem do ust. Łukasz usłyszał obrzydliwe młaśnięcie i uderzenie cukierka o zęby.

A potem stało się najgorsze.

Baba ssła cukierka, wydając z siebie regularne cmoknięcia.

Jej obie ręce były skupione na starannym i bezmózgim miętoleniu pustego papierka. Szelest, jaki temu towarzyszył wypalał Łukaszowi uszy. Zanim zabrała się do bezmózgiej roboty, najpierw rozłożyła całkowicie papierek. Z szelestem. Tss, tss. Potem starannie, jakby to było świeżo wyprasowane prześcieradło, zaczęła składać go na równe części, przy każdym złożeniu starannie przejeżdżając po nim palcami z okropnym szelestem. Tss, tss.

Łukasz obserwował ten akt debilizmu z przerażeniem i miał wrażenie jakby znajdował się na zupełnie innej planecie. Gotowało się w nim od samego początku. Miał ochotę wstać, podejść bez słowa i wymierzyć solidnego liścia prosto w ten spasiony ryj. Zewnętrzną częścią dłoni.

Potem odejść bez słowa.

Tymczasem jednak słuchał szeleszczenia, które podkurwiało go z każdą kolejną falą dźwiękową.

Młaśnięcie.

Tss. Tss.

– Przystaniesz, kurwa, czy nie?! – wrzasnął na cały korytarz. Odniósł wrażenie, że mimo wszystko było to cichsze, niż dźwięki wydawane przez papierek.

Pulchna morda spojrzała na niego z przerażeniem i zastygła w bezruchu. Widział w kącikach jej ust błyszczącą ślinę. Wyglądała jak wystraszony hipopotam i była takiej samej urody.

Usłyszał zgrzyt klamki oraz kroki na drugim końcu korytarza. Psychiatra pojawił się w idealnym momencie i zapobiegł brutalnemu morderstwu. Łukasz odetchnął z ulgą.

ROZDZIAŁ 35

Łukasz Rejewicz w końcu opowiedział o wszystkim psychiatrze. Nie szczędził szczegółów, wyrzucał z siebie zdania jak z karabinu. Przez kilkanaście minut mówił o wszystkich swoich przeżyciach, powtarzając wszystko to, co wpadło również do uszu doktora Wilnera.

– Cieszę się, że w końcu się otworzyłeś. Czekaliśmy... czekałem na to – poprawił się lekarz psychiatra. – Jednak muszę ci powiedzieć, że Janusz jest osobą z bardzo... – urwał poszukując dobrego określenia. – Osobą z bardzo rozwiniętą, tudzież bujną, wyobraźnią. Powinieneś brać to co mówi z przymrużeniem oka. Nie jest niebezpieczny, ale ma swój świat.

– Jak większość osób tutaj – odparł gorzko Łukasz.

– A wracając do tematu. Kulka, którą posiadasz, czy jak to nazywacie, szklane oko. – Poprawił rękawy i wbił wzrok w swój psychiatryczny arkusz. Po chwili znów patrzył na Łukasza. – To tylko pewien rodzaj... Posłuchaj, powiem ci prościej. Zażyłeś psychodelik, poszedłeś na plac, znalazłeś „szklane oko” i twój umysł pod wpływem narkotyku wytworzył całą pokręconą historię tego „oka” podrzucając ci wizję dziewczynki. Rozumiesz? Tak jak czytając książkę widzisz oczami wyobraźni historię w niej zawartą, tak samo mając jakiś przedmiot, sam sobie nieświadomie opowiedziałeś jego historię. Poniekąd tak działał ten narkotyk. Pierwsze luźne skojarzenie z danym przedmiotem włączyło ci realistyczny film. Nie tłumacz sobie tego w jakiś paranormalny i pokrętny sposób. Wiem, że jesteś racjonalnie myślącym człowiekiem.

– Przecież nie powiedziałem w jaki sposób sobie to tłumaczę – odezwał się w końcu Łukasz.

– Wiem, mówię to tak tylko na wszelki wypadek. Na pewno masz mętlik w głowie i chcę cię nakierować na dobrą drogę.

Łukasz zacisnął wargi w skupieniu i rozważał logiczne wyjaśnienie, które w jego głowie kłębiło się już wcześniej. Teraz jednak ktoś je opisał i wypowiedział, niejako

zmaterializował. Dzięki temu przemyślał je drugi raz. Wnioski nie były łatwe do wyciągnięcia, ponieważ teoria psychiatry w żaden sposób nie tłumaczyła starej kobiety na przystanku. Nie tłumaczyła także zatrzymującego się zegarka na jednej godzinie, ani ogłoszenia, ani tego, że podczas wszystkich psychodelicznych przygód nie był pod wpływem żadnego narkotyku. Logika Rejewicza rozbiła się na dwoje, niczym jakiś schizofreniczny twór. Wierzył i nie wierzył jednocześnie.

– Czy uważasz się za wyjątkowego?

– Słucham? – odparł zagubiony. Pytanie wyrwało go z myślotoku.

– Czy myślisz, że jesteś wyjątkowy – powiedział psychiatra bez żadnej pytającej intonacji. Łukaszowi przywiodło to na myśl postawienie kropki na końcu zdania, które uleciało z ust.

– Pod jakim względem? Życiowym, czy może mojej przypadłości?

– Oprócz niej.

– Nie. Czuję się szary i najgorsze co mogę wyjątkowego posiadać to zdolność do zauważania swojej szarości.

– Rozumiem.

– Może porozmawiamy teraz o twojej...

Kropka, która wypadła z ust psychiatry razem ze zdaniem unosiła się niewiele nad jego jajowatą, ale sytą głową. Poczerniała i powiększyła się do rozmiarów piłki tenisowej. Łukasz nie potrafił określić, czy jest dwuwymiarowa czy trójwymiarowa. Widział jak kropka poruszając się w lewo zmiata wyplute zdanie, a to rozpada się na miliony drobnych cząstek i rozmywa się w powietrzu jak magiczny pył. Całe otoczenie wyciszyło się całkowicie i gadająca do niego głowa zeszła na całkowicie drugi plan. Kropka zmieniała swój rozmiar oraz czerniała i szarzała na zmianę. Gdy rosła miał wrażenie, że się po prostu przybliża, jednak nie potrafił ocenić odległości w jakiej się znajdowała. Nie istniała w rzeczywistości, więc Łukasz nie miał żadnego punktu odniesienia. Po chwili urosła do ogromnych rozmiarów tak, że zasłoniła mu całe pole widzenia. Odczuł to tak, jakby wleciała mu do oka.

Wzdrygnął się lekko i stopniowo odzyskiwał wzrok. Wydawało mu się, że trwa to wieki, chociaż rozum, znajdujący się w ogólnie przyjętej ludzkiej rzeczywistości, podpowiadał mu, że minęło tylko kilkanaście sekund. Czerń sprzed jego oczu rozplywała się jak w kalejdoskopie. Kształty czerni tworzyły piękne fraktale, które stopniowo bledły i

rozpływały się w innym świecie. Spojrzenie Łukasza, które było skupione na czerni w rzeczywistości patrzyło w nieokreśloną dal.

Siedział jak małe zagapione dziecko.

Psychiatra zatrzeszczał swoim fotelem, tak jakby chciał wstać, i Łukasz powrócił do świata, w którym żyło jego ciało.

– Już myślałem, że będę musiał ci pomóc? – uśmiechnął się półgębkiem świrolog.

– Aha – odpowiedział jeszcze mało rozumnie, ale zauważył zarazem, że jego procesy myślowe ruszyły z powrotem. Tak jakby jego własny głos przywołał go do porządku. – Przepraszam. Zamyśliłem się.

– Doprawdy?

Łukasz poczuł lekkie zdziwienie. Pierwszym powodem tego zdziwienia było słowo „doprawdy” będące dla niego jakimś dziwnym archaizmem, którego nikt nie używa. Nie zdawał sobie sprawy z tej własnej opinii, więc przywołana lekko go zaskoczyła. Drugim powodem zdziwienia był fakt, że zaczyna powoli wszystko rozumieć. A raczej odczuł, że wszystko zrozumie w swoim czasie. Gdy nadejdzie odpowiednia chwila, którą nie on wyznaczy. Istnienie podmiotu wyznaczającego ową chwilę zaskoczył go jeszcze bardziej, bowiem nie przypuszczał, że to będzie niezależne od niego. Ucieszył się jednak, ponieważ z barków spadła mu odpowiedzialność za staranie się, by zrozumieć to wszystko. Poczul się lżej i zaufał tej myśli, mimo że była wielce abstrakcyjna.

– Łukasz, jesteś, czy cię nie ma? – powiedział psychiatra.

Rejewicz kilka razy mocno zamrugał.

– Tak, jestem, jestem – powiedział szybko i poprawił się na krześle. Wyglądał jak tuż po wybudzeniu ze snu i pozorującego kontakt z rzeczywistością, mimo że całkowicie się nie obudził. Miał tak codziennie rano, więc poznał to uczucie.

– Chyba jednak się nie zamyśliłeś, tylko miałeś swoje zamroczenie. O czym myślałeś na chwilę przed nim?

– Nie pamiętam dokładnie, jakieś losowe myśli to były.

– Postaraj się skupić. Chciałbym, żebyś sobie przypomniał – zachęcił psychiatra. Nader przyjaźnie jak na człowieka, którego pewnie nie obchodził los pacjentów. Było w tym wiele aktorstwa, które miało pomóc w interakcji z Rejewiczem. I nakłonić go do wykonywania poleceń.

– Postaram się. – zacisnął wargi i pobłądził wzrokiem po pomieszczeniu. Głupio mu było powiedzieć o wyplutym zdaniu i kropce, lecz zaryzykował.

– Skojarzyłem sobie zadane przez pana pytanie ze zwykłym zdaniem. Tak jakby pan nie pytał, tylko postawił kropkę.

– Niech zgadnę. To zdanie się zmaterializowało w jakiejś postaci razem z kropką – powiedział psychiatra zadowolony ze swojej przenikliwości.

– Tak, dokładnie.

– Widzisz analogię?

Widział. Świrowlog jednak nie pozwolił mu na potwierdzenie i od razu rozpoczął wyjaśnienia:

– Kropka się zmaterializowała, bo o niej pomyślałeś. Skojarzenie, takie samo jak szklane oko, która stworzyła ci niewidomą dziewczynkę. Po prostu jakaś twoja myśl od czasu do czasu odplywa i szaleje po swojemu. Albo odczucie, z którego nie zdajesz sobie sprawy. Rozumiesz?

– Rozumiem – odpowiedział, mimo że wiele pytań wciąż kłębiło się w jego głowie. Do poprzednich pytań doszły te nowe, związane z wyjaśnieniem. Przyjął je jednak ze względu na logiczność. Wciąż jednak wierzył i nie wierzył jednocześnie. To było odczucie, na które nie mógł nic zaradzić. Ani stłumić, ani wzmocnić. Po prostu w nim siedziało, tak jakby było całkowicie pozbawione kontaktu z rzeczywistością i nie podlegało żadnym tutejszym prawom.

– Niestety tracisz też świadomość i twoje zamroczenia wydają się być całkowicie losowe. – przerwał i potarł filozoficznie brodę. – Nie mam pojęcia jak nazwać twoją chorobę, ani jak ją leczyć.

ROZDZIAŁ 36

Gdy postawił obie stopy za drzwiami szpitala, odetchnął z ulgą. Zaciągnął się wolnością i długo trzymał w płucach. Myślał o dobrych chwilach spędzonych ze swoją „paczką”, która w rzeczywistym świecie nie miałaby prawa istnieć.

Kiedy już dotoczył się autobusem na stare śmieci, słońce brnęło ku zachodowi rzucając purpurową poświatę na blokowiska, dając całkiem udane złudzenie barwności i pozytywności miejsca, które zazwyczaj jest ponure i przygnębiające. Drzwi zasunęły się za nim z zalotnym syknięciem i Łukasz spacerowym krokiem ruszył znajomą, lecz nieco odmienioną, trasą do miejsca, które mógł nazwać domem. Przez chwilę miał wrażenie, że wraz z wyleczeniem się z omamów, wyleczyła się również reszta świata ze zła i nienawiści. To uczucie było jednym z piękniejszych emocji jakie doznał w ostatnim czasie. Czuł się

cholernym optymistą. Słyszał zaszrane śpiewanie ptaków i mijał pierdolone uśmiechnięte mordy ludzi, które wywoływały u niego uśmiech zwrotny. W głowie krążył mu ogrom planów na przyszłość, pomysłów na siebie i na doczesne życie. Wszystko, co do tej pory było kulą u nogi, wydawało się być blahe i nieistotne. Każdy problem dało się obejść lub rozwiązać. Każda chwila jego jutrzejszego życia aż niecierpliwie czekała na przeżycie.

Przystanął i tkwił tak w miejscu, oraz napawał się tym mgnieniem, aż słońce całkowicie zaszło. Sztuczne światło lamp ulicznych dumnie zastąpiło wymęczone ciało niebieskie i wręcz pragnęło dumnie służyć przez resztę wieczoru. Granatowe niebo spowiła czerń, a siwe nieotynkowane bloki wtopiły się w czarnobiałość nocy, wydając się być jej integralną częścią. Zamysłem artystycznym siły wyższej, która teraz obserwowała go wszechwidzącym okiem ze szczerym uśmiechem podziwu i zrozumienia. Łukasz otoczony aurą radości chwycił torbę podróżną rzuconą na ziemię, włożył rękę do kieszeni, ścisnął szklaną kulkę, a następnie ruszył majestatycznie pewnym krokiem do nowiutkiego domu. Wybrał okrężną drogę, by móc nacieszyć się stanem szczęśliwości. Podświadomie przeczuwał, że powrót do mieszkania zaciągnie go z powrotem do szamba. Odrzucił jednak prędko tę myśl i udał się w miejsce, w którym dawny schorowany Łukasz widział przystanek. Mimo że czuł podniecenie i zżerała go ciekawość, to jednak nie przyśpieszał kroku. Napawał się otoczeniem i światem. Przypominając sobie swoje negatywne stany, parsknął z zażenowaniem i uśmiechnął się szeroko.

Jakaś jego część pragnęła ujrzeć pusty urywek rzeczywistości porośnięty nieśmiało trawą, lecz był gotowy ponownie zobaczyć przystanek.

Na miejscu westchnął. Wpół z przerażenia, w pół z zawiedzenia. W jednej chwili wszystkie płyny w jego ciele chciały się wydostać w postaci zimnego potu. Rejewicz bezwiednie opuścił torbę i przykucnął. To, co odbierał jego zmysł wzroku było jedynie potwierdzeniem. Potwierdzeniem tego, że od samego początku miał rację i wszystko, co widzi jest prawdą.

– A jednak – mruknął sam do siebie.

A przystanek stał sobie w najlepsze i zdawał sobie drwić z jego perypetii umysłowych. Zdawała się także tak robić stara kobiecina, która siedziała w nieziennej pozycji. Po prostu siedziała. Z cierpliwością i zaangażowaniem godnym najznakomitszej rzeźby. I chociaż jej twarz skrywał cień, to Łukasz czuł na własnej skórze jej wzrok oraz to jak go nim przywołuje do siebie. Bez żadnych gestów i słów wiedział, że kobieta chce by tam usiadł. Nawet nie musiał sprawdzać, która jest godzina, bo wiedział, że ujrzałby 22.22.

Starając się nie wyzbywać dobrego samopoczucia usiadł, jak najpewniej mógł, na swoim miejscu. Podświadomie wiedział, że jest przeznaczone specjalnie dla niego. Przez chwilę siedzieli w milczeniu i bezruchu. Łukasz chłonał wszystkimi zmysłami obecność przystanku i starej kobiety w nadziei, że któryś z pięciu nakryje urojenie i wszystko legnie w gruzach. Przystanek jednak wydawał się być jedynym materialnie istniejącym w tej chwili elementem rzeczywistości. Cała reszta była odległym wspomnieniem, które nie różni się od wczorajszego snu. Tak jak przypuszczał.

– Nie rozumiem – odezwał się pierwszy.

– Jesteś negatywnie nastawiony – pouczający ton głosu był nieprzyjemnie kojący. – Ale nie martw się, wszystko jest w większym porządku niż sobie jesteś w stanie wyobrazić. – Nastąpiła u ciebie chwila zwątpienia. A było już lepiej.

– Czy to tak zawsze już będzie trwać?

– Pięknie. Inteligencję człowieka można poznać po zadawanych przez niego pytaniach. Tak. Zawsze. Zawsze trwało i zawsze będzie trwać.

– Czy to tak zawsze się kończy?

– U każdego inaczej, mój drogi.

– Nie możesz mi wytłumaczyć tego tak, bym rozumiał?

– Ale przecież rozumiesz, Łukaszu. Odblokuj podświadomość. Pierwsza myśl, pierwsza sugestia, którą ci ona podrzuca jest trafna. To centrum sterowania twojego umysłu, nie możesz jej mocy lekceważyć. Jest czymś oddzielnym, niezależnym. Stworzonym byś mógł funkcjonować jako byt. Tam jest wszystko, tylko że każdy człowiek wyciąga z tego inną część.

– Podświadomość kreuje rzeczywistość?

– Oczywiście, że tak.

– Możesz mi powiedzieć, gdzie my jesteśmy?

– Na przystanku, tak jak widzisz. Czytaj między wierszami. To nie jest zwykły przystanek.

– Czyli to tylko symbolika?

– Tak. Dobrze o tym wiesz. Ale najwidoczniej chcesz dodatkowo sam siebie upewnić.

– W którym momencie się to wszystko zaczęło? – Łukasz westchnął z zakłopotania i wbił wzrok w chodnik aby zebrać myśli. – Kiedy zatarła się rzeczywistość, a zaczęło pojawiać się to... – wykonał nieokreślony ruch rękami.

– Co rozumiesz poprzez rzeczywistość? Wszystko, co do tej pory przeżyłeś było rzeczywistością. Każdy ma swoją, rzadko kiedy rzeczywistości dwóch osób się nakładają.

Mogą spotkać się ciała, interesy, pragnienia... ale nie rzeczywistości. To coś odrębnego dla każdego człowieka.

– Ciężko to wszystko zrozumieć.

Łukasz Rejewicz spojrział w lewo na mieniące się ogłoszenie, które poprzednim razem miało wszystkie numery oderwane. Jednak tym razem pozostał jeden skrawek papieru, trzymający się na resztkach celulozy, i powiewał delikatnie niemal prosząc o zerwanie. Na karteczce było napisane:

„MIEJSCE W SNACH DO WYNAJĘCIA. Łukasz Rejewicz. Ulica Senna 4/16. Nr telefonu: 555163106.”

– Co to ma znaczyć? Ja tego nie napisałem, ani nie przyklejałem – powiedział lekko oburzony.

– Przed chwilą ci tłumaczyłam. A raczej sam sobie tłumaczyłeś z moją pomocą – wydawało mu się, że lekko westchnęła.

– Ale to nie ma żadnego sensu.

– A czy każdy sen ma sens? Czy sny kiedykolwiek mają jakiś sens?

– Podobno czasami mają...

– Snom nadaje się sens dopiero po przebudzeniu.

– W takim razie chcesz mi zasugerować, że to wszystko jest snem? O to chodzi? – uniósł głos. Miał dość enigmatyczności i zagadek.

– Nic takiego nie powiedziałam. O wszystkim przekonasz się sam. Żadne tłumaczenie tu nie pomoże.

Łukasz przez chwilę układał swoje myśli.

„Jeżeli to nie ty rozdajesz karty, upewnij się chociaż, że przeciwnik nie oszukuje.”

Wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy. Przetarł drżącą dłonią pęknięty wyświetlacz i powoli wpisał wybrany numer, kilkakrotnie sprawdzając przy każdej cyferce, czy aby na pewno się nie pomylił. Praktycznie nigdy nikt do niego nie dzwonił, on do nikogo także. Wydawało mu się, że jego komórka została wyprodukowana tylko i wyłącznie na potrzeby tej chwili. Zupełnie jak gaśnica, która stoi niezauważana przez lata, aby ostatecznie mogła spełnić swoje przeznaczenie w trakcie pożaru.

Usłyszał sygnał połączenia w słuchawce. Był pewien, że cokolwiek się stanie, ktokolwiek odbierze, to i tak się wystraszy. Panicznie. Sam strach przed strachem podrzucił mu serce pod gardło.

Buuuut... buuuuut...

Sygnał zanikł. Połączenie zostało odebrane.

– Halo? Halo! – Łukasz krzyknął nie słysząc, by ktokolwiek po drugiej stronie się odzywał.

– Wstawaj. Pora jechać – usłyszał, nie w słuchawce, lecz we własnej głowie.

Telefon wypadł mu z drżącej ręki. Wytrzeszczył oczy ze strachu i zdezorientowany spojrzał na nieruchomą kobietę.

– Czyli jednak jesteś bogiem.

Odniosł wrażenie, że stara kobieta się uśmiecha.

ROZDZIAŁ 37

Zapyziała salka na której leżał na chwilę rozjaśniała, gdy księżyc wychylił się zza chmury. Łukasz leniwie i z trudem otworzył oczy. Domyślał się, że najprawdopodobniej robi to po raz ostatni. Pożegnalne łypnięcie wzrokiem skierował na brudne okno przez które prześwitywało gwieździste niebo, nie zwracając uwagi na mdłe postacie kręcące się po sali. Rodzina, przyjaciele, znajomi, ktokolwiek. Wszyscy oni już nie mieli całkowicie żadnego znaczenia. Żadnego z nich nie mógł zabrać ze sobą, gdziekolwiek zmierzał. Starał się więc docenić oraz pokochać stałą i cudowną rzeczywistość za oknem, z którą stopniowo stawał się jednością. Nie miał do nikogo żadnych pytań, nie chciał nic wiedzieć. Jeżeli byłby w stanie mówić, nie odezwałby się ani słowem. Czuł się spełniony w stu procentach. A może to raczej jego umysł w powolnym procesie umierania włączył mu program przyjemnej i spokojnej śmierci. Zapewne ten najgenialniejszy twór matki natury robił to samo z tysiącami istnień ludzkich, które konają spokojnie w tej właśnie chwili. Wszystkie niedokończone sprawy stały się błahostką, wszystkie problemy egzystencjalne i wszystkie zespolenia ze światem żywych zanikały, niczym podczas zapadania w sen. Jedyną różnicą było delikatne poczucie, że być może już zaraz nastanie wieczna ciemność. Nie bał się, nie wyczekiwał. Nie był nawet zaskoczony, że jego spokój jest całkowity i nienaruszony. Domyślał się, że ewolucja wyposażała ludzkość w przyjemne odczuwanie śmierci, a wszystko następowało po sobie naturalnie, tak jak zwykło robić od setek milionów lat. Z każdym kolejnym ulatującym

neuronem, nadchodził delikatny stan euforii przechodzący płynnie do nirwany. Bez żadnych światełek w tunelu, żadnych aniołów, żadnych problemów. Mimo, że cały proces trwa zaledwie kilka sekund, miał wrażenie, że przebiega powoli i bez pośpiechu. Stopniowo, i według zapewne jakichś określonych reguł, gasły kolejne światła w pokojach marzeń i wspomnień. Wszystkie możliwe myśli i procesy życiowe przykrywała chmurka śmierci, która zdaje się pozytywnie uwalniać od nędzy życia.

Powoli umierał myśląc o dalekiej przyszłości. Ze spokojem fantazjował co mogłoby być, gdyby niektóre sprawy potoczyły się zupełnie inaczej. Jednakże nie czuł już żadnej jedności ze swoim ego. Łukasz Rejewicz był tylko kolejnym mężczyzną, którego można spotkać na ulicy. Całe jego życie zdawało się być odległym wspomnieniem. Odległym wspomnieniem nie różniącym się od wczorajszego snu.

Ścienny zegar wskazał godzinę 22.22.

Trzy cyfry naklejone do drzwi sali oznajmiały numer 112.

Na ostatnią chwilę dostrzegł, że może ocenić cywilizację oczami osoby nieskończenie mądrej. Że spaja się z wyższą siłą, która delikatnie odbiera go ze świata doczesnego. Kawalek po kawalku przechodził na drugą niewiadomą stronę, niczym dziecko, które wychodzi z łona matki do nowego świata. Tak jak noworodek bez bólu bierze pierwszy łapczywy oddech i wpada w całkowitą jasność, tak i on wydał z siebie ostatnie tchnienie i zapadł w ciemność.

Nagle poczuł jakby się nigdy nie urodził.

ROZDZIAŁ 38

Kątem oka dostrzegł autobus jadący w kierunku przystanku. Wyglądał jak dwukolorowy kloc z kołami, który wyróżniał się z okolicznej szarzyzny z powodu swojej wyrazistości i barwności. Przypominał fatamorganę. Bezszelestnie, tak jakby nie miał żadnego silnika, zajechał pod przystanek i bez żadnego sapnięcia otworzył drzwi. Z bliska wyglądał jak całkowicie nieznanym nikomu model nieistniejącej marki. Stanowił projekcję standardowego, domyślnego autobusu, który przychodzi na myśl każdemu wyobrażającemu sobie ten pojazd.

– Już wiesz? – zapytała stara kobieta nie ruszając się z miejsca.

– Wiem.

Łukasz z pewną dozą nieśmiałości wstał i poczuł, że jego nogi uginają się w kolanach ze strachu, mimo że mózg był opanowany i spokojny. Nie tak to wszystko sobie wyobrażał,

nie tak pisali o tym wielcy poeci i nie tak dywagowali na ten temat filozofowie. Przez chwilę pragnął by móc się cofnąć i powiedzieć im wszystkim jak bardzo się mylili. Włożył rękę do kieszeni i mocno ścisnął szklaną kulkę w nadziei, że poczuje się tak samo jak niemowlę zaciskające rączkę na palcu matki.

Kto będzie w autobusie, zależało jedynie od jego własnego umysłu. Oprócz kierowcy był tam także oczywiście jego ojciec. A raczej to, co stanowiło wyobrażenie ojca – nierealny twór, który został całkowicie subiektywnie i nieuczciwie stworzony przez kilkudziesięcioletnie wyobrażenie, wykreowane na przestrzeni życia Łukasza Rejewicza. Poza nim była jeszcze niewidoma dziewczynka, którą spotkał na placu zabaw. Siedziała grzecznie z rączkami założonymi na kolana. Jej drobne nogi huśtały się bezwładnie w powietrzu.

Niemal przymusowo wszedł do środka i usiadł tuż koło kierowcy, tak by mógł go dokładnie widzieć. Intrygowała go bardziej ta postać, niż siedzący kilka miejsc dalej ojciec, Arkadiusz Rejewicz, który był oczywiście wizją, przewidzianą jeszcze przed wejściem. Autobus ruszył z delikatnym bezszelestnym szarpnięciem i z każdym przebytym metrem pogłębiał ogromną ciszę.

Ciszę, która sygnalizowała nadchodzące zło.

– Jesteś gotowy? – odezwał się kierowca nie spuszczając oczu z drogi. Był to starszy siwy mężczyzna o spokojnym i wyrozumiałym głosie. Jego pełne młodego wigoru spojrzenie odbijało się w przedniej szybie.

– Muszę – odparł krótko.

– Wiem, że musisz. Ale przymus nie potrafi tak przygotować jak własna wolna wola.

– Jestem gotowy.

– To dobrze. Ten przystanek, na którym byłeś, był ostatni.

– Pan jest zwykłym kierowcą?

– Zależy co rozumiesz przez pojęcie „zwykły” – odezwał się charakterystycznym tonem, który Łukasz bardzo dobrze pamiętał. Gdy kierowca wziął ostatni zakręt, odwrócił się i uśmiechnął. Kąciki ust uniosły się do góry, a zasygnalizowała to siwa broda odkształcająca się w miejscu warg. Doktor Janusz Wilner i Łukasz Rejewicz spojrzeli sobie w oczy.

– Będzie bolało?

– Nie, już jest po wszystkim.

Coraz mniej myśli przelatywało przez jego głowę, i czuł się coraz bardziej otępiały. Podświadomie spodziewał się tego, jednak nie zdawał sobie sprawy, że nie zdąży z próbą zrozumienia otaczającej go pseudorzeczywistości. Wiedział jedynie, że przebrnął przez strach, rozpacz, zaprzeczenie i akceptację – zupełnie nieświadomie. Wszystko w tej chwili wydawało się być doskonale ułożonym planem, który został zrealizowany bez jego wiedzy i zgody, jednak bez najmniejszego oporu. Zupełnie tak, jak gdyby on i cała ludzkość byli nie znaczącym pyłkiem, którzy mimo pozornej dobrowolności są zamknięci w ramach i schematach, o których nigdy nie będą mieć pojęcia. Aż do momentu, w którym znajdą się w tym samym punkcie metafizycznym, co Łukasz. Przez chwilę żałował, że spostrzegł się za późno, lecz niestety świadom był tego, iż nawet to stanowiło część odgórnie zaprogramowanego planu.

Ni wcześniej, ni później. Dokładnie w tym momencie.

Ciemność.

ROZDZIAŁ 39

– Wstawaj!

Od wewnątrz jego ciało przeszło mocne uderzenie, które doprowadziło do natychmiastowego skurczu niemal wszystkich mięśni w ciele. Łukasz zamiotał się jak umierająca ryba.

– Jeszcze raz 360. Prawie go mamy.

Zapiszczało mu w uszach. Przeszywający ból był zaskakująco kojący. Jego ciało ponownie podskoczyło na skutek wstrząsu elektrycznego. Do jego uszu dobiegł zgiełk, hałas niewiadomego pochodzenia. Jego świadomość starała się wyodrębnić poszczególne dźwięki, by móc zinterpretować to zupełnie nowe doznanie. Zupełnie jak gdyby dostał jeden zmysł więcej, a mózg nie miałby pojęcia co z tym fantem zrobić i gdzie go upchać. Ułamek sekundy później jego płuca mimowolnie wypełniło przeraźliwie czyste powietrze, a źrenice świadomie wyłapały pierwsze rozmazane kształty i wyblakłe barwy. Zadrzał od natłoku doznań. Wszystko wydawało się nowe.

Pik... pik... pik...

– Brak migotania. Rytm w normie.

– Adrenalina?

– Nie. Ale dajcie matce coś na uspokojenie, bo nie mam zamiaru i jej reanimować – powiedział człowiek ze stetoskopem na szyi i machnął paluchem w kierunku białych drzwi. – Ucieczki od świata ci się zachciało, co kolego? Ciesz się, że nie zwiąłeś na dobre, bo bym miał gnój na dyżurze. – Grube okulary w cieniotkich bladozłotych oprawkach lustrowały twarz Rejewicza. Lekarz ściągnął gumowe rękawiczki i rzucił je niedbale na defibrylator. – Spodziewałem się, że sobie coś dzisiaj pokroję, ale chyba nie tym razem... Cholera jasna, kawa mi przez ciebie wystygła.

Paraliż ze strachu powoli ustępował, a zmysły wróciły z powrotem na ziemię. Łukasz spróbował się podnieść.

– Leż. Cholera, kolego. – Spocona ręka przycisnęła go do łóżka, aż zaskrzypiało. – Tak ci się do domu śpieszy?

Wszystko go powoli zaczynało boleć. Czuł jak krew pulsuje do każdego najmniejszego mięśnia, jakby przy okazji dostarczając cierpienie w każdy zakamarek tego kotleta z białka, jakim się czuł. Chciało mu się jeść, pić, szczać, srać, płakać, krzyczeć, śpiewać, śmiać się i przede wszystkim – żyć.

– Gdzie... co się stało? – chciał zadać milion pytań na raz i próbował znaleźć to najważniejsze, warte jego pierwszych słów.

– No, kolego. Łukasz, zgadza się? Po twojej minie widzę, że nie masz pojęcia co jest grane – mówił lekarz krzątając się w tę i z powrotem.

– Nie wiem, czy mam.

– Przedobrzyłeś z narkotykami. Przedawkowałeś. Chciałeś mieć kosmiczny odlot, czy raczej to było seppuku? Co?

– To szpital? – Rozejrzał się wzrokiem po suficie, bo tylko tyle był w stanie zobaczyć.

– No a co? Przecież nie wesołe miasteczko. Co ostatnie pamiętasz?

– Przystanek autobusowy...

– To ciekawe, bo karetka zgarnęła cię prosto z pokoju. Masz szczęście, że żyjesz. Masz szczęście, że taki fajny lekarz, jak ja, ma dzisiaj nockę. Już byłeś w połowie drogi do światełka w tunelu, ale cię bezczelnie zawróciłem. Będziesz mógł kumplom opowiadać jak to jest w stanie śmierci klinicznej.

– W sensie, że umarłem?

– Trzy razy. Rwałeś się na tamten świat jak głupi. Zabrali cię z domu i przywieźli tutaj, byłeś w śpiączce. Zacząłeś kitować za każdym razem o tej samej godzinie. – Wskazał zegar ścienny. – Za osiem wpół do jedenastej. Różne jaja już widziałem, ale ciebie na pewno

zapamiętam. Po trzecim razie się łaskawie obudziłeś, no i jesteś. Fajnie tu mamy na świecie, co nie, kolego?

– Proszę mi powiedzieć... czy zna pan może, kojarzy pan małą niewidomą dziewczynkę o imieniu Natalia?

– Tak, wypisywałem chyba jej kartę zgonu. Biedna mała, miała raka mózgu.

– Niewidoma?

– Tak, oślepała w czasie rozwoju nowotworu. Byliście spokrewnieni?

Serce, wraz z wszystkimi wnętrznościami, stanęło Łukaszowi w gardle. Bał się pytać dalej. Z powodu przerażenia, że dowie się tego, czego się spodziewał, oraz z powodu przerażenia, że uznają go za wariata. Po raz kolejny. A może po raz pierwszy?

– A Wilner? Janusz Wilner? – Ledwo mógł uleżeć w miejscu. Zimny pot zalał mu skronie.

– Także zmarł niedawno. Chyba nawet dziś w nocy – doktor silił się na uśmiech, jednak w kąciку jego ust namalowało się również lekkie przerażenie. – Posłuchaj... – podniósł okulary i przetaił oczy. – Czasami tak jest, że umysł w śpiączce wychwytyuje różne losowe fakty z rozmów, które słyszy i wpycha je w swój świat snu. Być może usłyszałeś te imiona, a następnie nieświadomie użyłeś ich w tym przedstawieniu, które przez ten czas odgrywało się w twojej głowie. Zdarza się to, nie zawsze, ale czasem. Mówię ci to, byś mógł to na spokojnie przemyśleć, zanim zaczniesz nadmiernie filozofować.

– A co? Psychiatra nie ma nocnego dyżuru?

– No, kolego, humor się ciebie trzyma.

Łukasz uznał za zbędne opowiadanie szczegółów tego, czego doświadczył. Wcale nie czuł się bardziej żywy niż na przystanku. Wcale nie widział inaczej i nie postrzegał otoczenia w innych kategoriach jak to jest w przypadku snu, halucynacji czy innych omamów. Być może był to wynik niedawnej traumy i szprycy związanej z przywracaniem go do tej rzeczywistości – równie namacalnej jak ta poprzednia, o ile w ogóle mógł rozmyślać o różnych rzeczywistościach, co samo w sobie wydawało mu się śmieszną abstrakcją.

Zamknął oczy i po chwili poczuł zimno stetoskopu dotykającego jego klatkę piersiową. Chłodne pacnięcia zostawiały po sobie niemiłe uczucie, tak jakby dotknięte miejsce miało się już nigdy nie ogrzać. Ostatnie co tej nocy wpłynęło do jego zmysłów to ciche szuranie dodatkowej pary butów i niemiłe mrowienie w zyle na ręce, jakie towarzyszy zastrzykowi. Zasnął zaledwie rzut zegarkiem później.

Przetrząsanie jawy w poszukiwaniu prawdy było z góry skazane na porażkę. Brakowało mu narratora, który jako bezstronny obserwator byłby w stanie służyć

bezwzględnymi faktami, które doprowadzą Rejewiczową duszę na skraj spokoju, bez względu na to, jaka zarysowałaby się odpowiedź. Każde możliwe rozwiązanie było go w stanie zadowolić, byleby tylko okazało się tym jedynym prawdziwym. Najczarniejsze scenariusze mogłyby się w oka mgnieniu ziścić, które przyjąłby bez pretensji, ponieważ konsternacja jaka towarzyszyła mu nieprzerwalnie zaczynała pęcznieć i boleć. Jakakolwiek odpowiedź byłaby lepsza, niż jej brak. Życzył sobie, by cokolwiek się działo, byle było prawdziwe. Godził się na wszystko. Pod warunkiem realności, którą odczuwał nie tylko on jeden, ale wszyscy dookoła.

To odosobnienie, to odseparowanie od rzeczywistości było jeszcze gorszym uczuciem niż samotność. Samotność to przykry stan umysłu, jednakże na tyle pocieszający, że doświadcza się go przebywając w tym samym wymiarze, co pozostali ludzie. Uczucie, które perforowało jego psychikę było po stokroć gorsze, ponieważ potęgowało poczucie zagubienia i dawało nieznośną pewność, że wszystkie jego przeżycia są bezwartościowe, jako osadzone w zupełnie innej rzeczywistości.

– Łukaszku? – Sen rozproszył mu ciepły uścisk ręki.

Matka stała nad jego łóżkiem i garbiła się nienaturalnie, by jak najszybciej złapać pierwsze spojrzenie syna. Tak jakby kilkanaście centymetrów stanowiło ogromną różnicę.

Łukasz Rejewicz spoglądał na rodzicielkę, która wydawała się jeszcze mniejsza niż zwykle, pomimo tego, że jej głowa znajdowała się wyżej od jego. Na wszelki wypadek ocenił na oko jej wiek, by przypadkiem nie okazało się, że spędził w śpiączce kilka lub kilkanaście lat. W końcu lekarz mógł go okłamać dla jego własnego dobra psychicznego, które już i tak było na skraju całkowitego rozpadu.

– Kiedy będę mógł stąd wyjść? – wyrzucił z siebie.

– Niedługo.

– Ale kiedy dokładnie?

– No, Łukaszku, już niedługo.

Pomimo ciepłego i zatroskanego spojrzenia matki, zaczynało się w nim coś już lekko pnieć.

– A możesz mi to w czasie określić? Ile to jest niedługo? Dzisiaj, jutro, za miesiąc? – starał się nie podnosić głosu.

– Spokojnie. Gdzie ci się tak śpieszy? Masz całe nowe życie przed sobą...

– Mamo! Odpowiedz!

„Skoro mówisz, że niedługo, to chyba, do cholery, wiesz kiedy to jest. Ja nie mam pojęcia ile to jest dla ciebie niedługo, dlatego się, kurwa, pytam. Czy to takie trudne do zrozumienia? Czy nie możesz załapać, że to może być ważne dla mnie? Może mam jakiś pierdolony plan, zamysł, czy też po prostu chcę pouklądać myśli, więc niezbędna mi jest konkretna informacja ile to jest niedługo!”

Krzyczał do siebie w myślach, jednocześnie błagając by nic mu się nie wymknęło w eter. Całe życie tak krzyczał i całe życie będzie się w nim gotować, gdy usłyszy od matki równie beznadziejną odpowiedź, która zamiast zaspokoić jedno pytanie, rodzi wiele następnych. Przeklinał świat na czym stoi, że każda próba wytłumaczenia jej tego, nawet na spokojnie, była warta niewiele więcej niż garść nerwów, które marnował, gdy wszystko odbijało się od matki jak od ściany. Możliwe nawet, że słowa przelatywały przez nią na wylot, a ich podmuch wywoływał jedynie złudny odruch skinienia oznaczający, że rozumie.

– Może pojutrze. Musisz zostać jeszcze na obserwacji. Nie można przecież cię tak puścić, jak gdyby nigdy nic.

– Tak, wiem. Zdaje sobie z tego sprawę.

– Nigdy nic nie wiadomo, coś się jeszcze może okazać, stać...

– Wiem... nie musisz mi tego tłumaczyć. Po prostu...

– Łukaszu, nie denerwuj się tak. Śpieszy ci się gdzieś?

„Kurwa mać...”

Zacisnął pięść na prześcieradle, lekko ściągając je do siebie. Mama natychmiast zobaczyła uciekający kawałek materiału i poprawiła.

– Po prostu chciałem wiedzieć kiedy będę mógł stąd wyjść. – Walczył z własnym opanowaniem, które uciekało mu z każdym wypowiedzianym wyrazem. – Nic mi więcej nie musisz tłumaczyć. Kropka.

Zdawał sobie sprawę, że jednak powinien pozwolić jej się wygadać, jako że rzucanie banałami jest jedną z kluczowych cech każdego rodzica, niejako wpisaną w tę rolę.

Szybko wymazał bieżące niepotrzebne przemyślenia, które były obecnie marnotrawstwem trzeźwości psychicznej. A ta, ze względu na jego stan, mogła odlecieć w każdym momencie. Mały impuls wystarczał, żeby Łukasza jej pozbawić. Niewielka pierdółka, która rozsypie żmudnie stawiany karciany domek równowagi umysłowej.

Rozejrzał się po sali, by załapać wzrokowy kontakt z aktualnym światem.

– O swoje rzeczy nie musisz się martwić. Zabrałam je do domu – powiedziała matka, tak jakby starała się usilnie zinterpretować jego błędzenie wzrokiem. Ale nie o to chodziło, jak zawsze. – Twoja komórka została w domu, jeśli jej szukasz.

– Nie. Co miałem jeszcze w kieszeniach? – westchnął i w głębi duszy poczuł, że na odpowiedź jest zupełnie nieprzygotowany.

– Portfel. I szklaną kulkę.

Rozpadł się.

Cios zadany oczekiwanym, lecz niechcianym faktem rozdał jego percepcję do karykaturalnych rozmiarów. Nagle spostrzegł, że jest już dzień, w okolicach południa, co łatwo dało się stwierdzić po słońcu niemo grzejącym za oknem. Przypuszczenia potwierdził wielki ścienny zegar z okrągłą białą szklaną tarczą oraz aluminiową kopertą. Wyłapując zmysłami wszystkie niuanse, a jednak nie ruszając wcale przy tym głową, dostrzegł współtowarzysza w sali – starego i świszczącego mężczyznę oddychającego przez rurkę z dwiema życiodajnymi kroplówkami z przeźroczystym, lecz mętnym płynem. Szpitalna sala była inna od tej, w której obudził się poprzedniego wieczora. W tej unosił się aromat cierpienia, który wpychał się siłą w jego receptory duszy. Przez moment starał się walczyć z negatywną stymulacją nieznanego mu zmysłu przez nieznaną bodziec, jednak ogrom energii potrzebnej do zakamuflowania wpływu otoczenia okazał się zbyt duży dla wymęczonego przez każdą najdrobniejszą rzecz organizmu. Gdy przestał hamować donosy z salki, ból w skroniach nieco się zmniejszył. W zamian przyszła maleńka kropla wody formująca się znikąd na białym suficie. Gdy padła tuż koło jego łóżka z miniaturowym rozbryzgiem, tuż za nią poleciała jeszcze jedna. Potem kolejna.

Kap... kap... kap...

Kilka kropel później, wytworzył się duży zaciek, a wraz z nim kilkanaście kolejnych. Zapęłniły cały sufit i w całym pomieszczeniu zadźdździło delikatnym letnim deszczem. Łukasz pozostawał suchy. Zupełnie niewzruszony dziwnym zjawiskiem, wyciągnął rękę przed siebie, jednakże krople zdawały się go omijać. Coraz mocniej zaczynało docierać do niego, że z sytuacji w jakiej się znajduje nie ma łatwego wyjścia.

„Gdybym znał powód, przyczynę... cokolwiek. Mógłbym próbować szukać rozwiązania. A tak to jestem w czarnej dupie, głęboko, po samo jelito. Czy cokolwiek czego doświadczam jest pewne, rzeczywiste?”

Matka zastygła w bezruchu, w połowie jakiegoś upierdliwego zdania. Zastygły wyraz jej twarzy odzwierciedlał zakłopotanie, troskę, bezsilność i nieodpartą pierwotną potrzebę pouczenia. Łukasz przez chwilę próbował w jej grymasie odszukać jakąś pozytywną cechę, ale szybko zrezygnował. Pewnie nawet ta odrobina radości w zamrożonym błysku oka wynikała nie z tego, że przebudził się ze śpiączki. Po prostu miała kogo terroryzować psychicznie przez kolejne nędzne lata życia. Spełniać swoją matczyńską instynkt, który z biegiem lat został groteskowo skrzywiony i wypaczony, przez co narobił więcej szkód niż pożytku.

Czekał. Czekał jak przestanie padać i wszędzie słońce w jego halucynogennym świecie, który go już męczył na tyle, że śmierć jawiła się jako wybawienie. Niemniej jednak zakończenie wszystkich spraw jak ojciec napawało go obrzydzeniem. Bał się także, paradoksalnie, wyrzutów sumienia związanych z samobójstwem. Wykpił jednak sam siebie, jako że po śmierci nie można mieć wyrzutów sumienia. Czyżby?

Wstał. Zerwał delikatnie wenflon, dwie elektrody przymocowane do piersi i wsunął ze zmęczeniem kaptcie. Wszystko było suche, całkowicie pozbawione wpływu absurdałnego deszczu. Nie miał zamiaru o tym myśleć, analizować i wkurwiać się jeszcze bardziej. Zrezygnowany poszurał w stronę wyjścia. Bez jakiegokolwiek planu. Przedzierał się przez powietrze, uświadamiając sobie, że skoro wszystko zastygło w bezruchu, to i cząsteczki straciły swą naturalną cyrkulację. A może po prostu jego zwiotczałe i nieużywane mięśnie płatały mu sensoryczne figle. Miał to w dupie. Po prostu szedł. Otworzył drzwi na korytarz bezszelestnym pchnięciem i wystawił asekuracyjnie głowę.

Pusto.

Tak pusto, że zabrakło nawet reszty szpitala, który dopiero po chwili zaczął się wyłaniać z czerni. Pierwszym jego skojarzeniem z chorą wizją było zbyt wolne wczytywanie się tekstur w grze komputerowej. Wyglądało to zupełnie tak, jakby „coś”, co mu funduje halucynacje miało chwilę opóźnienia. Niewielki błąd w sztuce świrowania, który ewidentnie wskazywał na fakt, że „coś” nieco niedomaga. Jako „coś” obstawiał swój mózg. Gdy cały szpitalny korytarz wyłonił się do końca, Łukasz drepnął delikatnie na szare płytki. Chciał się upewnić, czy opóźniona projekcja jest na tyle realna, że można postawić na niej nogę i nie zapaść się w nicość, która była w tym miejscu jeszcze chwilę temu. Udało się. Poczł szorstką frakturę pod kaptciem i stąpnął znacznie pewniej.

Dla zaspokojenia swojej ciekawości pchnął pierwsze lepsze drzwi do jednego z pomieszczeń. Czarno. I także nic się nie wczytywało. Za drugimi i trzecimi drzwiami było to

samo – bezkresna pustka, niebyt. Być może był tam jakiś grunt, jednakże jego narastający strach sugerował mu nieskończoną przepaść.

Ruszył wzdłuż korytarza kierunku jedyne­go możliwego wyjścia, nie zastanawiając się nad niczym. Zbiegł po zmaterializowanych schodach, przeszedł jeszcze dwa korytarze i dotarł do wyjścia na zewnątrz.

Nie musiał nawet szukać drogi, którą trzeba iść. Jedyna słuszna była wykreowana i nie było nic poza nią. Całą resztę stanowiła czerń. Dookoła żadnej żywej duszy, żadnego podmuchu wiatru, żadnego dźwięku, szumu drzew, gwaru ulicy czy warczenia samochodów. Równie dobrze otaczający świat mógł być trójwymiarową pocztówką. Migawką rzeczywistości, w której nic się nigdy nie wydarzy, nie nastąpi żaden inny ruch, prócz jego paranoicznego błędzenia po opuszczonym ze wszystkiego mieście.

Najbardziej jednak przygnębiła go znajoma cisza, oznaczająca nad­chodzące zło. Szedł niepewnie chodnikiem i ulicami, bacznie obserwując ciemność, która zaczynała się zaraz za końcem trawnika. Starał się coś w niej dojrzeć. Miał już dosyć. Chciał umrzeć. Jeszcze niedawno był pewien, że za chwilę śmierć go dopadnie, jednakże ktoś zapragnął go uszczęśliwić na siłę, wbrew jego woli.

Idąc, jak po nitce do kłębka, wykreowaną drogą dotarł na przystanek.

– Domagam się wyjaśnień! Natychmiast! – krzyknął zanim jeszcze dobiegł do starej kobiety, która siedziała całkowicie nieruchomo.

– Ale co ja ci mogę poradzić, Łukasz? Siła wyższa! – przez jej głos przemówił żartobliwy uśmiech.

– Przestań sobie jaja robić! Chce stąd wyjść... – Złapał się za głowę i zmierzwił włosy. – Chce wyjść z tego pieprzonego koszmaru, snu. Nie chce tej halucynacji! Co to w ogóle, kurwa, jest?

– Gdzie chcesz wyjść?

– Wyjść stąd! – wrzeszczał.

– To wiem. Ale gdzie chcesz wyjść? Czego oczekujesz po wyjściu? – kobieta mówiła ze stoickim spokojem, jednym niezmiennym tonem.

– Coś normalnego! Gdzie będę się mógł odnaleźć!

– W świecie się chyba nie potrafiłeś odnaleźć...

– Przestań! Kurwa! – Jego oczy błyszczały złością i łzami. – A gdybym cię tak zabił? Uduślił cię?! Mogę to zrobić w każdej chwili, jeśli mi nie pomożesz!

– Przykro mi, nie mogę. Sam musisz sobie pomóc. Krzywdy też mi nie wyrządzisz.

Uniósł głowę wraz z rękami w górę, tak jakby próbował przywołać boga. Chwilę później jego ramiona opadły swobodnie, a dłonie pacnęły o uda. Starał się na siłę uspokoić. Zacisnął oczy by zebrać myśli. Chciał rozegrać cały spektakl tak, by wyciągnąć jak najwięcej informacji.

– Nie uda ci się to – powiedziała spokojnie.

Poczuł dziwny ból głowy, zupełnie jakby zaciskała się mu na skroniach metalowa obręcz.

– Co?

– To, co próbujesz zrobić. Dowiedzieć się.

Łukasz podszedł bliżej. Obskurny przystanek nabrał wyrazistości, by po chwili ją stracić. Jedyńm ruchomym obiektem był on sam. Wszystko oprócz niego było zastygłym obrazem wykreowanym w chorej głowie. Statycznym malowidłem wyobraźni.

Spojrzał na wyblakłą kartkę.

MIEJSCE W SNACH DO WYNAJĘCIA